tygodnikprzegląd.pl

Przegląd

Nr 10 (1156)
28.02-6.03.2022
Cena 7,50 zł
(w tym 8% VAT)

WOJNA

Ratujmy ludzi

JAN TRUSZCZYŃSKI: MILIARDY EURO ALBO ZIOBRO

KUKLIŃSKI – SZPIEG, ALE CZYJ?

PAŃSTWOWY KULT „ŻOŁNIERZY WYKLĘTYCH"

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299

eprasa.pl c966d1c3a7

FUNDACJA EMERYT
Pomóżmy Sobie Wzajemnie

Szanowni i drodzy Przyjaciele Seniorów!

Prosimy o przekazanie nam 1 % PIT-u na działalność statutową.

Na stronie PITax.pl możesz skorzystać z programu do rozliczenia podatku PIT dla Fundacji „EMERYT":
https://www.pitax.pl/rozliczenie-pit-online-0000161452/

Dziękujemy za wszelkie wsparcie naszej wieloletniej działalności.

Z serdecznymi pozdrowieniami
SENIORZY Fundacji "EMERYT"

eprasa.pl c966d1c9a7

Jerzy Domański

Uchodźcy u bram

Wydawało nam się, że świat, w którym żyjemy, opiera się na trwałych fundamentach. Tak silnych i stabilnych, że mimo rozmaitych turbulencji znajdziemy wyjście z każdego kryzysu. Od kilku dni, od wybuchu wojny w Ukrainie, wiemy, że to już zamknięty rozdział historii. Zegar przyśpieszył, ale wskazówki przesuwają się do tyłu. Jak w filmie dokumentalnym z lat 1938-1939. Dobre samopoczucie sytej Europy legło w gruzach. Mieliśmy nadzieję, że po okropnych doświadczeniach wojen światowych nikt nie wejdzie na tę drogę. To było naiwne. Znaleźliśmy się w takiej sytuacji, że możliwe są tylko złe rozwiązania. Albo bardzo złe. Dotychczasowy ład światowy został zakwestionowany w tak brutalny sposób, że trudno mieć jeszcze złudzenia, że znowu będzie, jak było. Stare się kończy. A nowe? Zależy od tak wielu niewiadomych, że dziś każdy scenariusz jest możliwy.

Ukraina na swoje nieszczęście stała się poligonem dwóch mocarstw, za który nikt nie chce umierać.

I tym razem, jak zawsze, największymi ofiarami tej wojny są zwykli ludzie. Giną, tracą domy, muszą uciekać z własnego kraju. Wierzyli politycznym hipokrytom. Może więc chociaż ofiary wojny dostaną realną pomoc od instytucji unijnych? W tym od Polaków i od polskich władz. A za ten najazd na suwerenny kraj Rosjanie muszą w przyszłości zapłacić. Przekroczyli czerwoną linię.

Na dodatek strzelili w kolano tym sojusznikom, którzy stawiali na negocjacje, porozumienie i współpracę. W Rosji wygrało, niestety, stronnictwo wojny. To jest najgorszy, krótkoterminowy wariant. Bo co po wojnie?

U nas też nie brakuje polityków, którzy by powojowali – marzących o nowych bazach i kolejnych oddziałach amerykańskich w Polsce. Wpychają Polskę w rolę państwa frontowego, z którego ludzie będą wyjeżdżać, a inwestorzy omijać je z daleka.

Zróbmy, co tylko w naszej mocy, by pomóc Ukraińcom, ofiarom agresji.

FUNDACJA OCALENIE
Wpłat można dokonywać na stronie:
www.facebook.com/donate/275450921370284/

POLSKA AKCJA HUMANITARNA
Wpłat można dokonywać na stronie:
www.siepomaga.pl/pah-ukraina

POLSKA MISJA MEDYCZNA
Wpłat można dokonywać na stronie:
https://pmm.org.pl/chce-pomoc#ukraina
oraz poprzez profil na Facebooku:
https://www.facebook.com/donate/375415624008297/5395474380471879/

POLSKIE CENTRUM POMOCY MIĘDZYNARODOWEJ
Wpłat można dokonywać na stronie:
https://pcpm.org.pl/ukrainaotwiera
oraz poprzez profil na Facebooku:
https://www.facebook.com/donate/2948107692167955/4897929046952704/

POLSKI CZERWONY KRZYŻ
Wpłat można dokonywać na stronie:
https://pck.pl/na-pomoc-ukrainie/

BĄKOWSKI

SZUKASZ PREZENTU?
E-PRENUMERATA PRZEGLĄDU TO NAJLEPSZY WYBÓR DLA RODZINY I PRZYJACIÓŁ
sklep.tygodnikprzeglad.pl
Przegląd

eprasa.pl c966d1c9a7

W NUMERZE

WOJNA W UKRAINIE
8 **Po co Putinowi ta wojna?**
Odbudowa ZSRR nie jest możliwa
10 **Okno możliwości**
– rozmowa z dr hab. Agnieszką Legucką
14 **Dlaczego Amerykanie nie będą ginąć za Ukrainę?**
USA nie atakują silnych

KRAJ
18 **Czy polski węgiel i gaz łupkowy wrócą do gry?**
Wojna a polityka energetyczna
22 **Państwowy kult „żołnierzy wyklętych"**
„Burego" i Pileckiego do jednego worka
26 **Kolejkowa patologia**
Nie ma spójnej polityki zdrowotnej
30 **Miliardy euro albo Ziobro**
– rozmowa z Janem Truszczyńskim
38 **Przeżyć i doświadczyć**
– rozmowa z Anną Cymer

ZAGRANICA
32 **Na zakupy do Polski**
Korespondencja z Czeskiego Cieszyna
50 **Zwierzę ofiarne jest już na miejscu**
Kulisy zabójstwa Chaszukdżiego
54 **Nie zamawiaj nietoperza**
Skąd wziął się SARS

PRZEGLĄD ZWIĄZKOWY
34 **Nie wyrzucajmy Polskiego Ładu do kosza**

OPINIE
36 **Jan Machynia**
Bank dla rolników, czyli powrót do przeszłości

HISTORIA
42 **Kukliński – szpieg, ale czyj?**
Pionek na szpiegowskiej szachownicy

KULTURA
44 **Sąsiedzkie sprawy**
– rozmowa z Danielem Brühlem
47 **Qulturalia**
66 **Maurin – malarstwo Katarzyny Karpowicz**

TECHNOLOGIE
48 **Sieć nieczytelna**
Internetowy oczopląs

ZWIERZĘTA
58 **Cwana oportunistka**
Wydry jedzą to, o co najłatwiej

FELIETONY I KOMENTARZE
3 **Jerzy Domański**
Uchodźcy u bram
17 **Jan Widacki**
Putin wstał z kolan
21 **Andrzej Romanowski**
Śmierć rusofila
29 **Roman Kurkiewicz**
Wojnie – NIE
35 **Tomasz Jastrun**
Nakłuwanie niedźwiedzia
53 **Wojciech Kuczok**
Początek albo koniec

14
WOJNA W UKRAINIE

DLACZEGO AMERYKANIE NIE BĘDĄ GINĄĆ ZA UKRAINĘ?
USA nie atakują silnych

38
KRAJ

PRZEŻYĆ I DOŚWIADCZYĆ
– rozmowa z Anną Cymer

58
ZWIERZĘTA

CWANA OPORTUNISTKA
Wydry jedzą to, o co najłatwiej

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. REUTERS/FORUM

eprasa.pl c966d1c9a7

Donald Tusk: pomaga czy szkodzi opozycji

Zastanawiam się, jakim cudem tak antyspołeczny, antysocjalny, antypracowniczy polityk ma cały czas 25-30% poparcia w narodzie. Tusk jest w tej chwili obok Konfederacji najbardziej antylewicowym politykiem, reprezentuje kwintesencję polskiego neoliberalizmu. Nie dziwi mnie, że zwalcza lewicę, bo sam jest uosobieniem wszystkiego, z czym lewica powinna walczyć.

Bogumił Sztos

Sarmaci na torach

Z miasteczka na Ziemiach Zachodnich, w którym mieszkałem w młodości, można było koleją pojechać nad morze i w góry, o bliższych celach podróży, w tym codziennych dojazdach do pracy i szkoły, nie wspominając. Dziś linia kolejowa jest ścieżką rowerową. Poraża skala wykluczenia nie tylko komunikacyjnego, ale także będącego jego konsekwencją wykluczenia cywilizacyjnego, kulturowego. Sporej części mieszkańców naszego kraju odebrano dostęp do usług społecznych, edukacji, opieki zdrowotnej, kultury w skali masowej, który jeszcze niedawno zapewniała kolej.

Klasowa w swojej prawicowej istocie ideologia liberalizmu dokonała spustoszeń. „Bo przecież wszyscy – no, niemal wszyscy – mają samochody!", grzmią jej nosiciele i sprawcy. Tyle że szkolnego chóru raczej się nimi nie przewiezie na przegląd.

Zmiany są nieodwracalne. Często nie ma już czego ani gdzie modernizować. A nawet tam, gdzie remontuje się tory, na skutek poszatkowania kolejowego biznesu nie przewiduje się na nich ruchu uzasadniającego ich remont.

Do tego dochodzi oderwanie zarządców od skutków ich działań. Konsekwencje ich decyzji ponoszą ci, którzy muszą je wykonywać. Zarządcy pozostają bezkarni, a maszynista Orzechowski (z „Człowieka na torze" Munka) może tylko wypatrywać kolejnej katastrofy. *Janusz M. Kowalski*

Emerytka traci na Polskim Ładzie

W numerze 8/2022 w rubryce Giełda czytam, że Polski Ład zniósł opodatkowanie najniższych emerytur. W rzeczywistości Polski Ład zniósł całkowicie „kwotę wolną" od podatku i wprowadził pierwszy próg opodatkowania do 30 tys. zł w wysokości 9%, a drugi – 26%. Przedtem do kwoty 3091 zł płaciliśmy 1,25% podatku. Emeryci dorabiający sobie, np. prowadzący jednoosobową działalność gospodarczą, tracą dodatkowo – a to za sprawą wprowadzenia sztywnych kwot na podatek zdrowotny. W styczniu 419,92 zł, a w innych miesiącach nie mniej niż 270,90. Nie każdy dorabia odpowiednio 4665,78 zł czy 3010 zł netto. I jest oczywiste, że wtedy podatek zdrowotny będzie wynosił więcej niż deklarowane przez Polski Ład 9%. Jeśli nawet urząd skarbowy zwróci nadpłatę za rok, to będzie ona mniejsza z powodu inflacji. Jeszcze raz ten, kto pracuje, żeby nie być klientem opieki społecznej, dostaje w d…

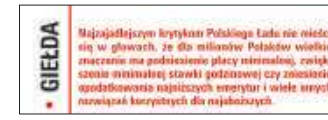

Emerytka z niską emeryturą, która sobie dorabia, a którą rząd ograbia

ZDJĘCIE TYGODNIA

Uchodźcy na granicy polsko-ukraińskiej w Medyce, 25 lutego 2022 r.

FOT. REUTERS/FORUM

eprasa.pl c966d1c9a7

37,4 mld euro wyniósł eksport polskich towarów rolno-spożywczych w 2021 r., a import 24,7 mld euro. Dodatnie saldo wymiany handlowej wzrosło zatem w porównaniu z 2020 r. o 9,7%, do 12,7 mld euro.

Noblistka Olga Tokarczuk otrzymała tytuł doktora honoris causa Uniwersytetu Warszawskiego.

245,1 mln osób przewiozły polskie koleje w 2021 r. Choć o 17% więcej niż rok wcześniej, to i tak tylko 75% tego, co było w 2019 r.

Nagroda MEiN dla zespołu naukowców z Uniwersytetu SWPS. Dr Małgorzata Wójcik, dr Radosław Kaczan, dr Piotr Rycielski, Piotr Ciszek i Krzysztof Rzeńca we współpracy z firmą Speednet stworzyli i wprowadzili na rynek multimedialny **system RESQL odpowiadający na problemy przemocy w polskich szkołach.**

Prof. Wiesław Bielawski, były rektor SGGW, został na Gali Nauki Polskiej 2022 uhonorowany za całokształt dorobku naukowego.

35 fabryk AGD, które znajdują się na terenie Polski, wyprodukowało w 2021 r. 27,2 mln sztuk dużego AGD. A wartość eksportu wyniosła 24 mld zł.

Warszawa, która ma 1,8 mln zameldowanych mieszkańców, przekroczyła w 2021 r. poziom 2 mln zarejestrowanych pojazdów, z czego 1,526 mln to samochody osobowe. Do tego dochodzą samochody przyjezdnych. Ich liczbę szacuje się na 300 tys.

Marek Suski zdaniem serwisu „Nauka o klimacie" jest autorem Klimatycznej Bzdury Roku 2021. Powiedziało mu się, że „nasze lasy i nasze zielone uprawy pochłaniają więcej, niż emitujemy CO_2".

Z przemocą w rodzinie radzimy sobie marnie. W 2021 r. ponad 70 tys. formularzy Niebieskiej Karty wypełnili policjanci, a drugie tyle pracownicy pomocy społecznej. Sądy z tym problemem nie radzą sobie kompletnie.

939,9 tys. używanych aut osobowych i lekkich dostawczych sprowadzono w 2021 r. Przeciętne używane auto miało 12,5 roku eksploatacji, a te z silnikami benzynowymi ponad 13,5 roku. 60% ściągnięto z Niemiec, a 20% z Francji.

Ks. Zygmunt Bronicki, proboszcz parafii Cyryla i Metodego w Hajnówce, celebruje kult Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki", którego oddziały wymordowały kobiety i dzieci w Dubinkach. Żadna msza tej zbrodni nie wymaże.

PRZEBŁYSKI

Ogniomistrz Nalaskowski

Na ten czas wojenny polecamy wspomnienia bohaterskiego ogniomistrza Aleksandra Nalaskowskiego. W 1981 r. komentator „Sieci" jako student trafił na rok do wojska. Bardzo mu się nie podobało w Braniewie. Tak bardzo, że od 40 lat żyje w stresie. Kaprale nieuki, oficerowie nie lepsi. Z wrodzonej ostrożności nie podaje nazwisk. Piąstki to jednak ta kadra miała. I zabawę z Nalaskowskiego. Bo wystarczy posłuchać tego cudaka. Stan wojenny Nalaskowski wspomina tak. „Trafił mi się czołg. Czołg był potwornie głośny i koszmarnie ciasny (w zasadzie jeden siedział na drugim). Na górze było tak duszno, że nie dało się oddychać, za to buty przymarzały do podłogi".
Prawdziwy męczennik. Kandydat do medali. Nie zdezerterował. Jako jeden z tysięcy w mundurze wprowadzał stan wojenny.

Sakiewiczów dwóch

Dopisywanie się do zasług własnego ojca to chwyt z gatunku rozpaczliwych. Na dodatek mocno ryzykowny. Bo bezlitosny internet wszystko weryfikuje, zwłaszcza to, co na odległość pachnie lewizną. Tak jak wpis Tomasza Sakiewicza z „Gazety Polskiej" i wielu biznesów około PiS, który pochwalił się, że jego ojciec był powstańcem warszawskim. Zapomniał tylko dodać, że Ryszard Józef Sakiewicz urodził się 25 sierpnia 1932 r. w Tarnopolu. Łatwo więc policzyć, ile w 1944 r. miał lat. Sakiewiczowi juniorowi nie przeszkadza brak ojca w jakiejkolwiek bazie powstańczej. A internet czeka, by zdementował informację, że Sakiewicz senior był w Związku Młodzieży Socjalistycznej. A nawet w Towarzystwie Przyjaźni Polsko-Radzieckiej. Choć z drugiej strony taki życiorys też może się przydać.

Pomnik nieznanego opozycjonisty

Pocieszmy się, w Polsce nie tylko ceny rosną. Szybko zwiększa się też grono osób, które odzyskały pamięć. I przypomniały sobie o zasługach w walce z komuną. Przez ponad 30 lat skromnie milczały, ale dość tego. Bohaterskie czyny muszą zostać nagrodzone. Należy się kasa oraz Krzyż Wolności i Solidarności. Kolejne instytucje zgłaszają opozycjonistów świeżej daty. Tłok jak na dworcu przed weekendem. Ale, jak to w Polsce, nie wszyscy cieszą się z tego urodzaju. Oburza się Ogólnopolskie Stowarzyszenie Internowanych i Represjonowanych i zgłasza zastrzeżenia do konkretnych osób. No bo kto jest prawdziwym opozycjonistą, a kto uzurpatorem? Są spory o definicję opozycjonisty. Komu wręczyć legitymacje członkowskie? Komu zawiesić medale i ordery?

Niedorzecznik Pawlak

W cieniu „Lex Czarnek" kryje się postać bliźniaczo podobna do eksperymentatora oświatowego z Lublina. Mało znany Mikołaj Pawlak. Już od ponad trzech lat okupujący urząd rzecznika praw dziecka. Trafił tam z fotela dyrektora departamentu w ministerstwie Ziobry. Dojna zmiana uznała, że skoro Pawlak nadzorował poprawczaki i schroniska dla nieletnich, tym bardziej poradzi sobie z dziećmi. Adwokat, który przez lata pracował przy unieważnianiu małżeństw kościelnych, jakoś nie chwali się sukcesami w walce z pedofilami w sutannach. Potępiać potępia. Ale pamięta, że rzecznikowanie załatwili mu religijni ultrasi.

FOT. YOUTUBE (2), MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl c966d1c9a7

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

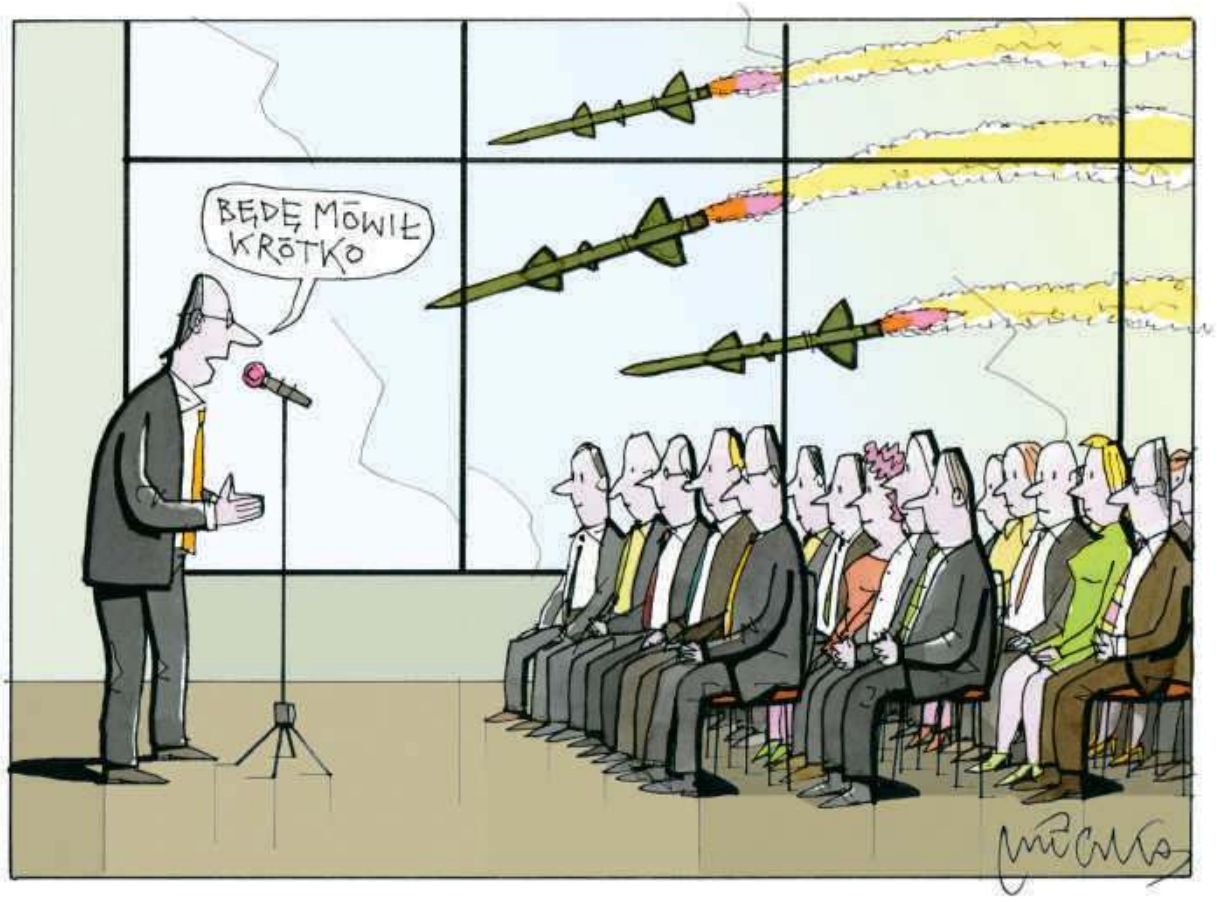

mleczko.pl

sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Czy jest w Polsce miejsce na nowe partie polityczne?

PROF. ANNA PACZEŚNIAK,
politolog, Uniwersytet Wrocławski

To bardzo dobre pytanie, choć politycy, którzy planują wejść na rynek z nową ofertą, nieczęsto je sobie zadają. W Polsce partie powstają zazwyczaj albo dlatego, że jeden pan pokłócił się z drugim i na złość postanowił wyprowadzić z istniejącej już partii grupkę kolegów i działać pod nowym szyldem, albo dlatego, że ktoś, czytając sondaże, uznał, iż trafi do wyborców deklarujących, że nie mają na kogo głosować. Okazuje się, że nowe byty stworzone według jednego z tych dwóch scenariuszy są efemerydami, o których zapominamy po jednym cyklu wyborczym. Obecna oferta polityczna wydaje się kompletna, dlatego istniejące partie powinny szukać sposobów dotarcia do jednej trzeciej społeczeństwa, która nie ma pojęcia, kogo poprzeć w następnych wyborach.

WIESŁAW GAŁĄZKA,
dziennikarz, Dolnośląska Szkoła Wyższa

Nie sądzę. Polska scena polityczna jest na tyle zhermetyzowana, że nowa siła raczej nie znalazłaby sobie na niej miejsca. Jedyną szansę widzę w budowie takiej partii oddolnie – na bazie samorządów. Dysponują one dosyć sprawnymi fachowcami, którzy oczywiście mają różne poglądy, ale gdyby udało się znaleźć płaszczyznę, która neutralizowałaby najostrzejsze różnice, to być może taka formacja odświeżyłaby scenę polityczną. Zwłaszcza że w samorządach jest coraz więcej ludzi młodych, niezasiedziałych na stołkach i chcących coś zrobić, a nie patrzących wyłącznie na zachowanie możliwości w miarę niepracowitego życia. Do powstania tego typu partii niezbędne byłoby jednak wyłonienie się jakiejś grupy liderów, a tej na razie nie widać.

DR MIKOŁAJ RATAJCZAK,
filozof polityki, historyk idei, IFiS PAN

Nadal nie ma w Polsce partii, która potrafiłaby zdecydowanie i z pomysłem uprawiać wyraźną politykę klasową. Która otwarcie mówiłaby o reformie prawa pracy, o prawie do strajku, radykalnej redystrybucji, ukróceniu władzy i pogardy elit gospodarczych oraz ochronie wszelkich mniejszości. W skrócie: o socjalizmie. Lewica wciąż jeszcze tam nie jest, a część takiej polityki – zwłaszcza w wymiarze ograniczania władzy elit – przejęła rządząca prawica, która jednak nigdy nie zmierzy się na poważnie z prawem do strajku czy redystrybucją na naprawdę masową skalę. Na pewno potrzeba takiej partii, pytanie, czy jest na nią miejsce – oby istniejącym partiom lewicowym udało się jak najszybciej i odważnie je zająć.

Not. Michał Sobczyk

eprasa.pl c966d1c9a7

Po co Putinowi ta wojna?

Inwazja i zabijanie Ukraińców tworzą między Rosją i Ukrainą przepaść

Robert Walenciak

Nie chciałbym pisać, że Europa wchodzi w zły okres swojej historii. Ale, jak widać, wydarzenia w tym kierunku zmierzają.

Tak zresztą zapowiada Aleksiej Podbieriozkin, dyrektor Centrum Badań Wojskowo-Politycznych działającego przy moskiewskim MGIMO. „Regularnie, raz na sto lat, mamy konflikt z Europą" – mówił w rozmowie z „Rzeczpospolitą". „Była wojna z Napoleonem, później była z Hitlerem. Mówiąc szczerze, myślę, że nie unikniemy kolejnej wielkiej wojny w Europie". Jeszcze kilkanaście dni temu, słysząc takie mądrości, popukałbym się w czoło. Dziś brzmią one jak kredo prezydenta Putina.

Całkiem niedawno, bo w 2007 r., tygodnik „Time" przyznał mu tytuł Człowieka Roku i fetowano go na Zachodzie jako architekta nowej (w domyśle – lepszej, otwartej na świat) Rosji. Dziś politycy Zachodu, mówiąc o nim, nie przebierają w słowach. Brytyjski premier Boris Johnson po rozmowach z Putinem sugerował, że przestał on racjonalnie myśleć. Szefowa niemieckiego MSZ Annalena Baerbock mówiła, że cynicznie ją i kanclerza Scholza oszukał. Z kolei szef francuskiego MSZ Jean-Yves Le Drian komentował, że rosyjski przywódca demonstruje swoje „mięśnie" i „próbuje nas zastraszyć". I na te gesty odpowiedział: „Jego słowa mogą straszyć, ale on bardzo dobrze zna równowagę sił. Odpowiadamy, że też mamy broń nuklearną".

To nie są słowne potyczki. Mamy wiek XXI, żyjemy w Europie i takie działania jak wojskowa napaść na Ukrainę muszą szokować. Nagle prezydent wielkiego i ważnego państwa grozi sąsiadom, że spuści na nich bomby atomowe, chce iść na wojnę z Zachodem. A Ukraina jest pierwszym do niej krokiem. Jak to wyjaśnić? Owszem, historia zna przypadki dyktatorów, którzy z wiekiem odrywali się od rzeczywistości i stawali coraz bardziej wojowniczy. Żeby daleko nie szukać – Saddam Husajn im był starszy, tym chętniej atakował

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl c966d1c9a7

Efekty bombardowania miasta Czugujew we wschodniej Ukrainie, 24 lutego 2022 r.

sąsiadów. Jak skończył, nie warto nawet wspominać.

Z drugiej strony ideę odbudowy ZSRR, czy też imperium rosyjskiego, Władimir Putin głosi od lat. Dlaczego więc jesteśmy zaskoczeni, gdy ją realizuje?

Odpowiedź na to pytanie nie jest trudna. Tak, jesteśmy zaskoczeni, bo odbudowa ZSRR nie jest ani Rosji potrzebna – dziś inaczej buduje się potęgę państwa, ani w ogóle możliwa do zrealizowania, bo świat się zmienił, poszedł do przodu. Poza tym Putin chce swój wyśniony projekt budować krwią i gwałtem, choć najnowsza historia wielokrotnie pokazała, że to działanie nieskuteczne, że podobne cele trzeba realizować inaczej. Dlatego Putin nas zaskakuje.

Żeby była jasność – jak najdalszy jestem od opisywania prezydenta Rosji jako szaleńca itd. To wciąż jeden z kluczowych światowych graczy. Ale przecież gołym okiem widać, że coraz dalej mu do Putina sprzed kilku lat, że popełnia coraz więcej błędów.

•

Nie trzeba być wielkim znawcą historii, by wiedzieć, że bez Ukrainy, bez jej ziem i zasobów imperium rosyjskie byłoby ułomne, jeśli w ogóle by było. Gdy więc ktoś w Moskwie mówi o odbudowie dawnej potęgi, to w naturalny sposób patrzy na Kijów. Rzecz w tym, że Kijów chce iść inną drogą. A im bardziej Rosja chce być blisko Ukrainy, tym bardziej ją obraża, tym mocniej ją odpycha.

Wystarczy posłuchać Władimira Putina albo szefa MSZ Siergieja Ławrowa. Odmawiają Ukraińcom prawa do bycia narodem, dla nich to są źle mówiący Rosjanie, a Ukraina to zlepek ziem, które w różnych okresach historii były przez rosyjskich władców doklejane.

Wystarczy popatrzeć, co robią. Żeby do związku z Rosją Ukrainę przymusić, wysyłają żołnierzy, bombardują, mordują. Naprawdę, czy jest ktoś na świecie, kto by uważał, że to skuteczna metoda zdobycia sympatii? Że jak rzucą Ukrainę na kolana, ta zacznie pokornie prosić o przyjęcie do imperium? To przecież gest Wielkorusa.

Piszę te słowa w piątek, 25 lutego. Nie wiem, jak Ukraina będzie wyglądała w poniedziałek czy w kolejne dni. Ale jednego jestem pewien – miłości do Rosji tam nie będzie. Na dobrą sprawę jesteśmy świadkami ostatecznego tworzenia się współczesnego narodu ukraińskiego. Który ma już swoich współczesnych bohaterów, swoich męczenników, swoje legendy. Bojowników o niepodległość.

Putin ich wszystkich zlepił. Zjednoczył. Inwazja i zabijanie Ukraińców tworzy między Rosją i Ukrainą przepaść. Spójrzmy na historię Polski – jak patrzyliśmy na Rosję w połowie XVIII w., a jak sto kilkadziesiąt lat później, po powstaniach… Jak kluczowy dla formowania się polskiej tożsamości był wiek XIX.

Putin idący na Kijów może tylko szokować. Chce ukarać Ukraińców, tak jak Chruszczow w roku 1956 ukarał Węgrów?

•

A czy sprawnie rozgrywa swoją partię na arenie wewnętrznej? W samej Rosji i w obozie władzy? Ludzie w Rosji boją się wojny, nie chcą jej i programy rządowej telewizji nie powinny tego przysłaniać. Tych kilka tysięcy ludzi, którzy wyszli na ulice rosyjskich miast protestować przeciwko wojnie, to nie jest nic. To oczywista refleksja. Po co ta wojna? Z Ukrainą? Czyli z braćmi? Poza tym na wojnie giną ludzie. Nie dowódcy, nie przywódcy, tylko młodzi chłopcy, którym dano broń. Po co im ta śmierć? I pytanie innego kalibru: po co Rosji hańba państwa bandyckiego? Po co ten wstyd?

Eksperci, z którymi rozmawiałem, zwracali uwagę na inny ważny element – na to nieszczęsne posiedzenie Rady Bezpieczeństwa Federacji Rosyjskiej, które pokazano w państwowej telewizji. Podczas tego posiedzenia, z udziałem szefów najważniejszych resortów, Putin zachowywał się jak srogi nauczyciel wobec uczniów. Siergieja Naryszkina, dyrektora Służby Wywiadu Zagranicznego Federacji Rosyjskiej, publicznie rugał i ośmieszał. Nasuwają się następne pytania: po co to robił? I po co ten incydent publicznie prezentował? To było nagrane wcześniej, można więc było tak zmontować materiał, by kłopotliwa dla Naryszkina wymiana zdań nie ujrzała światła dziennego. Nic z tych rzeczy!

Dlaczego? A może dlatego, by pokazać i zwykłym Rosjanom, i tym z obozu władzy, że wszyscy popierają prezydenta i że jest on absolutnie ponad wszystkimi? Był to komunikat dla obozu władzy – kto tu rządzi i na ile może sobie pozwolić.

Odbudowa ZSRR nie jest ani Rosji potrzebna, ani możliwa do zrealizowania.

Tylko że ten, kto naprawdę jest silny, nie musi tego wszem wobec pokazywać. I to tak, by poniżyć innych. Bo w ten sposób odsłania swój strach i słabość.

•

Jeszcze dwa zdania o sile. Modne jest opowiadanie, że jesteśmy świadkami sojuszu Chin i Rosji, wymierzonego w Zachód. Myślę, że to zbyt odważne stwierdzenie. Sojuszu nie ma, jest – w niektórych sprawach – współpraca. Chiny w tym duecie zdecydowanie dominują. Nie tylko dlatego, że gospodarczo są od Rosji osiem razy większe. Zwróćmy uwagę, Putin zdecydował się rzucić wyzwanie Zachodowi po rozmowach z Xi Jinpingiem. Musiał więc otrzymać obietnice pomocy. Jakiej? Możemy zakładać, że gospodarczej, finansowej. Ale to ma konsekwencje. Chiny na obszarze poradzieckim mają swoje interesy. Kazachstan i Ukraina to państwa, przez które projektowany był nowy jedwabny szlak. I Chiny na pewno chcą mieć na tych terenach swoje wpływy. Nie leży również w interesie Chin biedny Zachód, pogrążony w kryzysie. Bo komu by sprzedawali swoje produkty?

Nie dziwi zatem, że gdy Xi Jinping zaapelował do Rosji i Ukrainy o negocjacje, ten apel spotkał się ze

eprasa.pl c966d1c9a7

zrozumieniem. Bądź co bądź Rosja poczekała z atakiem na Ukrainę do końca igrzysk olimpijskich.

•

Myślę też, że prezydent Putin, zaczynając swój bój, upubliczniając 17 grudnia 2021 r. swoje ultimatum, nie docenił Zachodu. Myślał, że podzieli Zachód, ale go zjednoczył. Amerykę z Europą, Europę wewnątrz. Myślał, że politycy Zachodu zaczną się kłócić i że w końcu ulegną tym najbardziej bojaźliwym lub ceniącym dobre kontakty z Kremlem.

Tak się jednak nie stało. Żołnierze NATO przerzucani są na wschodnie granice Sojuszu, szybko uchwalony został pakiet pierwszych sankcji. Można oczywiście mówić, że to za mało, że Zachód zostawił Ukrainę samą. Na pewno jest to prawda. Tylko odpowiedzmy sobie na inne pytania: co więcej powinien zrobić Zachód? Co więcej powinna zrobić Polska, bo gdy mówimy Zachód, myślmy także o nas.

Możemy utyskiwać, że Zachód jest obłudny i pełen hipokryzji, ale pamiętajmy np., że Polska nie zamierza ograniczać importu węgla antracytowego z Rosji (czyli z Donbasu)… Z tego punktu widzenia stajemy się coraz bardziej zachodni.

Nie miejmy zresztą wątpliwości – sankcje będą dla Rosji bardzo bolesne, nawet jeśli jest na nie przygotowana. Poza tym – i to jest chyba najważniejsza konkluzja – najazd na Ukrainę zmienił Europę. Nawet dotychczasowi zwolennicy bliskiej współpracy z Rosją mówią już inaczej. Do politycznego myślenia weszły już warianty zakładające nieobliczalność i agresję Putina.

•

Najpoważniejsi politycy Zachodu (i nie tylko) przyznają, że nie spodziewali się inwazji wojskowej na Ukrainę. Że czym innym jest blef, czym innym są groźby, a czym innym najazd i zabijanie niewinnych ludzi. Zdecydowana większość ekspertów, z którymi rozmawiałem, dziennikarzy zajmujących się sprawami Wschodu, również zakładała, że wojna rosyjsko-ukraińska jest mało prawdopodobna, że da się jej uniknąć.

Nie udało się. Przyjęli najbardziej racjonalny wariant, ale on się nie urzeczywistnił. Nie miejmy do nich pretensji, bo polityka to nie konkurs jasnowidzów. To sztuka szukania rozwiązań w kolejnych wariantach rozwoju wydarzeń. A nie jest to łatwe, bo i świat się zmienia, i ludzie. Oskarżanie liderów Zachodu o hipokryzję i gnuśność jest nie na miejscu, bo ewidentnie widać, że pracują i myślą w innym niż parę tygodni temu trybie.

•

A Polska? Te opowieści naszej prawicy, że ona wiedziała lepiej, że przestrzegała przed Rosją, przed jej agresywnością, wkładam między bajki. Jeżeli od 30 lat ktoś powtarza to samo, któregoś dnia może wreszcie trafić. Ale to nie znaczy, że kryje się za jego słowami jakaś głębsza analiza.

Upubliczniając ultimatum, Putin myślał, że podzieli Zachód, a go zjednoczył. Amerykę z Europą, Europę wewnątrz.

Prawica mówiła tak, bo to ją wzmacniało politycznie, tak budowała swoją tożsamość. Ważniejsze zresztą od tego, co się mówi, jest to, co się robi. Jeśli wyjdziemy z takich założeń i pod tym kątem popatrzymy na czas PiS, to włosy stają dęba. Rządzą od sześciu lat i zaczęli rządy w wojsku od anulowania już podpisanych kontraktów zbrojeniowych, od czystki w kadrze, od rozwalenia naszych kontaktów z zachodnimi strukturami. Czy polska armia jest dziś sprawniejsza niż sześć lat temu? Fachowcy uważają, że nie. A przecież armia w tym czasie zasilana była miliardami złotych! Jak więc te pieniądze były wydawane?

Nie wiem, czy wydatki wojskowe z ostatnich lat będą kiedykolwiek analizowane przez NIK albo przez niezależną prokuraturę. Ale oczywiste jest, że za tymi działaniami stała albo jakaś tajna frakcja prorosyjska, albo zwykła nieudolność.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Rozmawia Robert Walenciak

Zaskakująca jest determinacja, z jaką Rosja chce podporządkować sobie Ukrainę…

– Rosja, jak przyznaje wielu rosyjskich badaczy i pisarzy, zafiksowała się na punkcie Ukrainy. To perła w koronie ich imperialnego myślenia. A z kolei Władimir Putin marzy, by zapisać się na kartach historii jako ten przywódca, który przywrócił ją Rosji.

Rozumiem, że Rosja chce mieć Ukrainę, ale zaskakuje mnie metoda. Dlaczego robi to, najeżdżając ją?

– Wszystko wskazuje na to, że chce skorzystać z okna możliwości, które ma, a które może nie pojawić się w przyszłości.

Teraz albo nigdy

Jakiego okna możliwości?

– To okno możliwości pojawiło się z kilku powodów. Po pierwsze, Rosjanie uważają, że Ameryka, a tak naprawdę generalnie Zachód jest słaby. Bo już wielokrotnie poszedł Rosji na ustępstwa. A teraz jest szczególnie słaby. Zwłaszcza po wycofaniu się Amerykanów z Afganistanu. Rosjanie doszli do wniosku, że Afganistan był cmentarzyskiem imperium radzieckiego, więc będzie też cmentarzyskiem imperium amerykańskiego. Mieliśmy również wydarzenia z 6 stycznia 2021 r., czyli atak na Kapitol. To są te znaki, które uznali za kwintesencję rozkładania się Zachodu.

Do tego pewnie dochodzi brexit.

– Brexit, pandemia, nieumiejętność poradzenia sobie z falą imigrantów, polaryzacja wewnątrz Zachodu – to wszystko spowodowało, że w Rosji stwierdzono, że teraz wystarczy tylko trochę pomóc, pchnąć tę kulę i ona sama potoczy się w przepaść. A wtedy zapanuje kolejna sprawiedliwość dziejowa, rewanżyzmu autorytarnych reżimów, koalicji Rosjan z Chinami triumfującej nad zgniłym Zachodem.

Koalicji Rosjan z Chinami?

– Rosja podczepiła się pod Chiny, uznając, że musi się podczepić pod silniejszego gracza. Na jakiś czas

eprasa.pl c966d1c9a7

Okno możliwości

Rosja na zawsze utraciła Ukrainę

DR HAB. AGNIESZKA LEGUCKA
– profesor Akademii Finansów i Biznesu Vistula, analityczka ds. Rosji w Polskim Instytucie Spraw Międzynarodowych. Do 2016 r. związana z Akademią Obrony Narodowej. Autorka takich publikacji jak „Polityka wschodnia Unii Europejskiej", „Geopolityczne uwarunkowania i konsekwencje konfliktów zbrojnych na obszarze poradzieckim".

zaakceptować rolę słabszego juniora-partnera, bo jest słabsza od Chin. A przy tym przyjęła bardzo ważny wniosek, dla elity chyba kluczowy: że rosyjskiej elicie zagraża system demokratyczny. Władimir Putin panicznie obawia się wszystkich kolorowych rewolucji, demokratycznych wyborów itd.

Zły sen, czyli kolorowe rewolucje

W roku 2014 na posiedzeniu Rady Bezpieczeństwa Putin przestrzegał przed kolorowymi rewolucjami. Mówił, że dla Rosji jest to „lekcja i ostrzeżenie". I deklarował: „Musimy uczynić wszystko, co możliwe, żeby nic podobnego nie wydarzyło się w Rosji".

– Kolorowe rewolucje, Majdan w Kijowie, protesty na Białorusi, protesty w Kazachstanie – wszystko to jest uznawane przez Władimira Putina za zagrożenie egzystencjalne.

Dla siłowików czy dla Putina?

– I dla Putina, i dla siłowików. To jest taki zbiorowy Putin. Elita władzy w Rosji uważa, że zagrożeniem dla niej jest demokracja, natomiast to, co płynie od reżimu chińskiego, autorytarnego – zagrożeniem nie jest. Gdzieś tam w przyszłości – być może. Ale nie teraz. W związku z tym mamy bliskie kontakty, współpracę między Chinami i Rosją. Ta koalicja jest dziś bardzo silna, z uwagi na wspomniane okno możliwości.

Bo uznali, że Zachód jest słaby.

– Są i inne elementy składające się na to przekonanie. Europa wciąż jest uzależniona od rosyjskich surowców energetycznych. Rosja może powiedzieć: zakręcamy kurki. Są też elementy polityczne. Wybory w Niemczech i zmiana władzy oraz towarzyszące temu turbulencje. Zbliżające się wybory we Francji. To wszystko są czynniki, które dla Rosji – tak pewnie kalkulowano na Kremlu – mogą się zmienić na niekorzyść. Europa za jakiś czas poradzi sobie z niedoborem gazu, Zachód się skonsoliduje… W związku z tym Władimir Putin stanął przed wyborem: albo teraz, albo później, ale wtedy może być dużo trudniej.

Ultimatum, czyli plan Putina

Zdecydował się więc zagrać i o Ukrainę, i o nowy układ sił. Taka jest przecież treść ultimatum z 17 grudnia, w którym Rosja domagała się nie tylko gwarancji, że Ukraina nigdy nie wejdzie do NATO, ale i „demilitaryzacji" wschodniej flanki NATO, z Polską na czele.

– To newralgiczny moment, bo Rosjanie postawili ultimatum nie do przyjęcia dla Zachodu. Nie tylko dlatego, że mówiło ono, że nie wolno rozszerzać NATO na Ukrainę i Gruzję, bo część państw zachodnich mogłaby nawet na to przystać.

Kazus Gruzji to potwierdza.

– Ale Rosja zawiesiła poprzeczkę jeszcze wyżej. Zażądała, byśmy wrócili do roku 1997, jeśli chodzi o infrastrukturę wojskową. To było jednoznacznym sygnałem dla państw NATO, że Putin chce iść jeszcze dalej, że chce współdecydować o sprawach wewnętrznych Sojuszu Północnoatlantyckiego.

> Rosjanie będą się posuwać tak daleko, aż Zachód powie im stop.

A tego państwa zachodnie nie mogą zaakceptować. W efekcie Rosja osiągnęła coś zupełnie innego, niż zakładała. Chciała mieć mniej żołnierzy amerykańskich w Europie, osłabić wschodnią flankę NATO,

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl c966d1c9a7

a ma więcej Amerykanów i skonsolidowała Zachód.

To było do przewidzenia.

– Nie do końca. Rosjanie liczyli, że przestraszą i poczekają, a Zachód powie: podyskutujmy. I zacznie ustępować. Ale tak się nie stało, Rosjanie nie otrzymali tego, czego oczekiwali. Chociaż widać było, że zachodni monolit zaczął pękać, były już wycieczki do Moskwy. Orbán pojechał, potem Macron, Scholz… Już były składane oferty, że może nacisnąć bardziej na Ukrainę, żeby przyjęła mińskie porozumienia, żeby ukorzyła się przed Rosją. Żeby za cenę porozumień mińskich był spokój w Europie.

Korzyści polityczne z przejęcia Ukrainy są jednak większe niż korzyści z Nord Stream 2.

To Zachód miał przydusić Ukrainę

Co mówią porozumienia mińskie z roku 2014 i 2015? Ukraina ich nie realizowała, a Putin ostatecznie też wyrzucił je do kosza.

– Porozumienia mińskie, najkrócej mówiąc, były dokumentami, które zostały wymuszone szantażem wojskowym na stronie ukraińskiej, w momencie kiedy Rosjanie wsparli separatystów z części Donbasu. Ukraińcy obawiali się przyjęcia tych porozumień, bo były one dla nich bardzo niekorzystne. Ich przyjęcie byłoby równoznaczne z totalną destabilizacją państwa. Gwarantowały one separatystycznym republikom Donieckiej i Ługańskiej nie tylko faktyczną niezależność, ale i wpływ na decyzje centralne, jeśli chodzi o kierunek rozwoju państwa. Zarówno w polityce wewnętrznej, jak i zagranicznej. To byłby koń trojański, dzięki któremu Rosja miałaby wpływ na politykę państwa ukraińskiego.

Jak Rosjanie wyobrażali sobie, że zmuszą Ukrainę do stosowania umów mińskich?

– Chcieli to teraz zrobić, przy pomocy Zachodu. Chcieli na tyle przestraszyć Zachód potencjalną wojną, żeby to jego liderzy zmusili Ukrainę do ustępstw. Żeby Macron i Scholz, a nawet Biden, powiedzieli Ukraińcom: zobaczcie, jaka jest sytuacja! My wam pomożemy, damy pieniądze, kredyty, ale weźcie się ogarnijcie!

Ustąpcie…

– I wtedy Scholz miałby otwartą drogę, żeby mieć Nord Stream 2, Francuzi mieliby spokój, Macron by błyszczał, nikt nie mówiłby o wojnie w Europie, nikt nie straszyłby problemem nuklearnym. Byłby spokój! Ale Ukraina nie zgodziła się na porozumienia mińskie. A Zachód nie zgodził się na przymuszanie jej do nich. I Putin uznał, że trzeba wywrócić stolik negocjacyjny.

Skarżył się na to w jednym z wystąpień: że nic nie ustąpili! No to jest inwazja.

– Gdyby Rosjanie uznali republiki Doniecką i Ługańską w tych granicach, jakie zajęły one w roku 2014, i dalej nie wchodzili, na Zachodzie odetchnięto by z ulgą. Bo powiedziano by, że Putin ma to, co i tak dotychczas kontrolował.

Przystawił lufę do głowy

Ale poszedł dalej. I mówi, czego chce: zmiany ukraińskiego rządu na prorosyjski; akceptacji aneksji Krymu i oderwania samozwańczych republik; demilitaryzacji Ukrainy i wyrzeczenia się przez nią obecności w NATO.

– Czyli *de facto* chce, żeby Ukraina zgodziła się na rolę rosyjskiego protektoratu. Porozumienia mińskie, które mogły temu służyć, Putin wyrzucił do kosza. W zamian przystawił Ukraińcom lufę do głowy.

Rosjanie nie pozyskają w ten sposób Ukraińców.

– Jeśli chodzi o całą Ukrainę, to rzeczywiście dla Rosji jest stracona. Poparcie dla Moskwy spada tam za każdym razem, gdy chce ona anektować jakąś część ukraińskiego terytorium. Ale jeśli chodzi o część wschodnią, a właśnie stamtąd wracam – tam nastroje są trochę inne. To jest biedny rejon i poza trochę bogatszymi ośrodkami miejskimi, takimi jak Mariupol czy Kramatorsk, gdzie są nastroje bardziej proukraińskie, w mniejszych miejscowościach propaganda rosyjska działa. Tam mieszkają głównie ludzie starsi, z nostalgią wspominający czasy ZSRR albo niedawne czasy Janukowycza, stabilizacji, kiedy te regiony były bardziej nastawione na eksport do Rosji. Oni uważają, że kiedy były dobre relacje z Rosją, to był czas prosperity. Wschód odróżnia się od reszty Ukrainy. Tam jest i pewna doza prorosyjskości, i pewna doza identyfikacji regionalnej. Pragmatyczności. Teraz jest Ukraina, więc jest dobrze. Jak przyjdzie Rosja, też będzie dobrze. To wynika z tego, że region jest biedny i bierny. Młodzież stamtąd wyjeżdża, najczęściej do Polski.

Nie do Rosji?

– W mniejszym stopniu. Ale również chciałabym podkreślić, że spotkaliśmy dużą grupę aktywistów ukraińskich, którzy burzą obraz prorosyjskości wschodnich terenów. Są bardzo nastawieni na to, żeby działać na rzecz lokalnej społeczności, żeby budować ukraińskość. Mówią, że od ośmiu lat jest tam Ukraina i to jest ich państwo. Ale oni są w mniejszości.

Elita władzy w Rosji uważa, że zagrożeniem dla niej jest demokracja, natomiast to, co płynie od reżimu chińskiego, autorytarnego – zagrożeniem nie jest.

Nowa tożsamość Ukrainy

W każdym razie im mocniej Rosja ciśnie Ukrainę, tym Ukraina bardziej Rosji nie chce.

– Ukraina była między Wschodem i Zachodem. Prowadziła politykę

eprasa.pl c966d1c9a7

wielowektorową. Dzisiaj, w wyniku polityki rosyjskiej, jest to polityka jednowektorowa. Rosjanie stworzyli naród ukraiński, który jest narodem prozachodnim, opcję prorosyjską popiera niewielki procent obywateli.

Czyli tę tożsamość tworzą sprzeciw wobec Rosji i europejskie aspiracje, a nie przypominanie przedwojennych nacjonalistów?

– Banderę kojarzą tylko na zachodniej Ukrainie. Ukraińcy dowiadują się o nim, jak przyjadą do Polski. Dziś Ukraina swoją tożsamość buduje inaczej. Wielki strateg Putin ma w tym znaczący udział.

Tego Rosjanie nie potrafią zrozumieć – że Ukraińcy są dla nich straceni.

Ale Zachód nie chce Ukrainy.

– Nie wiem, czy nie chce. Jeżeli pojedzie się na Ukrainę, to widać inwestycje, zarówno państwowe, jak i te realizowane z pomocą Zachodu. Widać, że rozwinęła się infrastruktura. Ukraina się zmieniła. Oczywiście ma swoje problemy. Jeśli chodzi o oligarchizację i uwikłanie kolejnych prezydentów, łącznie z Zełenskim, to jest problem, z którego Ukraina nie wykopie się przez długie lata. Ale co do tego, że społeczeństwo ukraińskie dokonało wyboru, i to wyboru prozachodniego, nie ma żadnych wątpliwości.

Jednak, jak mówił prezydent Zełenski, Ukraińcy zostali naprzeciw Rosji sami.

– Co może być wykorzystywane przez rosyjską propagandę. Ponieważ Amerykanie, Brytyjczycy się wycofali, Rosjanom bardzo zależało na tym, żeby pokazać Ukraińcom: patrzcie, Zachód w obliczu wojny was zostawił. I wobec tej zdrady wy, Ukraińcy, będziecie zmuszeni iść w ramiona Rosji.

Przecież oni nie pójdą w ramiona Rosji. Zwłaszcza teraz, kiedy mają swoich wojennych bohaterów i męczenników.

– Tego Rosjanie nie potrafią zrozumieć – że Ukraińcy są dla nich straceni. To, czego Rosja nie potrafiła przepracować wewnętrznie, to syndrom postkolonialny. Wciąż ma ona bóle fantomowe wielkiego imperium i ludów podległych.

Kogo (i czego) boi się car?

Co dalej?

– Mamy konflikt zbrojny. Jego koszty polityczne i wizerunkowe dla Putina są straszne.

Ale on to lekceważy!

– Jeśli rosyjskich wojsk nie powstrzyma armia ukraińska, to on już z niczym nie będzie się liczył. Najbardziej go powstrzymuje opinia rosyjska. Rosjanie boją się wojny, nie chcą jej, a zwłaszcza wojny z Ukrainą, ona nie mieści im się w głowie. Proszę zauważyć: Putin, zanim podjął decyzję o uznaniu dwóch separatystycznych republik, zwołał wszystkich członków Rady Bezpieczeństwa Federacji Rosyjskiej. Posadził ich jak uczniów i odpytał. Żeby każdy był współodpowiedzialny za tę decyzję. Czyli żeby odium klęski politycznej – bo to będzie klęska polityczna, jeżeli inwazja gdzieś utknie – spadło na wszystkich.

Putin będzie chciał Ukrainę zadusić.

– Przestraszyć wojskowo. Manifestacja zbrojna ma pokazać całej Europie, że ma do czynienia z nieprzewidywalnym graczem, którego trzeba się bać. A na razie, ponieważ nikt nie wysunął tej superoferty, na którą Rosjanie czekają, to posuwają się dalej.

Jakiej superoferty?

– Dotyczącej Ukrainy, NATO, nowej architektury bezpieczeństwa. Czegoś, czym władze rosyjskie będą w stanie się zadowolić. Rosjanie będą się posuwać tak daleko, aż Zachód powie im stop. Wojsk Amerykanie nie chcą wprowadzić, czyli to stop musi być inaczej powiedziane.

Groźne miny robi się do pierwszych worków z trupami. Matki będą odbierały ciała synów i ich chowały. To Putina nie rusza?

– Wie pan, co się dzieje z workami, które przyjeżdżają do Rosji z Donbasu? Przecież Rosjanie tam ginęli. Rosyjskie matki muszą chować swoich synów potajemnie. W normalnej procedurze dostają odszkodowanie i siedzą cicho. Jak próbują być głośno, trafiają do psychiatryka.

Rosjanie boją się wojny, nie chcą jej, a zwłaszcza wojny z Ukrainą, ona nie mieści im się w głowie.

Pokazywał to posiedzenie w telewizji dla Rosjan. Bo przecież nie dla Zachodu.

– Putin Zachodem się nie przejmuje. Lekceważy sankcje. Choć na pewno nie wstrzymanie certyfikacji Nord Stream 2. To jest coś, co Rosjanie usłyszeli z pewnością. Na razie jeszcze nie biorą tego na poważnie, wierzą, że to się jakoś odkręci. Bo korzyści polityczne z przejęcia Ukrainy są jednak większe niż korzyści wynikające z Nord Stream 2.

A Chińczycy?

– Na razie wspierają Rosję, ale w ograniczonym zakresie. W rywalizacji międzynarodowej podoba im się Rosja, która testuje Amerykanów. Z drugiej strony to, co robi Rosja, uznając niepodległość Donbasu, nie jest dla nich rozwiązaniem idealnym. Popieranie separatyzmów? Oni tego boją się jak ognia. Jeżeli więc nie będzie to wielka interwencja, Rosja jakoś to przyjmie. A jak będzie wielka – włączy się w to rosyjska propaganda.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl c966d1c9a7

Dlaczego Amerykanie nie będą ginąć za Ukrainę?

USA widzą zagrożenie nie w upadku czy rozbiorze Ukrainy, ale w jej obronie

Jakub Dymek

Gdy kończyłem pisać ten tekst, groźba agresji militarnej Rosji na Ukrainę stała się rzeczywistością. Rakiety spadające na instalacje wojskowe i cywilną infrastrukturę oraz towarzyszący im desant sił specjalnych obwieściły światu, na jaki scenariusz zdecydowała się Moskwa. Nie brakowało mimo wszystko osób, które wierzyły, że groźba sankcji odniesie skutek, a Rosja zatrzyma się najdalej we wschodnich obwodach Ukrainy. Mniejsze grono liczyło na sukces dyplomacji, ale miraż szczytu Biden-Putin dawał nadzieję najwytrwalszym. Do ostatniej chwili po obu stronach Atlantyku i w wielu stolicach tysiące ludzi – ekspertów, dziennikarzy i zwykłych obserwatorów – trzymało kciuki za amerykańską interwencję, taktyczny atak lub choćby groźbę użycia siły ze strony USA, która rozstrzygnie konflikt, zanim ten na dobre się zacznie. Słowem, za finał jak z ekranizacji komiksu, którego superbohater, spętany silniejszymi od niego ograniczeniami, wyrywa się w końcu i leci przez świat ukarać oprawców oraz uratować niewinnych. Tyle że 79-letni Joe Biden nie jest dobrym kandydatem do podobnej roli. I wcale się do niej nie pali.

Ostatnie ćwierćwiecze zbudowało przekonanie dużej części Zachodu o nieuchronności amerykańskich interwencji zbrojnych. Część świata – Rosja czy Chiny – ze złością i sprzeciwem, a część – umowny Zachód, NATO z wyjątkiem Francji i oczywiście Polska – z radością przyjęła do wiadomości, że interwencja wojskowa USA jest zjawiskiem absolutnie naturalnym. Być może trudno się dziwić, skoro tak istotna część naszego życia – i historii III RP – nałożyła się na czas, gdy USA rozwiązywały swoje i cudze problemy zbrojnie. Co więcej, bez liczącego się oporu ze strony wspólnoty międzynarodowej i dotkliwych skutków dla siebie.

Ale najpierw zwycięstwo Trumpa, a teraz stanowcze postanowienie nowej administracji, by USA nie angażować w następne wojny, znacząco zmieniły sytuację. Do wielu jednak wciąż nie dotarło, że uniwersalna obecność wojskowa USA na świecie się skończyła lub przynajmniej na jakiś czas została zawieszona. Hasło „zakończenia wiecznych wojen" było obecne w kampanii Bidena, a porażka w Kabulu postawiła kropkę nad i. W sprawie Ukrainy prezydent mówi jasno: nie pójdziemy na wojnę. Idealny świat według Bidena to taki, w którym Europa broni siebie sama i w zjednoczony sposób odpowiada na zagrożenia. Jednocześnie zaś pomaga w globalnym równoważeniu Chin. I choć Biden ma dziś problemy z popularnością i zaufaniem, to tę wizję zaczyna podzielać coraz bardziej licząca się część opinii publicznej w Ameryce.

> Gdy tylko Amerykanie i Rosjanie zaczną do siebie strzelać, mamy III wojnę światową.

Nigdy więcej Kabulu

„Dlaczego amerykańscy żołnierze nie przyjdą Ukrainie na ratunek?" – to nie czołówka programu Russia Today ani napis na czerwonym pasku kremlowskiej telewizji, ale tytuł niedawnej audycji „New York Timesa". W prawie półgodzinnej rozmowie David E. Sanger, czołowy dziennikarz zajmujący się sprawami bezpieczeństwa narodowego w „NYT", odpowiada obszernie na tytułowe pytanie. Po pierwsze, mówi, amerykańscy żołnierze mają obowiązek bronić „żywotnego interesu bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych", a dziś nie leży on w Ukrainie. Kto jednak określa, czym ów żywotny interes jest? Nie historia, moralność, powinność czy rzekomo trwałe reguły geopolityki, ale demokratycznie wybrane władze. Amerykanie wybierają prezydenta i Kongres, a ci w ich imieniu określają, gdzie zaczyna się i gdzie kończy bezpieczeństwo USA.

Prezydent Biden – to drugi argument Sangera – widzi je właśnie tak. W tej części świata to najdalej wschodnia granica NATO jest granicą interesu bezpieczeństwa Amerykanów. Biden powiedział bowiem nie tylko, że wyklucza amerykańską interwencję zbrojną w obronie terytorialnej spójności Ukrainy (ta deklaracja padła już w grudniu). Demokratyczny prezydent poszedł dalej i kilkukrotnie – najostrzej w wywiadzie z popularnym prezenterem Lesterem Holtem – zaznaczył, że nie wyśle także żołnierzy, by w razie zagrożenia bronili i organizowali ewakuację amerykańskich obywateli! To wywołało na tyle spore zdziwienie czy konsternację, że rzeczniczka Białego Domu Jen Psaki musiała tłumaczyć dziennikarzom, że wojskowa ewakuacja obywateli USA nie jest i nie powinna nigdy stać się regułą. I przypominała, że obrazki z Kabulu z późnego lata i jesieni 2021 r. były wyjątkiem.

eprasa.pl c966d1c9a7

Żołnierze amerykańskiej 18. Dywizji Powietrznodesantowej przylecieli do Polski, ale nie będą działali w Ukrainie.

USA, dokładnie odwrotnie niż Polska czy kraje wschodniej flanki NATO, widzą zagrożenie nie w upadku czy rozbiorze Ukrainy, ale w jej obronie. Biden mówi przecież, że „gdy tylko Amerykanie i Rosjanie zaczną do siebie strzelać, mamy III wojnę światową". A Sanger tłumaczy też, że prowokacja atomowego mocarstwa, jakim pozostaje Rosja, jest dla bezpieczeństwa Amerykanów groźniejsza niż kryzys humanitarny i zbrodnie w Ukrainie. Na pytanie dziennikarza, dlaczego zatem USA broniły Kuwejtu, Bośni czy angażowały się w Somalii i wielu innych miejscach, Sanger udziela zaś wypowiedzi tak cynicznej i szczerej, że dużej części słuchaczy – przede wszystkim w Polsce – wciąż nie mieści się ona w głowie. Bo, po pierwsze, przeciwnicy – Irak Saddama czy Serbia Miloševicia – byli słabsi, więc w przeciwieństwie do Rosji nie mogli w odwecie stworzyć bezpośredniego zagrożenia dla życia mieszkańców USA. A po drugie, Kuwejt dawał USA ropę, Ukraina nie może dać niczego.

W każdych innych okolicznościach mówienie, że USA walczą przede wszystkim o surowce, a bronią słabszych wyłącznie pod warunkiem, że słaby jest również agresor, zostałoby uznane za antyamerykańską propagandę. Ale tym razem jest to głos płynący z samego serca amerykańskiego establishmentu. Sanger nie jest przypadkowym publicystą czy oryginalnym myślicielem skłonnym głosić kontrowersyjne poglądy – przeciwnie, od lat można na nim polegać, że wiernie przekaże czytelnikom, co mówią mu służby, Pentagon i aparat polityki zagranicznej USA.

Prowokacja atomowego mocarstwa, jakim pozostaje Rosja, jest dla bezpieczeństwa Amerykanów groźniejsza niż kryzys humanitarny i zbrodnie w Ukrainie.

Komu zależy, czyli gra w tchórza

W naszej części Europy uznanie istnienia „stref wpływu" i zgoda na to, żeby Rosja mogła oddziaływać na niepodległe już państwa z dawnej orbity radzieckiej i je kontrolować, są równoznaczne z kapitulacją wobec Kremla. Ale w amerykańskiej retoryce coraz częściej – wprost lub w domyśle – pojawia się dokładnie to myślenie. W licznych komentarzach do głosu dochodzi przekonanie, że Ukraina tak czy inaczej jest już w rosyjskiej strefie wpływów. Bo to Rosja – a nie Niemcy, Kanada albo Chiny – gotowa jest pójść na wojnę, ryzykować sankcje i wysyłać na pole bitwy swoich obywateli, by decydować o Ukrainie. To także Rosja szantażem i groźbą może wetować politykę zagraniczną Kijowa – w dużo większym stopniu niż Zachód.

Ta myśl również wypływa nie z marginesu amerykańskiej polityki, lecz z jej środka. Kwestia Ukrainy nie należy do podstawowych (*core*) interesów USA, odwrotnie niż w przypadku Rosji – przekonywał eksprezydent Barack Obama już w 2016 r. w wywiadzie dla pisma „The Atlantic". „Fakty są takie, że Ukraina jako państwo spoza NATO zawsze będzie podatna na rosyjską dominację militarną, niezależnie od tego, co my zrobimy – mówił wówczas Obama. – To jest przykład sytuacji, gdy musimy bardzo jasno określić, gdzie leżą nasze strategiczne interesy i za co gotowi jesteśmy pójść na wojnę". Obama zaznaczał wtedy jednak, że zawsze – nawet dla celów taktycznych – należy sobie zostawić pole do niejednoznaczności. Wiele wskazuje na to, że Biden – nawet jeśli nie cała jego partia i stojące za nim media – postanowił z tej niejednoznaczności zrezygnować.

Cytowany wyżej Sanger poszedł dalej i powiedział, że przyjęcie Ukrainy do NATO ściągnęłoby w tej sytuacji na Zachód większe niebezpieczeństwo: „Dziś nie musimy przychodzić Ukrainie z odsieczą,

FOT. AP/EAST NEWS

eprasa.pl c966d1c9a7

to kwestia strategicznej decyzji". Przypomniał, że art. 5 traktatów atlantyckich działa jak swego rodzaju polisa ubezpieczeniowa. „Całe NATO ma powód, by nie przyjmować Ukrainy. Bo wie, że dybie na nią Putin. On mówi i wysyła jasne sygnały, że Ukraina jest częścią Rosji i *vice versa*, są nierozdzielne. Czy chcesz wpuszczać do swojego sojuszu kraj, który może natychmiast skorzystać z tej polisy ubezpieczeniowej i wymusi na tobie konflikt z Rosją? Nie chodzi więc tylko o to, że Ukraina się nie kwalifikuje, ale wielu członków NATO – w tym USA – może nie chcieć jej w swoim klubie w żadnej bliskiej przyszłości", kończy Sanger. Wizja, w której Ukraina szantażuje Zachód i poprzez swoją akcesję do NATO niejako zmusza go do wojny z Rosją, jest dzisiaj domeną fantastyki lub czarnowidztwa. Ale – powtórzmy – nawet jeśli my taki scenariusz odrzucamy z góry, to podobna obawa zakorzenia się coraz mocniej w amerykańskiej debacie.

Pogląd, że Ukraina jest „rosyjska", wyznają z jeszcze większym przekonaniem – choć z różnych powodów – amerykańska antyliberalna lewica i konserwatywna prawica. Ci pierwsi podzielają rosyjską narrację o tym, że w Kijowie dokonał się kilka lat temu faszystowski przewrót wspierany przez CIA i w związku z tym Ukraina zasługuje na wszystkie nieszczęścia, jakie mogą ją spotkać. Drudzy zaś uważają, że prawdziwym przeciwnikiem są Chiny i wojna w obronie wschodniej Europy nie służy nikomu poza przemysłem zbrojeniowym i słabnącą frakcją jastrzębi w polityce zagranicznej. O ile radykalna lewica nie ma właściwie żadnego wpływu na Departament Stanu i główny nurt dyplomacji, o tyle presja ze strony prawicy jest już wyraźniejsza. Na głównego przeciwnika interwencji i militaryzmu kreuje się chociażby najpopularniejszy prezenter telewizyjny amerykańskiej prawicy, Tucker Carlson. Carlson jest dziś po Trumpie drugą najważniejszą osobą, w którą wpatrują się rozgoryczeni przegraną wyborcy republikanów, i mówi się już nawet o jego starcie w nadchodzących wyborach prezydenckich. Czy wystartuje, czy nie – warto odnotować, że z wielkim prawdopodobieństwem kolejny kandydat prawicy w wyborach również (podobnie jak Trump) wystartuje z hasłami pozostawienia Europy samej sobie i skoncentrowania się na rywalizacji z Chinami.

Europa niech broni się sama

A co na to Amerykanie jako społeczeństwo? Opinia publiczna poszła – co nie zaskakuje – za partyjnymi podziałami. Więcej demokratów (w jednym z sondaży nawet ponad połowa!) chce dziś, by USA walczyły w obronie Ukrainy. Ale w całej populacji odsetek ten raczej nie przekracza 30%. Co oczywiste, dużo mniej skłonni do podobnych postaw są wyborcy prawicy.

Pomysł wysyłania żołnierzy na pomoc Ukrainie i zbrojnej walki z Rosją jako dobry ocenia czterokrotnie mniej Amerykanów (13%), niż mu się sprzeciwia (55%).

Badania cieszącego się prestiżem portalu FiveThirtyEight.com pokazują zaś dominację jeszcze innej grupy: zdystansowanych i zdezorientowanych. Połowa Amerykanów mówi, że USA nie powinny się angażować po żadnej stronie, ponad jedna czwarta nie umie odpowiedzieć, na czym ich zdaniem polega amerykański interes w tym konflikcie. Grudniowy sondaż YouGov i Charles Koch Institute pokazał też nieprzyjemną z punktu widzenia Europy prawidłowość: więcej Amerykanów uważa, że należy raczej bronić przed okupacją Ukrainy, niż zwiększać obecność amerykańskich wojsk w Europie jako takiej. Dysproporcja jest aż trzykrotna – 30% do 10%. Można te dane zinterpretować następująco: chcemy wspierać państwa słabe i biedne, ale zamożna i bezpieczna Europa powinna coraz bardziej polegać na sobie. Tak przedstawiały się jednak opinie w grudniu 2021 r., a sytuacja jest na tyle dynamiczna, że nie należy przywiązywać się do jednej pary liczb. Ale najnowsze badanie YouGov/Economist pokazuje, że pomysł wysyłania żołnierzy na pomoc Ukrainie i zbrojnej walki z Rosją jako dobry ocenia czterokrotnie mniej Amerykanów (13%), niż mu się sprzeciwia (55%). Choć w USA trwa żywiołowy (i merytoryczny) spór o zmęczenie wojną po Afganistanie, izolacjonizm i globalne zobowiązania, widać, że poczucie odpowiedzialności za resztę świata maleje: inne niż wojskowe sposoby pomocy Ukrainie także popiera nieco mniej niż połowa badanych.

Pytanie zatem, czy Ameryki będzie w świecie więcej, czy mniej, wciąż przynosi sprzeczne odpowiedzi. Z jednej strony, prezydent Biden tak jasno i zdecydowanie, jak tylko się da, komunikuje zerwanie z polityką wiecznych wojen i interwencji. Z drugiej, szef dyplomacji Antony Blinken wysyła w świat komunikat przeciwny: Ameryki będzie na świecie znów tak dużo, jak trzeba, a „izolacjonizm" czasów Trumpa to przeszłość. Wojna przetestuje te deklaracje. Dotychczas Biden był bardziej zachowawczy niż „demokratyczna średnia" – po tym jak pomylił się w sprawie Iraku niemal 20 lat temu, konsekwentnie odsuwał się od militarystycznych pozycji. Zdarzyło mu się różnić od reszty swojej partii na korzyść i zdarzyło mylić. W Ukrainie i Rosji sparzył się w minionej dekadzie więcej niż raz. I zdaje się teraz, że gdy mówi „nie będziemy umierać za Kijów", naprawdę mówi to, co myśli.

Jakub Dymek
j.dymek@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl c966d1c9a7

Z Galicji

Jan Widacki

Putin wstał z kolan

Gdy piszę te słowa (czwartek, 24 lutego), Rosja zaatakowała ukraińskie lotniska i centra dowodzenia, rozpoczęła też lądową operację w Donbasie. Jej celem jest, jak można się domyślać, opanowanie całych obwodów donieckiego i ługańskiego, bo w rękach separatystów było do dziś zaledwie ok. 30% ich obszaru. Nadto celem jest całkowite zdestabilizowanie Ukrainy jako państwa i dokonanie w niej zmiany władzy.

Putin, komentując zbrojną napaść, powiedział kilka ważnych rzeczy. Po pierwsze, wezwał wojskowych ukraińskich do złożenia broni i niewykonywania rozkazów „zbrodniczego reżimu" z Kijowa. Po drugie, zapewnił, że zamiarem Rosji nie jest okupowanie ukraińskiego terytorium, chodzi o „ochronę tamtejszej ludności" i umożliwienie jej zrealizowania prawa do samostanowienia. Na koniec stwierdził, że zamierza „zdemilitaryzować" i „zdenazyfikować" Ukrainę.

Te słowa trzeba odczytywać w kontekście orędzia Putina, wygłoszonego po uznaniu niepodległości samozwańczych republik w Doniecku i Ługańsku. Komentowano je powszechnie jako zdumiewające i oburzające. Putin zakwestionował w nim faktycznie prawo Ukraińców do własnej państwowości, jak również odrębność narodu ukraińskiego od rosyjskiego. Nie wiem, jak te ostatnie twierdzenia przyjął Łukaszenka. Myślę, że choć jest wiernym sojusznikiem Putina i w pełni od niego zależy, musiał się lekko zaniepokoić.

Niektórzy komentatorzy w Polsce pisali, że Putin jest szalony, że przez ponad 20 lat prezydentury stracił kontakt z rzeczywistością. Niestety, Putin nie jest szalony. On nader metodycznie realizuje swój plan. A to, co mówił o Ukrainie i Ukraińcach, nie było czymś nowym. Podobnie mówiło się w Polsce międzywojennej. A o Litwie i Litwinach – nie tylko w czasie akcji gen. Żeligowskiego i bezpośrednio po niej, ale nawet na początku lat 90. XX w. Wiem to dobrze, bo jako ambasador RP w Wilnie takich głupot wypowiadanych nie tylko przez przedstawicieli organizacji kresowych, ale i przez prawicowych polityków nasłuchałem się wiele.

Gdy na przełomie lat 80. i 90. rozpadał się pojałtański ład, na szczęście nikt w środkowej Europie nie zakwestionował pojałtańskich granic. Ich przebieg był dla wielu państw tego regionu krzywdzący. Uznano jednak, że wracać do tego po 55 latach nie ma już sensu – przez ten czas wyrosły już dwa pokolenia, a każda próba zmiany granic wywoła efekt domina. Europa Środkowa i Wschodnia stanie się obszarem gigantycznych sporów oraz konfliktów o granice.

Pamiętam dobrze tamten czas. Pamiętam, jak piastujący wysokie stanowiska państwowe działacz ZChN przekonywał mnie, że uznanie za bezdyskusyjne pojałtańskich granic to błąd, który historia może kiedyś ocenić jako zdradę. A uznanie granicy polsko-litewskiej to błąd zasadniczy. To mógłby być ewentualnie punkt dojścia, ale nie punkt wyjścia. Jego zdaniem można by tę granicę na koniec uznać, ale za cenę litewskiej zgody na autonomię okręgów polskich, wileńskiego i solecznickiego, za uznanie, że „chałupniczy" Uniwersytet Polski w Wilnie jest prawdziwym kontynuatorem Uniwersytetu Stefana Batorego. Czy ta filozofia tak bardzo różniła się od filozofii Putina?

Co będzie? Nie wiem. Być może zanim ten tekst wyjdzie z drukarni, będzie już zupełnie nowa rzeczywistość. Wiele zależy od tego, jak zachowają się mieszkańcy Ukrainy. Trzeba pamiętać, że Ukrainę zamieszkuje prawie 20% ludności, która deklaruje się jako Rosjanie. I że południowy wschód Ukrainy jest mocno zrusyfikowany, dominuje tam pogląd, że Ukraińcy i Rosjanie stanowią w zasadzie jeden naród. Z prowadzonych 11 lat temu przez Research Branding Group badań wynikało, że 43% mieszkańców Ukrainy uważało – podobnie jak Putin – że rozpad ZSRR był wielkim nieszczęściem, a ponad 50% nie miałoby nic przeciwko powrotowi Związku Radzieckiego. Trzeba pamiętać, że południe i wschód Ukrainy są wciąż rosyjskojęzyczne i osadzone w rosyjskiej kulturze.

Trudno przewidzieć, na ile te postawy się zmieniły. Na ile wpływ na to miały dwa Majdany, aneksja Krymu, walki w Donbasie, no i wkroczenie w dorosłość pokolenia urodzonego już w niepodległej Ukrainie.

Putin nie jest szalony. Putin jest bezwzględny. W swoim politycznym myśleniu jest anachroniczny, ale konsekwentny. I, co najważniejsze, ma siłę militarną, by swoje pomysły realizować. Sankcje zachodnie nie robią na nim większego wrażenia. On wie, że Europa potrzebuje jego ropy i gazu. Tak wygląda rosyjskie wstawanie z kolan. Groźne dla Ukrainy, dla Polski, dla Europy, dla świata.

Ta filozofia wstawania z kolan jest ostatnio modna. „Uczyńmy Amerykę znów wielką!", wzywał prezydent Trump. „Wstajemy z kolan", „bronimy suwerenności" przed… Unią Europejską – to już Polska. Rosyjskie wstawanie z kolan jest groźne dla sąsiadów. Nasze jest śmieszne i groźne dla nas samych. Odpowiedzią na rosyjskie wstawanie z kolan może być tylko jedność Europy i jedność euroatlantycka. Odrzucenie nacjonalistycznego myślenia, budowanie europejskiej wspólnoty. A my robimy wiele, by tę jedność europejską osłabić.

j.widacki@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl c966d1c9a7

CZY POLSKI WĘGIEL I GAZ ŁUPKOWY WRÓCĄ DO GRY?

Odwiert PGNiG w Pikulicach, na złożu Przemyśl, 8 lutego 2019 r.

Wojna w Ukrainie i sankcje Zachodu wobec Rosji wywrócą do góry nogami politykę energetyczną Unii Europejskiej

Marek Czarkowski

Gdy kanclerz Niemiec Olaf Scholz zdecydował o wstrzymaniu procesu certyfikacji gazociągu Nord Stream 2, były prezydent i premier Rosji Dmitrij Miedwiediew skomentował to na Twitterze: „Dobrze. Witamy w nowym, wspaniałym świecie, w którym Europejczycy niedługo będą płacić 2 tys. euro za 1 tys. m sześc. gazu".

Kiedy rankiem, dwa dni później, kolumny pancerne Armii Rosyjskiej wjechały na teren Ukrainy, ceny gazu na giełdzie w Amsterdamie wzrosły o 40% – do 125 euro za 1 MWh. I to mimo zwiększonych dostaw do Europy skroplonego gazu ziemnego ze Stanów Zjednoczonych. Także cena baryłki ropy naftowej Brent wzrosła do 105 dol., co wkrótce przełoży się na cenę litra benzyny.

Co ciekawe, mimo toczących się w Ukrainie działań wojennych tamtejszymi gazociągami – jak poinformował ich operator przesyłowy spółka GTSOU – rosyjski gaz bez zakłóceń płynie do krajów Europy Zachodniej.

Spółka podkreśliła, że gdyby nawet gazociąg Nord Stream 1 miał zostać zamknięty, to ukraińskie gazociągi będą w stanie zapewnić zwiększone dostawy gazu do Europy. Także Jarosław Demczenkow, wiceminister energii Ukrainy, przekonywał na Twitterze, że sytuacja jest pod kontrolą, a instalacje gazowe i naftowe nie znajdują się pod systematycznym ostrzałem Rosjan.

Cóż, wojna wojną, a biznes musi się kręcić… Ukraina za tranzyt gazu otrzymuje rocznie od Rosji kilka miliardów dolarów.

I nie ma wyjścia. Gdyby ukraińscy wojskowi, chcąc poważnie zaszkodzić Moskwie, wysadzili kluczowe dla ukraińskich gazociągów instalacje i w ten sposób na długo przerwali dostawy do Europy Zachodniej, Niemcy natychmiast certyfikowaliby i uruchomili gazociąg Nord Stream 2. Bo dziś bez dostaw rosyjskiego gazu unijne gospodarki czekałby niewyobrażalny kryzys.

Efekty uboczne rosyjskiej interwencji

Jest pewne, że wojna całkowicie zmieni politykę energetyczną Unii Europejskiej. Polski rząd od dawna głosi, że powinniśmy zupełnie zrezygnować z dostaw rosyjskich surowców energetycznych, by nie finansować kremlowskiego satrapy. Jednak nie jest to dziś możliwe, gdyż oznaczałoby dramatyczne załamanie się gospodarek krajów zachodnich i wielkie problemy społeczne. Amerykanie, obawiając się, że Kreml po wprowadzeniu sankcji może zakręcić kurki z gazem, już zwiększyli dostawy LNG do Europy, a ich dyplomaci od

eprasa.pl c966d1c9a7

kilku tygodni starają się namówić do tego Katar i Algierię.

Kubeł zimnej wody wylał im na głowę katarski minister energii Saad al-Kaabi, który 21 lutego br. powiedział na konferencji prasowej: „Myślę, że Rosja zapewnia 30-40% dostaw gazu do Europy. Nie ma jednego kraju, który mógłby zastąpić tego rodzaju wolumen, nie ma możliwości, aby to zrobić z LNG". A potem wyjaśnił, że większość gazu ziemnego wydobywanego przez jego kraj jest już zarezerwowana w kontraktach długoterminowych, głównie dla odbiorców azjatyckich, więc jedynie 10-15% można wysłać do Europy.

Amerykanie już zapowiedzieli, że gotowi są zapewnić dostawy swojego LNG. Pod warunkiem że będzie on odpowiednio drogi.

Bogate złoża gazu ziemnego ma Iran, lecz Amerykanie obłożyli go sankcjami i trudno sobie wyobrazić, by dziś z nich zrezygnowali.

Wszystkie te czynniki mogą oznaczać, że w najbliższych latach ceny gazu, ropy naftowej i węgla w Europie będą bardzo wysokie. Co może wymusić rezygnację z dotychczasowej polityki klimatycznej Unii Europejskiej. Żaden polityk nie zaryzykuje konfliktów społecznych wywołanych szybko rosnącą inflacją i stagnacją gospodarczą.

Dodajmy do tego wzrost wydatków na zbrojenia spowodowany zagrożeniem ze Wschodu. Oraz już ogłoszone i przyszłe sankcje gospodarcze, które jeśli nawet zdemolują rosyjską gospodarkę, to mocno uderzą także Europejczyków. I jakkolwiek dziwnie by to brzmiało, Polska może na tym zyskać.

Nasze błękitne paliwo…

Gdy w 2009 r. amerykańska rządowa agencja Energy Information Administration (EIA) ogłosiła, że w polskich łupkach może się kryć ponad 5 bln m sześc. gazu, nasi politycy wpadli w euforię. Co prawda, późniejsze szacunki mówiły, że zasoby mogą być znacznie mniejsze, ale nikt się tym nie przejmował. Wizja „Kataru Europy Środkowej" była zbyt piękna.

Trzy lata później Państwowy Instytut Geologiczny przedstawił własne oceny, z których wynikało, że gazu łupkowego mamy w Polsce od 346 do 768 mld m sześc. Znacznie poniżej amerykańskich szacunków, ale przy rocznym zużyciu wynoszącym ok. 16-17 mld m sześc. mogłoby go wystarczyć na ponad 30 lat. I najważniejsze – nie musielibyśmy kupować gazu od Gazpromu.

Nic dziwnego, że nad Wisłą zjawiły się zachodnie koncerny – ExxonMobil, Chevron, ConocoPhillips, BNK Petroleum. Rodzime spółki – Orlen Upstream, PGNiG i Lotos Petrobaltic – nie mogły być gorsze. Państwo wydało 115 koncesji na poszukiwanie gazu łupkowego i szybko rozpoczęły się wiercenia. Nie spełniły one jednak pokładanych nadziei. Kolejne spółki jedna po drugiej zaczęły rezygnować z przyznanych koncesji i wycofywać się z Polski. W latach 2015-2016 było już po wszystkim. Jakiś gaz znaleziono, ale jego wydobycie było zbyt kosztowne, a więc nieopłacalne.

Dziś bez dostaw rosyjskiego gazu unijne gospodarki czekałby niewyobrażalny kryzys.

Po łupkowym eldorado zostało ponad 70 odwiertów, na które wydano ok. 3 mld zł. Dodać do tego należy pieniądze, które Narodowe Centrum Badań i Rozwoju oraz Agencja Rozwoju Przemysłu wydały na program o nazwie „Blue Gas – Polski Gaz Łupkowy". W 2012 r. mówiono o kwocie 1 mld zł. W praktyce poszło na ten cel mniej. Efekt programu można podsumować krótko: chcieliśmy dobrze, a wyszło jak zwykle. Najpierw zachodnie koncerny zwinęły interes, a potem, bez większego rozgłosu, rodzime spółki.

Jedynie ekolodzy byli zadowoleni. Metoda szczelinowania, którą wykorzystuje się do wydobycia gazu łupkowego, jest bardzo szkodliwa dla środowiska.

Oceniając na chłodno wyniki łupkowych poszukiwań nad Wisłą, należy podkreślić, że przy bardzo wysokich cenach gazu ziemnego i wykorzystanu najnowocześniejszych technologii może się okazać, że wydobycie gazu łupkowego jest jednak opłacalne. Pierwszy warunek – wysokie ceny gazu – już został spełniony. Ale czy dysponujemy lepszymi technologiami wydobycia? Na razie nie. Lecz jeśli pojawiłyby się pieniądze i odpowiedni ludzie, mogłoby się okazać, że nie musimy martwić się o gaz.

…i czarne złoto

O wiele lepiej rysują się dziś perspektywy polskiego górnictwa. Rząd planuje zastąpienie elektrowni węglowych elektrowniami gazowymi. Tylko że dziś mogłoby to oznaczać konieczność podpisania umów z Gazpromem. A przecież tego rządzący Polską nie chcą. Przy czym rekordowo wysokie ceny gazu czynią nasz węgiel atrakcyjnym. No i mamy go pod dostatkiem. Przeszkodą są wysokie opłaty klimatyczne i unijne programy z „Fit for 55" na czele.

Nie są to przeszkody, których nie można pokonać. Unia Europejska ma długą tradycję programów, które okazały się zbyt ambitne, by mogły zostać zrealizowane. Przypomnę tylko przyjętą w marcu 2000 r. strategię lizbońską, która w ciągu 10 lat miała uczynić Europę najbardziej dynamicznym i konkurencyjnym regionem gospodarczym na świecie, rozwijającym się szybciej niż Stany Zjednoczone. Już w 2004 r. okazało się, że jej celów nie da się osiągnąć. Po czym o strategii zapomniano.

Europa jest kontynentem pozbawionym dużych złóż surowców energetycznych, musi więc je sprowadzać ze wszystkich kierunków. Polska jest pod tym względem wyjątkiem. Nasze zasoby węgla kamiennego, brunatnego i gazu ziemnego, choć nie gwarantują w 100% bezpieczeństwa

FOT. KAMIL KRUKIEWICZ/REPORTER

eprasa.pl c966d1c9a7

energetycznego, sprawiają, że jesteśmy w znacznie lepszym położeniu niż np. Węgry, które muszą importować 95% potrzebnego im gazu. Oczywiście z Rosji.

W ubiegłym tygodniu minister aktywów państwowych Jacek Sasin powiedział w Polsat News, że zapasy gazu pozwalają nie obawiać się kryzysu w dostawach, a nasze magazyny tego surowca są wypełnione w ok. 80%. A jeśli Kreml zakręci kurek, możemy przetrzymać miesiąc, a nawet dwa, przy założeniu, że do kraju nie docierają żadne dostawy.

Rząd zakłada, że już w przyszłym roku uniezależnimy się od dostaw rosyjskiego gazu, sprowadzając go z krajów arabskich, Stanów Zjednoczonych i Norwegii. Gdyby Polska dysponowała nowoczesnymi technologiami wydobycia gazu łupkowego, a Unia Europejska odeszła od restrykcyjnych programów klimatycznych, zasoby surowców energetycznych, którymi dysponujemy, zapewniłyby nam bezpieczeństwo na dekady.

Europa się szarpie

Wojna w Ukrainie ma wpływ na przyszły podział europejskiego rynku surowców energetycznych. Jeśli Unia Europejska zdecyduje się zmniejszyć zakupy w Rosji, będzie musiała uzupełnić niedobory gazem pochodzącym od innych dostawców. Amerykanie gotowi są jeszcze zwiększyć dostawy swojego LNG. Pod warunkiem że będzie on odpowiednio drogi.

W 2020 r., kiedy świat zmagał się z pierwszą falą pandemii koronawirusa, tylko do końca sierpnia 36 amerykańskich spółek zajmujących się wydobyciem gazu łupkowego ogłosiło upadłość. Ich zadłużenie przekraczało wówczas 50 mld dol. Potężne straty zanotował jeden z największych amerykańskich banków, Wells Fargo, który udzielił spółkom z branży łupkowej kredytów na ponad 40 mld dol.

Związane z pandemią zamykanie dużych przedsiębiorstw oraz wprowadzenie powszechnej kwarantanny spowodowało drastyczne ograniczenie popytu na surowce energetyczne, którego konsekwencją były rekordowo niskie ceny ropy naftowej, gazu i węgla. Amerykańskie spółki wydobywające gaz łupkowy nie były w stanie się utrzymać i upadały. W roku 2021, gdy gospodarki zaczęły wychodzić z kryzysu, ceny surowców energetycznych ruszyły ostro w górę, osiągając w przypadku węgla i gazu ziemnego historyczne maksima.

By zarabiać, producenci gazu starają się teraz utrzymać wysokie ceny… i klientów gotowych je płacić. Zachód wie, że lepiej, aby rosyjski gaz i ropa naftowa płynęły. Przynajmniej dopóki nie znajdą się inne źródła. Rosjanie także o tym wiedzą. Zdumiewające, w jak dobrej sytuacji pod tym względem jest Polska. Mamy własne złoża węgla i gazu… które powinny wrócić do gry.

Marek Czarkowski
m.czarkowski@tygodnikprzeglad.pl

LIST

Protestujemy przeciw decyzji o zmianie patrona SP nr 8 w Legionowie im. 1. Warszawskiej Dywizji Piechoty

List otwarty do wojewody mazowieckiego Konstantego Radziwiłła

W imieniu Stowarzyszenia Spadkobierców Polskich Kombatantów II Wojny Światowej składamy zdecydowany protest przeciwko decyzji o likwidacji patrona Szkoły Podstawowej nr 8 w Legionowie, jakim od lat jest 1. Warszawska Dywizja Piechoty. Jesteśmy oburzeni tą decyzją. (…) 1. WDP była najważniejszą formacją Wojska Polskiego powołaną do życia i walczącą na froncie wschodnim, formacją szanowaną zarówno przez Polaków, którzy szli do Polski ze wschodu, jak i tych walczących na froncie zachodnim. To właśnie 1. Warszawska Dywizja Piechoty jako jedyna formacja Wojska Polskiego uczestniczyła w krwawych bojach o Berlin. To jej żołnierze zawiesili biało-czerwoną flagę na kolumnie zwycięstwa Siegessäule w Berlinie.

Przez lata powojenne 1. WDP wrosła w historię Legionowa jako miasta łączącego odzyskanie niepodległości Polski po I wojnie światowej – miasta legionistów marszałka Józefa Piłsudskiego – z wyzwoleniem ojczyzny po II wojnie światowej.

Jeśli ktoś nie pojmuje analogii i łączności dziejów, zasługuje na miano rozbijacza idei konsolidacji narodowej. Czy zastanowił się Pan nad tym, podejmując tę nikczemną decyzję? Czy ma Pan świadomość, że tą decyzją przykłada Pan rękę do dzielenia Polaków na lepszych i gorszych? (…) Czy wie Pan, co myślą i czują uczniowie Szkoły Podstawowej nr 8 w Legionowie? Wśród nich są wnukowie i prawnukowie żołnierzy 1. Warszawskiej Dywizji Piechoty z lat powojennych. Znają oni dobrze historie swoich dziadków i pradziadków. Przez zmianę patrona tej szkoły wznosi Pan jeszcze jedną barykadę dzielącą naród polski. (…)

Stowarzyszenie Spadkobierców Polskich Kombatantów II Wojny Światowej wystąpi do władz Legionowa z wnioskiem o przeprowadzenie referendum w sprawie Pańskiej nikczemnej decyzji. Jaki będzie tego skutek? Niech Pan wspomni referendum z 27 marca 2017 r., kiedy to Pańskie ugrupowanie partyjne zamarzyło, aby Legionowo włączyć w obszar m.st. Warszawy. Mieszkańcy Legionowa 94,27% głosów odrzucili te antydemokratyczne oczekiwania.

Zwracamy też uwagę na brak podstaw prawnych Pańskiej decyzji. (…) Czyżby nie wiedział Pan, że takie kompetencje leżą w gestii prezydenta i samorządu Legionowa?

Protestujemy przeciw Pańskiej decyzji o likwidacji patrona Szkoły Podstawowej nr 8 w Legionowie im. 1. Warszawskiej Dywizji Piechoty. Stanowi ona przykład współczesnego barbarzyństwa.

Prezes Zarządu Głównego Roland Dubowski, wiceprezes Zarządu Głównego Wiesław Fajdek, skarbnik, członek Prezydium ZG Adam Lewandowski, pełnomocnik ds. współpracy z Ogólnopolską Rodziną Kościuszkowską Andrzej Bychowski, prezes honorowy Stowarzyszenia, przewodniczący Komisji Zagranicznej Tadeusz Kowalczyk

eprasa.pl c966d1c9a7

Refleksje z nadzieją

Andrzej Romanowski

Śmierć rusofila

Przyjęło się w Polsce osobliwe równanie: jeżeli rozumiesz racje ukraińskie, to automatycznie odrzucasz racje rosyjskie, jeżeli zaś wobec racji ukraińskich masz choć cień wątpliwości, popierasz automatycznie Rosję. Co do mnie, starałem się rozumieć racje obu stron, byłem rusofilem i ukrainofilem równocześnie. Zawsze brzmiała mi w uszach przestroga Stanisława Stommy, by Polska nie angażowała się w konflikty rosyjsko-ukraińskie, by nie próbowała ich dla siebie rozgrywać. No i uznawałem, że dobre stosunki ze wszystkimi sąsiadami to elementarny wymóg racji stanu.

Po roku 1989 nie istniał między Moskwą a Warszawą konflikt interesów. Ta okoliczność była wartością – na tyle nową i cenną, że nawet gdy w 2008 r. Rosja oderwała od Gruzji Abchazję i Osetię Południową oraz gdy w roku 2014 oderwała od Ukrainy Krym, starałem się – w miarę możliwości – oddziaływać łagodząco na antyrosyjskie nastroje. Ale nie byłem ślepy i o zajęciu Krymu mówiłem, jak wszyscy: *Anschluss*. Cokolwiek jednak można było rzec o ówczesnej polityce Rosji, była ona jakąś formą brutalnej reakcji – czy to na awanturniczą politykę prezydenta Gruzji Micheila Saakaszwilego, czy na kontrowersyjne odsunięcie od władzy prezydenta Ukrainy Wiktora Janukowycza. Oczywiście źródłem mego rusofilstwa był także typowo polski lęk: uważałem, że Rosji nie należy drażnić. A o jej dobrych stronach, zwłaszcza o zwróceniu nam wolności, trzeba jednak pamiętać. Dodatkową przyczyną takiej postawy była, w Polsce kompletnie nieobecna, perspektywa globalna: wobec rysującej się rozgrywki Zachodu z Chinami Rosja byłaby naszym naturalnym sojusznikiem.

Nic z tego myślenia nie zostało – 21 lutego umarł we mnie rusofil. Bo i sytuacja jest inna. Rosja wprawdzie oskarża Ukrainę o ostrzał artyleryjski, ale dowodów na to brak, co znaczy, że do rozpoczęcia działań politycznych i militarnych nie było nie tylko powodu, lecz i pretekstu. A nawet przeciwnie: to wojska Rosji okrążały od miesięcy Ukrainę, to Rosja eskalowała wojnę nerwów. A zatem pozostaje nagi fakt: uznanie przez Moskwę „republik ludowych", Donieckiej i Ługańskiej, za państwa niepodległe. Czyli Rosja uznała twory quasi-państwowe, leżące na terytorium Ukrainy, ale niepodporządkowane władzy w Kijowie. A więc dokonała drugiego już – po aneksji Krymu – rozbioru Ukrainy. Po raz drugi również zdeptała własne zobowiązania: w grudniu 1994 r. zagwarantowała Ukrainie (za wyrzeczenie się broni jądrowej) suwerenność i terytorialną integralność, a w marcu 2014 r. dokonała aneksji Krymu. Teraz – też drugi raz, po Krymie – wysłała do Ukrainy wojska. I ustami ministra Siergieja Ławrowa odmówiła jej suwerenności. O ileż poczciwsza była doktryna Breżniewa!

Obie „republiki ludowe" zajmują tylko części obwodów donieckiego i ługańskiego, ale czują się reprezentantami całości. Rosja jest powściągliwa, jednak – wobec wkroczenia jej wojsk – prawdziwy zasięg „republik" poznamy dopiero z czasem. Oba twory są jednak na tyle zależne od Moskwy, że wszelkie rozbieżności to zapewne tylko taktyczny podział ról. Ale ważniejsze jest co innego: formułowane pod adresem Ukrainy żądania ustępstw terytorialnych, rozbrojenia, rezygnacji z polityki zagranicznej. Są to w istocie żądania porzucenia niepodległości. Rosja więc przyznaje: uznanie obu „republik" to tylko wstęp do opanowania całej Ukrainy, do uczynienia z niej państwa wasalnego.

Czy to się uda – to sprawa inna. Na razie ważne, że taki zamiar istnieje i że został otwarcie sformułowany. Oraz że prezydent Władimir Putin rozpływa się nad szczęśliwą przez wieki ruską jednością, a powstanie odrębnej państwowości ukraińskiej uznaje za ideę bolszewicką. Nieźle pomyślane. Tyle że tradycje ukraińskiej państwowości sięgają średniowiecza, co z tego, że bez nazwy „Ukraina" (nazwy „Rosja" też wtedy nie było). Potem, w XVII i XVIII w., surogatem ukraińskiej państwowości był kozacki Hetmanat. W XX w. – jeszcze przed bolszewikami – powstały Ukraińska Republika Ludowa i Zachodnioukraińska Republika Ludowa. Państwowość bolszewicka była realistyczną reakcją na wszystkie te tradycje – w sumie przecież starsze, choć wątlejsze, od moskiewskich. Lecz warto równocześnie pamiętać o straszliwych represjach, jakimi każdorazowo, od czasu Iwana Mazepy, miażdżyła Rosja ukraińskie próby niepodległościowe. Akurat bolszewicy pobili tu wszystkie rekordy.

Warto pamiętać o straszliwych represjach, jakimi każdorazowo Rosja miażdżyła ukraińskie próby niepodległościowe.

Rusofil umarł. Od 21 lutego Rosja jest państwem rewanżystowskim. Stanowi zagrożenie dla wszystkich.

23 lutego 2022 r.

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl c966d1c9a7

Państwowy kult „żołnierzy wyklętych”

Dla obecnej ekipy rządzącej najważniejsze są edukacja, oplucie komuny i gloryfikacja prawicowych bohaterów

Beata Igielska

„Przyjechaliśmy furmankami, zatrzymali się przed sklepem, chciałem kupić papierosy i pastę do butów. Idziemy z »Wichrem«, nagle z którejś tam furmanki zeskakuje »Twardy« z erkaemem wycelowanym na nas i krzyczy:

– *Hände Hoch*!

– »Twardy«! Co robicie! – krzyknął »Wicher«.

»Twardy« mało się nie przewrócił, gdy się obudził, bo on spał.

– Panowie, jak Boga kocham – tłumaczył się – śniło mi się, że Niemcy idą. – Byliśmy zmęczeni, ludzie w marszu spali.

Lubiłem to obserwować. Stawałem na zakręcie ścieżki; kto spał, szedł prosto, kto nie spał – zakręcał” – to relacja z książki Mariusza Mazura „Antykomunistycznego podziemia portret zbiorowy 1945-1956. Aspekty mentalno-psychologiczne”.

„Żołnierze wyklęci” są dla obecnej władzy ideałem propagandowym: buntowali się i ginęli. Wcielony romantyzm – idź i giń na barykadach.

Choć tak bardzo kojarzą się nam z obecną władzą, to jednak nie ta ekipa ustanowiła im święto 1 marca, w rocznicę wykonania wyroku śmierci na ostatnich dowódcach Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość”. Warto o tym pamiętać. Narodowy Dzień Pamięci Żołnierzy Wyklętych uchwalono 3 lutego 2011 r.

Dla obecnej ekipy rządzącej najważniejsze są edukacja, oplucie komuny i gloryfikacja prawicowych bohaterów. Idoli powstańczych – „Zośkę” i „Rudego” – zastąpiono „Inką”. W podręcznikach szkolnych „wyklęci” są wynoszeni pod niebiosa. Przy czym do państwowego kultu wprzęgnięto nie tylko szkoły, ale i całe urzędy, Instytut Pamięci Narodowej, MON, MSWiA, MEiN, firmy oraz spółki skarbu państwa.

Narysuj sobie „Inkę” i pobiegnij Tropem Wilczym

XI edycja Ogólnopolskiego Konkursu „Żołnierze Wyklęci – Bohaterowie Niezłomni” oprócz imponującej liczby organizatorów (Fundacja im. Kazimierza Wielkiego, XXIX LO im. cc. mjr. H. Dekutowskiego ps. „Zapora” w Lublinie, Związek Żołnierzy Narodowych Sił Zbrojnych, Stowarzyszenie im. Kazimierza Wielkiego) ma jeszcze bardziej imponujący komitet honorowy – patronat narodowy prezydenta Andrzeja Dudy, jest minister aktywów państwowych Jacek Sasin, minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro, minister edukacji i nauki Przemysław Czarnek, prezes IPN Karol Nawrocki, wojewoda lubelski Lech Sprawka, 13 kuratorów oświaty, w tym Barbara Nowak, marszałkowie dwóch województw. Uf, czy tu na pewno chodzi o konkurs dla uczniów?

Działania obecnego ministra edukacji mają prowadzić do konkretnej interpretacji: ten dobry to „żołnierz wyklęty”, ten zły to komunistyczne państwo polskie.

Mnożące się konkursy o „żołnierzach wyklętych” historię traktują zero-jedynkowo. Jadwiga Wiśniewska, europosłanka, też ogłasza taki konkurs – nagrodą jest wyjazd do Brukseli. Dostanie tysiące prezentacji robionych, jak co roku, przez rodziców albo dziadków ze slajdów ściągniętych z internetu. Jak wyłowi te najlepsze? A szkoła, która przyśle najwięcej prezentacji, otrzyma dodatkową nagrodę. Całe klasy więc cykają po sześć internetowych slajdów.

– Brakuje nam refleksji, krytycyzmu, analizy. Takie konkursy ogłupiają, są wtórne. Co da ładna prezentacja? Czy z tej ładności wyniknie przygotowanie do matury? Podejrzewam, że przez kilka lat dzieci oddają tę samą prezentację, tylko lekko zmodyfikowaną. A nuż wygram wycieczkę do Brukseli? Małe dzieci z klas I-III też mają konkursy o „wyklętych”, np. narysuj „Inkę”. Jaki ma być cel tego rysunku? – pyta Anna Skiendziel, nauczycielka historii z Zespołu Szkół Technicznych i Ogólnokształcących nr 2 w Katowicach. – Pracowałam trzy lata w lokalnym IPN, jeździłam po szkołach, ucząc o „wyklętych”. Widzę, jak bardzo zmieniła się narracja. Kiedyś była refleksja. Dziś wszystko jest narodowe.

Na stronie IPN pod hasłem Narodowy Dzień Pamięci Żołnierzy Wyklętych znajdziemy wysyp imprez – wystawy, debaty, odsłonięcia kolejnych tablic, dyskusje, gry miejskie, popularyzacje sylwetek, złożenia kwiatów, infografiki, komiksy, szkolenia dla nauczycieli. Rozmach, obfitość lokalizacji – od morza do Tatr, zapał. Państwo grosza nie skąpi.

By dopełnić ten obraz państwowego kultu „wyklętych”, dorzućmy „Tropem Wilczym. Bieg Pamięci Żołnierzy Wyklętych”. „Zachęcamy uczniów i nauczycieli do udziału w Biegu Pamięci Żołnierzy Wyklętych – Tropem Wilczym. (...) Szkoły, które wezmą udział w wydarzeniu, otrzymają pakiety edukacyjne. Dodatkowo będą mogły zgłosić kandydata do stypendium sportowego Tropem Wilczym”, czytamy zachętę na stronach Ministerstwa Edukacji i Nauki.

eprasa.pl c966d1c9a7

Apel w VIII LO we Wrocławiu, 2016 r.

W 2013 r. grupa entuzjastów i działaczy społecznych postanowiła zorganizować bieg w lesie koło Zalewu Zegrzyńskiego. Pierwsza edycja miała charakter surwiwalowy, wzięło w niej udział 50 uczestników. Kolejna odbywała się już w Warszawie w Parku Skaryszewskim. Pobiegło wtedy 1,5 tys. osób. Od 2015 r. bieg jest wydarzeniem ogólnopolskim. W 2020 r. miał ponad 75 tys. uczestników z 370 miast, w tym z Chicago, Christchurch, Herdorfu, Keysborough, Londynu, Nowego Jorku, Penrose Park, Wiednia, Wilna oraz siedmiu misji wojskowych za granicą (w Afganistanie, Bośni i Hercegowinie, Iraku, Kosowie, Łotwie, Republice Środkowoafrykańskiej, Rumunii), gdzie hołd „żołnierzom wyklętym" oddali nie tylko polscy żołnierze, ale również wojskowi z USA, Węgier, Danii, Ukrainy itd. Uczestnicy biegną w koszulkach z „wyklętymi".

Szkoła i „wyklęci"

– „Żołnierze wyklęci" to trudny temat dla szkół, bo ich postawy moralne były bardzo różne. Działania obecnego ministra edukacji mają zaś prowadzić do konkretnej interpretacji: ten dobry to „żołnierz wyklęty", ten zły to komunistyczne państwo polskie oraz jego aparat bezpieczeństwa. Nie ma miejsca na dyskusję o dylematach tych ludzi, ocenę ich postaw, co nimi powodowało, że pozostali w lesie i kontynuowali walkę z nowym wrogiem – uważa dr Piotr Kroll, pełnomocnik dziekana ds. specjalizacji nauczycielskiej na Wydziale Historii Uniwersytetu Warszawskiego.

Rząd PiS postawił na takie właśnie zderzenie świata dobra i zła. Szkoły mają się włączać w obchody Narodowego Dnia Pamięci Żołnierzy Wyklętych i koniec. W 2020 r. resort edukacji i nauki zbierał informacje, ile szkół, ilu uczniów bierze udział. W podtekście, kto i dlaczego jeszcze nie włączył się do udziału w tym uroczystym wydarzeniu. Mamy więc narzucenie jednotorowej wizji w podstawie programowej, wzmocnienie jej konkursami, aż po narzucenie świętowania tego konkretnego święta. Nie 3 Maja, nie 11 Listopada. W dodatku do jednego worka upycha się Pileckiego, „Roja", a nawet kard. Wyszyńskiego. Z tego powodu zdaniem dr. Krolla uczeń nabiera przekonania, że po II wojnie światowej istniały jedynie złe państwo i ruch oporu. Nie istnieli ludzie, którzy chcieli normalnie żyć, umęczeni wojenną traumą.

– Jeśli nauczyciele mówią, że Witold Pilecki to „żołnierz wyklęty", oznacza to całkowite zwycięstwo prawicowej narracji. Bo o ile „Inka" należała do „leśnego" oddziału, o tyle Pilecki nigdy w nim nie był. Pojawił się, by tonować nastroje buntu, by przejść do innych działań oporu, związanych nie z walką, ale ze zdobywaniem informacji – podkreśla dr Kroll.

Jego spostrzeżenie potwierdza prof. Andrzej Friszke w ekspertyzie projektu rozporządzenia ministra edukacji i nauki z 16 grudnia 2021 r., dotyczącego podstawy programowej kształcenia ogólnego dla liceum ogólnokształcącego, technikum oraz branżowej szkoły II stopnia, a także nowego przedmiotu historia i teraźniejszość: „Zauważmy, że wskazany jako bohater rotmistrz Pilecki walki zbrojnej ani nie prowadził, ani jej nie popierał, wbrew szerzonym teraz mitom, a Prymas Wyszyński podpisał porozumienie z władzami komunistycznymi w 1950 r. (chyba brak o tym wzmianki) i trwał w postawie kompromisowej do 1953 r., nim po kolejnych naciskach i posunięciach władzy powiedział »*non possumus*«".

– Uczę historii tak, żeby moja młodzież dużo dyskutowała. Każdy, kto z takiej lekcji wychodzi, wyrabia sobie własne zdanie. Nie wyobrażam sobie, że w XXI w. w szkole mamy narzucić młodemu człowiekowi taki, a nie inny sposób myślenia – mówi Agnieszka Jankowiak-Maik, nauczycielka historii i wiedzy o społeczeństwie w III LO w Poznaniu, autorka bloga Babka od histy, laureatka Nagrody im. Ireny Sendlerowej „Za naprawianie świata".

Anna Skiendziel zwraca uwagę, że nowa podstawa programowa, ta po szkole podstawowej, mówi już o „żołnierzach niezłomnych". W IV klasie, a więc gdy dziecko ma 10 lat, „uczeń sytuuje w czasie i opowiada o żołnierzach niezłomnych – Witoldzie Pileckim i Danucie Siedzikównie »Ince«".

Filmy wyklęte

„Historia Roja, czyli w ziemi lepiej słychać" (2016), scenariusz i reżyseria Jerzego Zalewskiego, zdjęcia zaczęte w 2010 r., jest jak nieudana lekcja historii. „Jeden wielki chaos. Kule świszczą, krew tryska, a wódka się leje", recenzował Krzysztof Połaski.

FOT. WOJCIECH NEKANDA TREPKA/AGENCJA WYBORCZA.PL

eprasa.pl c966d1c9a7

Z filmu można się nauczyć, że Polacy mordują Polaków. Jedni pociągają za spust, mając modlitwę na ustach, a drudzy katują i pozbawiają życia w imię towarzysza Stalina. „Sowieci gwałcą wszystko, co się rusza, a wyklęci – nawet jeżeli biorą bez uprzedniego poznania – to jedynie z miłości i od razu za przyzwoleniem ojca niewiasty. (...) Prawdziwa Polska jest w lesie, każdy, kto wówczas starał się normalnie żyć, dystansował się od polityki, był uważany za zdrajcę i radzieckiego sprzedawczyka. Tytułowy bohater jest sztuczny, wygłaszane przez niego kwestie – zawsze wypowiadane jak kościelne kazanie – brzmią karykaturalnie", dowodził Połaski. Produkcja jego zdaniem jest słaba technicznie: kamera się trzęsie, oświetlenie słabiutkie, a strzelaniny w zwolnionym tempie śmieszą. „Zabrakło pomysłu i umiejętności", puentowałrecenzent.

Ciekawy jest wątek finansowania „Historii Roja". Polski Instytut Sztuki Filmowej przyznał 2,5 mln zł. Pozostałe koszty rozkładały się tak: TVP SA (koproducent) 6 mln zł, Media SKOK Sp. z o.o. (w formie sponsoringu produkcji) – 1 mln zł, producent Dr Watkins Sp. z o.o. – 1 mln zł (w tym komercyjne weksle inwestycyjno-terminowe KSKOK w Sopocie). Telewizja Polska najpierw pieniądze na film dała, po czym wycofała się z dalszego finansowania. Po TVP zrezygnowali inni sponsorzy i zażądali zwrotu części środków. Podobnie PISF. Powodem było przekroczenie przez Zalewskiego harmonogramu prac. Twórcy zorganizowali więc akcję „Ratujmy Roja", na założonej stronie internetowej zbierali potrzebne fundusze. Zalewski z ekipą producencką poszli do sądu w sprawie PISF. Wyrok był dla nich korzystny. „Historia Roja" miała ciąg dalszy. Minister kultury i dziedzictwa narodowego prof. Piotr Gliński domagał się filmu na 41. edycji Festiwalu Filmowego w Gdyni. Ówczesny dyrektor artystyczny festiwalu Michał Oleszczyk wydał oświadczenie, że „Historia Roja" „była przedmiotem merytorycznej dyskusji członków komitetu, w wyniku której film nie trafił do finałowej szesnastki filmów konkursowych".

Idoli powstańczych – „Zośkę" i „Rudego" – zastąpiono „Inką".

„Raport Pileckiego" Leszka Wosiewicza dostał od państwa 38 mln zł (Polska Fundacja Narodowa, Wytwórnia Filmów Dokumentalnych i Fabularnych, PISF), a potem władzy nie spodobał się wczesny montaż złożony z ok. 75% zdjęć. Największymi problemami jeszcze w 2019 r. były przydługi scenariusz i kosztorys znacząco przekraczający możliwości polskiego kina. Dlatego Wosiewicz miał skrócić film do dwóch i pół godziny. Kręcone od sierpnia 2019 r. do czerwca 2020 r. zdjęcia nie wywołały jednak entuzjazmu widzów z TVP, PISF, Ministerstwa Kultury i WFDiF w trakcie specjalnego pokazu.

Wosiewicza zastąpić miał Krzysztof Łukaszewicz. W sumie nie wiadomo, co stało się z tymi pieniędzmi. Premiera filmu była zapowiadana na 13 maja 2021 r., w 120. rocznicę urodzin jego bohatera. Współproducentem „Raportu Pileckiego" jest Telewizja Polska, która planowała zrobić z nakręconego materiału miniserial.

W 2016 r. zapowiedziany został także film „Ochotnik". Miał być najdroższym filmem w historii polskiego kina. Budżet szacowano na 148,8 mln zł! Polskiemu rządowi bowiem od lat marzy się stworzenie poruszającej naród opowieści o wydarzeniu zajmującym szczególne miejsce w naszej zbiorowej pamięci. „Ochotnik" miał być więc tworzony przy zaangażowaniu hollywoodzkich aktorów i reżysera Mela Gibsona. Od jakiegoś czasu na temat dzieła nie pojawiły się jednak żadne nowe informacje, a producenci filmu nie chcą rozmawiać z mediami.

„Wyklęte" gadżety

„Wyklęci" to też żyła złota dla swojskich biznesmenów. Nabywców znajduje odzież wszelakiej maści i akcesoria w stylu tytanowego nieśmiertelnika Exofin „żołnierze wyklęci" za 50 zł ze sklepu Militaryzone. Hitem jest śliniak z Printsalon z czarnym orzełkiem i napisem „żołnierze wyklęci" za 26 zł w promocji. Orzełek może też być czerwony lub biały. Malec może zwymiotować na godło i bohaterów. W Koszulkolandii chętni mogą dokupić niemowlęce body z wilkiem i napisem „żołnierze wyklęci" oraz znakiem Polski Walczącej.

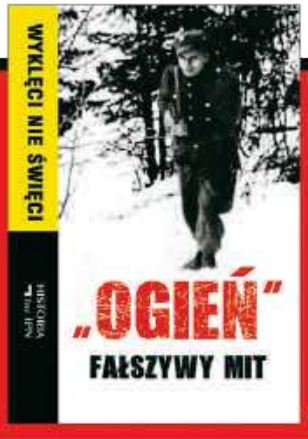

Cztery tomy „Historii bez IPN"
PRZECZYTAJ,
JAK BYŁO NAPRAWDĘ
sklep.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl c966d1c9a7

Za 4,30 euro. Patriotyczne wdzianko typu pajacyk również się znajdzie.

Dorosłego obywatela do snu utulić może kołdra obleczona w czarną poszwę z mikrofibry za jedyne 143 zł z wizerunkiem wielkiego wilka i napisem „Żołnierze wyklęci, historia o nich głucho milczy". Głowę obywatel złoży na czarnej poduszce z orzełkiem do kompletu. Rano może wypić kawę z kubka „wyklętego" w cenie na Allegro od 16,90 zł do 25 zł. Przed wyjściem na dwór zaś dodać powagi obliczu czarną czapką z wilkiem za 27 zł. Ewentualnie przepić sprawę energetykiem „wyklętym" z aluminiowej puszki z napisem: „Bóg, Honor, Ojczyzna" i wzmianką: „100% polski napój energetyczny", choć to raczej gadżet wirtualny z gatunku trolling „wyklęty", tak samo jak prezerwatywy z wilkiem i slipy z nosem wilka wypadającym na męskim przyrodzeniu.

Wchodząc do sklepu, obywatel twarz może przyozdobić maseczką „wyklętą", a w „wyklętej" nerce opasanej wokół biodra pomieścić walutę z orzełkiem. Najlepiej, aby był ubrany w bluzę „wyklętą" w cenie od 139 zł do tylko 99 zł oraz koszulkę Nostra Patriota za 79 zł. W plenerze sięgnąć może po bidon „wyklęty" za 27 zł. „»Śmierć Wrogom Ojczyzny« – naszywki z tym hasłem na swoich mundurach nosili Żołnierze »Roja« – Mieczysława Dziemieszkiewicza oraz 3. Wileńskiej Brygady NZW dowodzonej przez »Burego« (wcześniejsza nazwa 3. Wileńska Brygada AK) wraz z symbolem czaszki i skrótem ŚWO", wyjaśniał jeden z producentów odzieży, który w sprzedaży na Allegro w 2018 r. miał m.in. tematyczną koszulkę za 85 zł. Bogactwo wzorów „wyklętych" jest wręcz imponujące. Weźmy smycz z napisem „Na zawsze w pamięci żołnierze wyklęci" za skromne 14,90 zł ze sklepu stylowydwór.pl. Papierosa podpalić można jedną z wielu zapalniczek z motywem „żołnierzy wyklętych".

Tymczasem na Podlasiu ludzie pamiętają mord na 79 mieszkańcach powiatu Bielsk Podlaski dokonany na przełomie stycznia i lutego 1946 r. przez oddział „Burego". Zamordowano prawosławnych mieszkańców pochodzenia białoruskiego ze wsi Zanie, Zaleszany, Końcowizna, Szpaki i Wólka Wygonowska. Wśród ofiar były dzieci i 30 furmanów wożących po okolicy ludzi z oddziału „Burego". IPN przyjął, że doszło do ludobójstwa. W 2005 r. umorzył śledztwo m.in. dlatego, że po wojnie prawomocnie zakończyło się postępowanie wobec części sprawców. Inni już nie żyli, a pozostałych nie udało się ustalić.

Nie dziwi więc, że grupa lokalnych społeczników i mieszkańców organizuje obchody „Wieczna Pamięć/ *Wiecznaja Pamiat*". – Solidaryzując się z ofiarami nacjonalistycznej przemocy na naszej ziemi w przeszłości, patrzymy z przerażeniem, jak łatwo i mechanizmy, i stojące za nimi emocje odradzają się dzisiaj i zyskują szerokie przyzwolenie. Nie pozwólmy, by się u nas zadomowiły i kazały nam zapomnieć, że stanowimy przede wszystkim wspólnotę ludzi – mówiła w Hajnówce w imieniu organizatorów akcji Alina Krutel. Jej słowa niech będą przestrogą.

Beata Igielska
b.igielska@tygodnikprzeglad.pl

Do jednego worka upycha się Pileckiego, „Roja", a nawet kard. Wyszyńskiego.

– Przeraża mnie biznes historyczny. Wszelkie symbole wykorzystywane na ubraniach, a nawet bieliźnie, zawsze są uproszczeniem. Straszne jest też przywłaszczanie symboli, których się nie rozumie. Gdzie jest granica komercji? – zastanawia się Anna Skiendziel.

Na wschodzie bez zmian

19 lutego br. odbył się już tradycyjny, VI Hajnowski Marsz Pamięci Żołnierzy Wyklętych. Próbowali go blokować Obywatele RP, których z trasy usunęła policja. Marsz odbywał się pod hasłami „Cześć i chwała bohaterom", „Wielka Polska katolicka", uczestnicy nieśli flagi narodowe i emblematy Narodowego Odrodzenia Polski. Było zdjęcie Romualda Rajsa „Burego" i transparenty upamiętniające wspólnie „Burego" i Józefa Kurasia „Ognia" (z hasłem „Najwięksi Wyklęci z Wyklętych") czy Danutę Siedzikównę „Inkę".

KTO ROBI Z BANDYTÓW ŚWIĘTYCH?
Cena pakietu 150 zł
Przegląd
Wpłat prosimy dokonywać na konto:
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta,
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.
W cenę wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Pocztą Polską.
Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +10,00 zł,
Orlen Paczka +6,99 zł, paczkomat InPost +11,90 zł
lub dostawa kurierem InPost +14,90 zł.
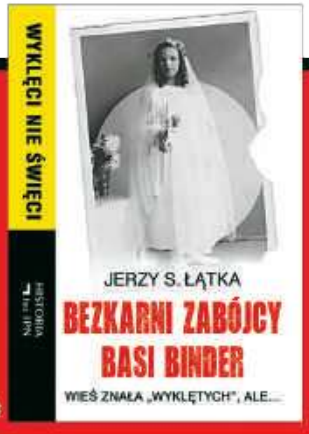

45 zł

43 zł

eprasa.pl c966d1c9a7

Kolejkowa patologia

Pod względem dostępu do lekarza znajdujemy się na samym końcu Unii Europejskiej

Beata Igielska

– W pandemii ludziom coś poodwracało się w głowach. Teraz jak komuś coś dolega, nie myśli od razu o pójściu do lekarza. Sama przechodziłam bardzo ciężką grypę. Miałam 39 st. gorączki, bolały mnie nawet włosy i paznokcie, i w tym stanie przysługiwała mi jedynie teleporada. Za trzy dni. Po znajomości załatwiłam wizytę u lekarza, ale zanim do niego trafiłam, jak większość znajomych leczyłam się domowymi sposobami typu sok malinowy – opowiada nauczycielka ze Zgierza. – A jak kolega z pracy złamał nogę, jeździł od szpitala do szpitala, bo wszystkie, do których trafiał, okazywały się covidowe. W takim mieście jak Zgierz też był szpital covidowy. Koleżance szwy po operacji nogi lekarz zdejmował na parkingu – wylicza nauczycielka.

Czy to da się odwrócić, skoro sytuacja np. w kardiologii jest fatalna? Połowa nadmiarowych zgonów w 2021 r. dotyczyła właśnie pacjentów kardiologicznych, nie licząc przypadków śmiertelnych z powodu COVID-19. O 17% zwiększyła się śmiertelność sercowo-naczyniowa.

– Na początku pandemii obawialiśmy się, że wirus SARS-CoV-2 będzie bardziej uszkadzał serce, na szczęście to się nie potwierdziło. Doszło jednak do spustoszenia organizacji opieki kardiologicznej, wydłużył się czas oczekiwania na poszczególne procedury, zabiegi i operacje. Pacjenci, gdy już się zgłaszają, to często w bardziej zaawansowanym stadium choroby. Leczenie w takiej sytuacji jest trudniejsze, a jego wyniki zwykle są gorsze – mówił w wywiadzie dla Polskiej Agencji Prasowej prof. Tomasz Hryniewiecki, koordynator prac nad przygotowaniem Narodowego Programu Chorób Układu Krążenia na lata 2022-2033 oraz członek Rady. ds. COVID-19. Pacjentom kardiologicznym ma pomóc Krajowa Sieć Kardiologiczna przygotowywana od prawie roku. Na razie pilotaż KSK odbywa się jedynie na Mazowszu. Obejmuje prawie 90 przychodni podstawowej opieki zdrowotnej oraz 41 poradni i oddziałów kardiologicznych. To kropla w morzu potrzeb.

Do kardiologa za cztery miesiące

Dług zdrowotny zaciągnięty w pandemii, kiedy nie działały instytucje medyczne, a przed pacjentami pozamykali się lekarze podstawowej opieki zdrowotnej, wydłużył i tak długie kolejki do specjalistów, przy czym państwo nic nie robi, żeby je rozładować. Z raportu Fundacji Watch Health Care „Barometr WHC" poświęconego dostępności gwarantowanych świadczeń zdrowotnych w Polsce wynika, że we wrześniu 2021 r. średni czas oczekiwania na świadczenie (wizytę u specjalisty lub badanie diagnostyczne) wynosił 3,4 miesiąca. Do kardiologa trzeba czekać ponad cztery miesiące. Najdłuższe kolejki były do chirurga naczyniowego (10,5 miesiąca), neurochirurga (9,6 miesiąca) i endokrynologa (7,6 miesiąca). Najkrócej czeka się natomiast na wizytę u onkologa (0,1 miesiąca), pediatry (0,1 miesiąca), urologa dziecięcego (0,2 miesiąca) i ginekologa (0,2 miesiąca), trzeba jednak pamiętać, że wiele kobiet do ginekologa chodzi prywatnie.

Tymczasem minister zdrowia Adam Niedzielski twierdzi, że pierwszorazowi pacjenci nie muszą czekać w kolejce pół roku. Załóżmy, że lekarz oprócz 10 zaplanowanych na dzisiaj pacjentów przyjął też 10 z kolejnego dnia. Kto ma obdzwonić następnych w kolejce?

– Z rejestratorkami jest gigantyczny problem, te, które chcą pracować, niekoniecznie mają pojęcie o czymkolwiek. Kolejka więc staje się generatorem kolejki, blokuje dostęp do lekarza. Tymczasem to likwidacja kolejek jest jedyną metodą, żeby zwiększyć dostęp do lekarza. NFZ na to nie pójdzie, bo to niepolityczne, bo zostanie zburzona sprawiedliwość społeczna. Nie czarujmy się, że możemy liczyć na skrocenie

FOT. PIOTR KAMIONKA/REPORTER

eprasa.pl c966d1c9a7

kolejek. Żeby je zmniejszyć, trzeba przyjmować więcej pacjentów. Ale nie można przyjmować więcej, bo obowiązuje kolejka. To jest kwadratura koła. Ktoś musiałby dawać pacjentom nowe terminy – mówi prof. Bolesław Samoliński, współtwórca strategii rozwoju zdrowia publicznego, kierownik Zakładu Profilaktyki Zagrożeń Środowiskowych i Alergologii Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego.

Kolejka to setki tysięcy, jeśli nie miliony osób. Jeżeli ktoś był zapisany, dajmy na to, na 20 marca, nie można go przyjąć dziś. Prawdą jest też, że lekarze są przemęczeni, nie chcą przyjmować nieskończonej liczby pacjentów. System się zatyka. Specjaliści mówią, że ledwo dyszy.

– Na gwałt potrzebujemy nowych kadr, nowych rozwiązań organizacyjnych, płacowych, płacenia nie za procedury, tylko za efekty zdrowotne. Nie ma jednak woli politycznej, żeby tak do sprawy podejść. Minister Niedzielski, cokolwiek powie, jest torpedowany. Nie ma za sobą siły politycznej, jedynie premier za nim stoi – konkluduje prof. Samoliński.

Uwolnienie badań rezonansem czy tomografem niewiele dało, badania przecież nie leczą. Co z tego, że popchnęliśmy diagnostykę do przodu, skoro nadal jest kolejka do lekarza, który zanalizuje wyniki i zadecyduje, co dalej?

Ponadto już od dawna specjaliści alarmowali, że system covidowy powinien być oddzielony od niecovidowego. Chorzy niezakażeni powinni mieć normalny dostęp do szpitali, a nie tracić go na rzecz pacjentów covidowych. W chwili pisania tekstu (22 lutego) w szpitalach przebywa 16,5 tys. takich pacjentów. Zajmują więc ok. 7% z 250 tys. łóżek szpitalnych w Polsce. Niemniej jednak system ochrony zdrowia jest sparaliżowany. To ewidentny objaw złej organizacji opieki nad pacjentami covidowymi. – Powinni być hospitalizowani na osobnych oddziałach. Teraz leżą na każdym oddziale, korzystają z tych samych pomieszczeń diagnostycznych, nie ma reżimu sanitarnego. Personel zaś nie jest przygotowany do obsługi tych pacjentów. Od początku pandemii o tym mówimy i nic się nie zmienia – podsumowuje prof. Samoliński.

Najdłuższe kolejki były do chirurga naczyniowego, neurochirurga i endokrynologa.

Tłumy na onkologii

Monika, lat 44, Warszawa. 9 września 2021 r. pojawiła się po raz pierwszy u lekarza, bo wyczuła guzek w pachwinie, 4 listopada była operowana na czerniaka.

– Internistka przytomnie od razu zaordynowała zieloną kartę DiLO, czyli kartę diagnostyki i leczenia onkologicznego. Miałam wrażenie, że dzięki temu byłam pacjentką pierwszej kolejności. Lekarze z Narodowego Instytutu Onkologii na Ursynowie w Warszawie są bardzo doświadczeni, od razu postawili prawidłowe rozpoznanie. Minus? Brak empatii dla pacjenta, ogromny przemiał, zmęczenie, wąskie korytarze, tłok, ciągłe kłótnie. Kilka osób zapisanych na tę samą godzinę. Słabe jest też to, że lekarz przyjmuje raz w tygodniu. Jak mu coś wypadnie, trzeba czekać. Zawsze natomiast można donieść do gabinetu kolejne badania. Wizyta trwa 10 minut – to taki konkret do bólu, lekarz od razu dzwoni na oddział, pyta o pierwszy dostępny termin zabiegu – opowiada Monika.

Dziś jest już po rehabilitacji, załapała się szybko na psychoonkologa, dalsze wsparcie otrzymuje w fundacji, odbywa kolejne immunoterapie. Czuje się dobrze.

Monika nawet pomyślała, że może w jej przypadku poszło tak szybko, bo jest młoda. Ale nie, na sali pooperacyjnej leżała ze starszą panią z Legionowa, która na mastektomię czekała ledwie tydzień, wcześniej jednak doświadczając wielomiesięcznej katorgi w powiatowym szpitalu, gdzie lekarze nie potrafili postawić prawidłowej diagnozy. Rak rozsiał się również po jamie brzusznej.

Ela, lat 52, niezłośliwy nowotwór krwi, wizyty w pandemii odbywała regularnie, może z nieco mniejszą częstotliwością niż wcześniej. Poza onkologiem na co dzień korzysta z niepublicznej służby zdrowia.

Starszy pan ze Zgierza, po ciężkich przejściach onkologicznych, wizyty odbywał również regularnie.

We wrześniu średni czas oczekiwania na wizytę u specjalisty lub badanie diagnostyczne wynosił 3,4 miesiąca.

Jak więc jest z dostępem do opieki onkologicznej? Łatwiej o nią w dużych miastach, w których istnieją dobrze funkcjonujące ośrodki. Sama wizyta u onkologa nie oznacza bowiem postępu w leczeniu. Do sześciu tygodni czeka się na opis badania obrazowego (tomograficznego czy rezonansowego), czeka się na termin biopsji, potem na wynik badania histopatologicznego – to wszystko układa się w koszmar. Diagnostyka trwa najczęściej ok. 10 tygodni. Za mało mamy specjalistów z zakresu onkologii klinicznej, coraz mniej chirurgów. Średni wiek chirurga w Polsce – powyżej 58 lat.

– My, onkolodzy, pracujemy bardzo intensywnie, zmuszeni przez system do przyjmowania zbyt wielu pacjentów. Nie jest rzadkością, że do jednego onkologa zapisanych jest ponad 50 pacjentów dziennie. W systemie niewiele się zmieniło – niskie wyceny naszych usług powodują, że dyrektorzy, by nie ponosić strat, zmuszają do przyjmowania tak wielu chorych. Mam pretensje – złość – do władzy każdej maści. Czy to SLD, PO czy PiS – wszyscy politycy dbają wyłącznie o sprawy, które odsuwają od nich odpowiedzialność za tworzenie ważnych dla społeczeństwa zmian systemowych – denerwuje się prof. Cezary Szczylik, wybitny onkolog, specjalizujący się także w chorobach wewnętrznych.

eprasa.pl c966d1c9a7

– W Krajowej Sieci Onkologicznej chodzi o skok na kasę dla dużych ośrodków. Pieniędzy w onkologii jest coraz mniej, a zachorowań coraz więcej, procedury, m.in. wskutek wysokich wymogów NFZ, są coraz droższe, refundacji jest coraz mniej, a istniejące programy refundacyjne mają bardzo zawężone kryteria, oparte na krytykowanych badaniach fazy III – uważa profesor.

Jego zdaniem, żeby ośrodek przetrwał na rynku, musi sobie zapewnić pieniądze. Uznano, że problemy finansowe rozwiąże centralizacja. Tymczasem rosnąca liczba chorych napływających do dużych ośrodków powoduje, że pacjenci czekają w kolejkach do onkologa po sześć-siedem godzin. W skrajnych przypadkach lekarz może im poświęcić dwie-cztery minuty. Cóż z tego, że zbudowano wiele ośrodków regionalnych, skoro nikt nie zauważył, że skończył się czas, gdy było 90-100 tys. zachorowań rocznie. Teraz to 180 tys. Środków zaś jest niemal tyle samo, bo efekty podwyżek praktycznie zjada inflacja. Bez znaczącego wzrostu nakładów i urealnienia wycen usług onkologicznych nie ma szansy na poprawę.

– Należy ponownie policzyć pacjentów, koszty usług, zasoby ludzkie i urządzenia. Tworzyć spójną, ponadpartyjną politykę zdrowotną, wolną od instruktorów narciarskich i emerytowanych agentów służb. Obecnie panuje chaos – punktuje prof. Szczylik.

Na opis tomografii czy rezonansu czeka się do sześciu tygodni.

Brak lekarzy

W Polsce zaczyna brakować nie tylko onkologów. Według raportu OECD „Health at a Glance 2020" na 1 tys. mieszkańców mamy zaledwie 2,4 lekarza, podczas gdy średnia w Unii Europejskiej to 3,4. Tym samym pod względem dostępu do lekarza znajdujemy się na samym końcu Unii. Najsilniej te braki odczuwają szpitale, bo lekarze rezygnują z pracy i idą do prywatnych przychodni, gdzie zarabiają dużo większe pieniądze. Wypięli się na publiczną ochronę zdrowia, gdy państwo wypięło się na nich poprzez zaostrzenie prawa, niewrażliwość na postulaty, obarczenie ich odpowiedzialnością za sprawy niezawinione.

– Nie ma czegoś takiego jak etos pracy lekarza, środowisko zaczęło się komercjalizować. Nie dostaję kasy – nie pracuję, kropka. Taki stosunek do pracy mają przede wszystkim młodzi lekarze. Korzystają z deficytu na rynku i potrafią wyciągnąć 200 zł za godzinę pracy na dyżurze. 24 godziny razy 200 zł równa się 4,8 tys. zł. Nikt nie wspomina, że korzyść z takiego usługowego lekarza na dyżurze jest zerowa: nie zna pacjentów, nie ma doświadczenia. To samo zaczyna się dziać z pielęgniarkami – diagnozuje sytuację prof. Bolesław Samoliński.

Beata Igielska
b.igielska@tygodnikprzeglad.pl

Polska rewolucja
Grzegorz Konat
Cena 39zł

Do nabycia w wybranych księgarniach.
Książkę można też zamawiać w Instytucie Wydawniczym „Książka i Prasa"
ul. Twarda 60, 00-818 Warszawa,
telefon: 22 624 17 27
e-mail: redakcja@iwkip.org,
www.monde-diplomatique.pl

eprasa.pl c966d1c9a7

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Wojnie – NIE

O wojnie powiedziano już wszystko, a jakby nie powiedziano nic. O wojnie wiemy wszystko, a zupełnie jakbyśmy nie wiedzieli niczego. Przeciw wojnie powiedziano już tyle razy: nigdy więcej, a nie dotarło. Ta wojna nie jest inna od pozostałych. Ta wojna jest podręcznikowa. Mimo to do ostatniego ranka nie wierzyłem, że wybuchnie, że tak można, że tak blisko, że dotknie ludzi, których znam, że uderzy w tych, którzy żyją obok nas, pracują, studiują, kochają się. Ta wojna mnie obezwładnia, nie chcę czytać książek o tej wojnie, kiedyś, po latach. Po prostu chciałbym, żeby jej nie było. Żeby ta wojna – i każda inna – była niemożliwa, niewyobrażalna, nieprzeprowadzalna, niewybuchalna. Bo nie ma takiego problemu, którego nie da się rozwiązać inaczej. A wygląda na to, że wojny nie da się po prostu rozwiązać, że jest żywiołem, że jest potężniejsza od każdego, każdej z nas osobno i od wszystkich razem. Że nie zwraca uwagi na protesty, niby liczne, ale liche. Być może najważniejszy głos płynie z samej Rosji, od tych, którzy mają odwagę i niewykalkulowane racje, kiedy wychodzą wykrzyczeć: NIE w moim imieniu. *Niet wojnie*! Czy jak ta garstka pograniczników na niczemu niesłużącej, nikomu niepotrzebnej, zapomnianej, maleńkiej Wyspie Węży, którzy na ultimatum rosyjskiego okrętu odpowiedzieli: *Idite na choj*.

Słowa milkną, przestają znaczyć, kiedy wybuchają bomby.

Jeden z najwybitniejszych pisarzy ukraińskich, 62-letni Jurij Andruchowycz, przed kilkoma dniami opowiadał, że kiedy wybuchnie wojna – pójdzie do partyzantki. Kiedy tłumacz Rilkego mówi takie rzeczy – wieje grozą. Podobno w rozmowie z gładkim polskim dziennikarzem, już po rosyjskiej agresji, na pytanie, co by powiedział Putinowi, gdyby go spotkał, odparł: „Zabiłbym go". Na drążenie, żeby jednak powiedział, co by powiedział, zareagował krótko: „Co tu mówić". Co tu mówić – to być może powszechne odczucie. Słowa milkną, przestają znaczyć, kiedy wybuchają bomby, kiedy nadlatują rakiety, kiedy strzelają czołgi, kiedy ludzie kryją się na stacjach metra, jak w 1941 r.

W tej bezradności czytam Słonimskiego, w kółko.

Ten jest z ojczyzny mojej

Ten, co o własnym kraju zapomina.
Na wieść, jak krwią opływa naród czeski,
Bratem się czuje Jugosłowianina,
Norwegiem, kiedy cierpi lud norweski,

Z matką żydowską nad pobite syny
Schyla się, ręce załamując żalem,
Gdy Moskal pada – czuje się Moskalem,
Z Ukraińcami płacze Ukrainy,

Ten, który wszystkim serce swe otwiera,
Francuzem jest, gdy Francja cierpi, Grekiem –
Gdy naród grecki z głodu obumiera,
ten jest z ojczyzny mojej. Jest człowiekiem

Kiedy jeszcze dekady temu piłem wódkę, spędziłem taką noc z Andruchowyczem, w polskich górach, w domu przyjaciół. Jurij nauczył mnie najważniejszego ukraińskiego toastu, najkrótszego, najbardziej lapidarnego: *Budmo*. Bądźmy.

Co można dodać? Bądźcie. Bądźmy.

Zdelegalizujmy wojnę na zawsze. Bo na taką i każdą inną wojnę nas po prostu nie stać. Mamy przed sobą zapaść klimatu, kryzys energetyczny. A w tym momencie czołgi prą na Kijów. Wielcy tego świata rozgrywają swoją chorą partię siłowania się na ukraińskiej ziemi, jednej z najbardziej doświadczonych podczas najokrutniejszej wojny światowej.

A za śmieszki z hasła „Nigdy więcej wojny" – kula w łeb. Nawet we własny.

r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Przegląd
Dołącz do naszej społeczności
Znajdź PRZEGLĄD na Facebooku, Twitterze, Instagramie, YouTubie i LinkedIn

eprasa.pl c966d1c9a7

Miliardy euro albo Ziobro

Inni w Europie już dostają pieniądze. A u nas przedsiębiorcy i samorządy czekają

Rozmawia Robert Walenciak

JAN TRUSZCZYŃSKI
– były ambasador RP przy Unii Europejskiej. Podsekretarz stanu w Kancelarii Prezydenta RP Aleksandra Kwaśniewskiego. Były wiceminister spraw zagranicznych. Po odejściu z MSZ pracował w strukturach UE.

Panie ambasadorze, co z pieniędzmi z Unii, które miały się złożyć na krajowy plan odbudowy (KPO)? To 58,1 mld euro.

– Część jest w formie grantów (23,9 mld euro), część – pożyczek (34,2 mld euro).

Unia może je zablokować, prawda?

– Ja bym tego nie nazwał blokadą. Tu chodzi raczej o spełnienie przez Polskę określonych kryteriów. Ich ocena musi być pozytywna, najpierw po stronie Komisji Europejskiej, a następnie po stronie państw członkowskich, które formalnie podejmują decyzję o uruchomieniu krajowych planów odbudowy. Krótko mówiąc, nie ma tu blokady, piłeczka jest po stronie polskiej.

O jakie kryteria chodzi?

– Kryteria są zawarte w rozporządzeniu z początku 2021 r., przyjętym również przez Polskę, dotyczącym Funduszu Odbudowy i sposobu jego realizacji. W art. 19 tego rozporządzenia jest precyzyjna informacja o tym, w jaki sposób państwa członkowskie powinny spełnić kryteria adekwatności, efektywności, skuteczności, spójności. Jest to rozbite na 11 obszarów. Każdy z nich jest analizowany i jeśli okaże się, że choć jedno z wyznaczonych kryteriów nie jest spełniane, projekt planu odbudowy nie może zostać zaaprobowany. Wiem, że to brzmi biurokratycznie, ale z drugiej strony jest to filtr jakościowy, przez który przepuszczane są dokumenty wysmażone i w Portugalii, i na Malcie, i w Polsce.

Trudno przejść przez ten filtr?

– Te kryteria są znane od lutego 2021 r. i są spełniane. Przecież 22 plany odbudowy zostały już przyjęte przez Radę Europejską, po aprobacie i pozytywnej ocenie Komisji Europejskiej. Parę planów jest w fazie analizy, jeden jeszcze nie został przedłożony – to Holandia. I są dwa w stadium negocjacji – Węgry i Polska.

A czego konkretnie Bruksela chce od Polski?

– Polska w projekcie swojego krajowego planu odbudowy nie przedstawiła wystarczających informacji, jak zamierza spełnić jedno z 11 kryteriów – realizację zaleceń wydanych jej przez Radę UE w latach 2019 i 2020 w ramach tzw. Semestru europejskiego, a zwłaszcza umocnienie niezależności sądownictwa.

We wrześniu wiceminister funduszy i polityki regionalnej Waldemar Buda mówił, że nie ma w prawie UE trybu, który pozwala na wstrzymanie pieniędzy dla KPO. I że nie ma możliwości pominięcia Polski.

– Ten pan Buda w sierpniu zeszłego roku sprzedawał obywatelom nieprawdę, mówiąc, że KPO nie został jeszcze zaaprobowany, bo Komisja Europejska jest leniwa, jej urzędnicy pojechali na urlopy. We wrześniu opowiadał kolejne banialuki, że jest przekonany, że do końca roku dostaniemy zaliczkę 4,7 mld euro w ramach KPO, itd. Jedno łgarstwo goni drugie. A jednocześnie od połowy lipca, czyli od orzeczenia Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej w sprawie Izby Dyscyplinarnej Sądu Najwyższego, było jasne, że wymogi dotyczące niezależności polskiego wymiaru sprawiedliwości będą musiały zostać skrystalizowane i wpisane do krajowego planu odbudowy. Że bez tego nie będzie finalizacji całości. Na to nałożyło się orzeczenie Trybunału pani Przyłębskiej, że prawo europejskie jest niezgodne z polską konstytucją. Innymi słowy, postawiono pod znakiem zapytania wykonywanie prawa europejskiego na terytorium Polski. Ten splot czynników spowodował, że dodatkowej wagi nabrała sprawa zapewnienia niezależności polskiego sądownictwa. To się skrystalizowało później w postaci trzech wymogów wobec Polski podanych pod koniec października 2021 r. przez Ursulę von der Leyen.

Chodzi o likwidację Izby Dyscyplinarnej, reformę systemu dyscyplinowania sędziów i przywrócenie do pracy usuniętych sędziów.

– To są wymogi sformułowane w ten sposób, że polski rząd powinien przedstawić wiążące zapewnienia, ubrane w język tzw. kamieni milowych – do kiedy i w jaki sposób zlikwidujemy Izbę Dyscyplinarną, do

eprasa.pl c966d1c9a7

kiedy i w jaki sposób podejmiemy reformę systemu dyscyplinarnego i jaką drogą pójdziemy, żeby przywrócić do pracy sędziów bezprawnie zawieszonych przez organ, który nie jest w istocie sądem, czyli przez Izbę Dyscyplinarną. To wszystko powinno zostać wpisane do krajowego planu odbudowy.

Twardości wobec Polski żąda Parlament Europejski. Pięć głównych frakcji podpisało się pod żądaniem, by nie zatwierdzać polskiego KPO, zanim Izba Dyscyplinarna nie zostanie zlikwidowana.

– Również wiele krajów europejskich poparło stanowisko Komisji Europejskiej, stwierdzając, że w polskim KPO muszą być odpowiednie gwarancje dla niezależności sądownictwa. Jesienią zeszłego roku była wspólna deklaracja francusko-holenderska, był odpowiedni zapis w umowie koalicyjnej nowego rządu niemieckiego, było stanowisko przedstawione przez jednego z kluczowych ministrów w rządzie Finlandii. I na tym lista się nie zamyka.

A polski rząd odpowiada, że to szantaż unijnych urzędników i próba wasalizacji Polski. I że temu się nie podda.

– To jest czcza gadanina. Sprawdza się ona w jakimś stopniu wśród wiernego elektoratu, ale na zewnątrz nie robi to żadnego wrażenia. Znaczenie będzie miało tylko to, co polski rząd przedstawi w krajowym planie odbudowy.

A czy będzie można negocjować z krajami Unii? Słyszałem o groźbach, że Polska będzie wetować wszystko, co Unia będzie chciała realizować, i taką blokadą zmusi pozostałych do ustąpienia.

– Dużo do wetowania nie ma. *Gros* aktów prawnych Unii przyjmuje się w procedurze większości kwalifikowanej. Ale są odcinkowe sprawy, w których można sobie wyobrazić wetowanie. Na przykład wszystko, co związane jest z podatkami. Na stole negocjacyjnym są choćby projekty nowych tzw. źródeł własnych, czyli dochodów budżetu Unii. Tutaj potrzebna będzie jednomyślność. Tylko że blokowanie decyzji unijnych przez państwo, które przedtem oświadczyło, że nie będzie stosować prawa europejskiego i nie uważa, że jest nim związane, jest kontrproduktywne. Bo czego domaga się w zamian? Zgody na gwałcenie prawa europejskiego? W systemie sieciowym, jakim jest UE, destrukcyjne zachowania nigdy nie zostają zapomniane i dużo kosztują, nawet gdyby miał to być koszt odłożony w czasie.

W Unii Europejskiej destrukcyjne zachowania nigdy nie zostają zapomniane.

Premier Morawiecki, który na temat polskiego KPO rozmawiał niedawno z Ursulą von der Leyen, powiedział, że „zostało 5% do uzgodnienia sprawy", choć nie ma pewności, że uda się porozumieć w najbliższych tygodniach… Pan to wyśmiał.

– Wyśmiałem. Wysłany do Brukseli krajowy plan odbudowy miał czterysta kilkadziesiąt stron. Warunki przedstawione przez panią von der Leyen, te trzy punkty, dadzą się zapisać na jednej stronie. To nawet mniej niż 1%. Coś mi tu nie gra w tej arytmetyce.

Przede wszystkim nie ma chyba o czym dyskutować, bo projekty ustaw dotyczące Izby Dyscyplinarnej i sądownictwa dopiero trafiają do Sejmu. Jakie więc zobowiązania Polska może wpisać do swojego KPO?

– Jak to będzie wpisane do KPO – nie wiem. Czym się zadowoli Komisja – też nie wiem. Można zapisać tak, że KPO zostanie zaaprobowany dopiero po likwidacji Izby Dyscyplinarnej. A można również zapisać termin, do którego legislacja likwidująca Izbę Dyscyplinarną zostanie przyjęta w Polsce. Każdy z tych trzech warunków musi zostać odzwierciedlony. W postaci czegoś, co jest weryfikowalne i opatrzone terminem realizacji – do kiedy zrobimy to, co deklarujemy, że zrobimy.

To jest upiorne. Na jednej szali mamy 58,1 mld euro, a na drugiej – Izbę Dyscyplinarną, która ma służyć trzymaniu sędziów za twarz. Jak to może być równe?

– Ta sytuacja jest skandaliczna i wysoce szkodliwa. Nie można też zapominać, że całość tych pieniędzy trzeba wydać do końca 2026 r. A do końca 2023 r. trzeba całość zakontraktować, czyli opatrzyć umowami wiążącymi i realizacyjnymi. Już niewiele czasu zostało! Optymistycznie zakładam, że te projekty, które zmieściły się w ramach polskiego KPO, są już prowadzone. Że praca wre. Że ocena oddziaływania na środowisko jest zakończona, zezwolenie na warunki zabudowy gotowe… Że ruszamy z kopyta, tylko czekamy na pieniądze.

Wierzy pan w to?

– Jak się wejdzie na strony Ministerstwa Funduszy i Polityki Regionalnej, to tam o KPO nie ma nic nowego od jesieni minionego roku. Nie ma żadnego odniesienia do tego, co buńczucznie mówi premier Morawiecki, że na razie te projekty będziemy realizować z własnych pieniędzy. Nie widzę tej realizacji, widzę gadaninę polityczną. A czas goni. Inni, którzy już dostają pieniądze, mogą je wydawać. A u nas przedsiębiorcy i samorządy czekają. To wszystko przez Ziobrę i jego kilkunastu koleżków. Jak się położy na jednej szali to, co ważne dla społeczeństwa i gospodarki, a na drugiej grupowy interes kilkunastu facetów, to nie mieści się w głowie, że ta grupka szkodników wygrywa, bo trzyma PiS za gardło. Wciąż jest pat. A w sumie chodzi, wszyscy to wiedzą, o parę prostych ruchów.

Jak się położy na jednej szali to, co ważne dla społeczeństwa i gospodarki, a na drugiej interes kilkunastu facetów, to nie mieści się w głowie, że ta grupka szkodników wygrywa.

r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl c966d1c9a7

Łukasz Grzesiczak
Korespondencja
z Czeskiego Cieszyna

Na zakupy do Polski

Czesi i Słowacy ruszyli do naszych sklepów. Jest tak tanio, że na nic się zdała propaganda o niskiej jakości polskiego jedzenia

Już dawno w czeskich mediach nie pisało się tak wiele o Polsce. „Zakupowy raj w Polsce. Ceny żywności i benzyny spadły, a Czesi szturmują granicę", informuje „Deník". „Polski raj zakupowy jeszcze potaniał. Czesi jeżdżą po jedzenie, benzynę, ale i do weterynarza", dodaje „Dnes". A „Lidové noviny" wysyłają do Polski reportera, by zrelacjonował czeski atak na polskie sklepy. „Wielka migracja na zakupy na własne oczy. Czesi najechali polskie sklepy i stacje benzynowe, a na codziennych zakupach oszczędzają nawet i połowę", czytamy. To jedynie przykłady artykułów, które ukazały się w czeskich mediach.

Korony zostają w kieszeni

Wyjazdy Czechów na zakupy do Polski to nie nowość. W 2017 r. porównywałem ceny koszyka, na który składały się popularne produkty spożywcze w Kauflandzie w Cieszynie i Czeskim Cieszynie. Wówczas za 14 produktów, wśród których były jajka, majonez, masło czy cukier, w Polsce trzeba było zapłacić 75,03 zł, a w Czechach – 81,66 zł. Jednak teraz te różnice cen są o wiele większe. Powodów jest kilka. Polska do 31 lipca 2022 r. zlikwidowała VAT na wiele podstawowych produktów spożywczych i obniżyła VAT na paliwa z 22% do 8%. Obniżce cen towarzyszy długotrwały spadek wartości złotówki w stosunku do czeskiej korony. Pod koniec marca 2017 r. za 100 czeskich koron trzeba było zapłacić 15,65 zł, w lutym 2022 r. kosztują one już 18,56 zł. Za piwo w knajpie na ostrawskiej ulicy Stodolní Polak płacił 7,80 zł, a teraz musi wydać ok. 9,30 zł. Czecha kosztowało i nadal kosztuje 50 koron, bo w przypadku ulubionego w Czechach napoju znacznej podwyżki nie widać, czego nie można powiedzieć np. o cenach dań w restauracji.

Oba kraje zmagają się z inflacją na podobnym poziomie. W Polsce w styczniu 2022 r. inflacja liczona rok do roku wyniosła 9,2%, w Czechach – 9,9%. Dlatego nie ma co się dziwić, że Czesi głosują portfelami. W piątek, 18 lutego, pod Lidlem i Kauflandem w Cieszynie nie brakowało aut na czeskich rejestracjach. Niektóre sklepy w Polsce zdecydowały się nadawać dla klientów informacje o promocjach także w języku sąsiada.

Na początku lutego reporter czeskiej gazety „Deník" wybrał się na zakupy do Cieszyna i Czeskiego Cieszyna. To dwa miasta, które przez wieki stanowiły jeden organizm, przedzielone rzeką. Polacy i Czesi mają tu sklepy czy restauracje u swoich sąsiadów w odległości krótkiego spaceru. Tomáš Januszek w dwóch sklepach należących do sieci Lidl kupił 13 popularnych produktów spożywczych. W koszykach znalazły się m.in. chleb słonecznikowy, ser żółty edamski, pierś z kurczaka, jajka, jogurt, coca-cola czy pomidorki koktajlowe. Niemal identyczne zakupy w Polsce kosztowały go 61,50 zł, a w Czechach równowartość 75,41 zł. Tylko dwa produkty w polskim Lidlu były droższe, i to niewiele – sok pomarańczowy i pomidorki koktajlowe. Pozostałe produkty tańsze są w naszych sklepach, a za piersi z kurczaka Czech musi zapłacić niemal dwa razy więcej niż Polak.

Oczywiście Czesi jeżdżą na zakupy nie tylko do Cieszyna, ale też do wielu polskich miejscowości przy granicy, np. Kudowy-Zdroju czy Złotego Stoku.

Nieskuteczna propaganda

Najazdu czeskich klientów nie powstrzymała zmasowana akcja deprecjonowania jakości polskich produktów spożywczych, którą od lat można dostrzec w Czechach. Niektórzy polscy producenci żywności mówią wprost o „wojnie spożywczej" i za wszelką cenę w czeskich sklepach ukrywają polskie pochodzenie produktów. A Czesi często drobiazgowo kontrolują polskie produkty. I wykorzystują problemy naszych producentów. Chętnie przypominają aferę z 2012 r., kiedy do Czech z Polski trafiły kiełbasa, szynka, konserwy rybne i pieczywo zawierające sól drogową. Sprawa – jak wytykają – dotyczyła wówczas tysięcy ton produktów spożywczych. W 2019 r. na oficjalnym profilu czeskiego resortu rolnictwa na Facebooku pokazano ponad 130 produktów, w przypadku których czescy inspektorzy i służby weterynaryjne wykryli dawniej nieprawidłowości. „Sól drogowa, zakazany fenylobutazon w końskim mięsie, antybiotyki w mięsie z kurczaka,

Portfele Polaka, Czecha, Słowaka

Eurostat co cztery lata publikuje dane dotyczące przeciętnych zarobków brutto w państwach Unii Europejskiej. W 2018 r. przeciętne wynagrodzenie w Polsce wyniosło 895 euro, na Słowacji – 979 euro, a w Czechach – 1064 euro. Obecnie średnią pensję oszacować można na podstawie danych krajowych instytucji, które jednak różnie ją liczą. Dziś średnia pensja w Polsce w sektorze przedsiębiorstw to 6064,24 zł brutto, w Czechach – prawie 6950 zł, a na Słowacji niemal 5857 zł. Według Eurostatu w styczniu 2022 r. wysokość pensji minimalnej w Polsce to 655 euro brutto, w Czechach – 654 euro, a na Słowacji – 646 euro.

eprasa.pl c966d1c9a7

niebezpieczny fipronil w jajkach, pestycydy w owocach i warzywach. To tylko niektóre wielkie skandale związane z polskimi produktami spożywczymi. Popatrzcie na przegląd kolejnych żywnościowych nieprawidłowości, które wykryli u nas inspektorzy spożywczy i służby weterynaryjne", napisano w mediach społecznościowych.

Za piersi z kurczaka Czech musi zapłacić niemal dwa razy więcej niż Polak.

Na samym FB wiadomość w ciągu dwóch dni udostępniono ponad tysiąc razy, feralne polskie produkty pokazały wówczas popularne czeskie portale internetowe. A w 2013 r. Andrej Babiš, który potem został wicepremierem i premierem, w programie telewizyjnym odmówił degustacji polskiej kiełbasy, mówiąc: „Ja nie jem tego waszego gówna".

Z drugiej strony warto podkreślić, że coraz więcej Czechów z uznaniem wypowiada się o polskich produktach spożywczych, zwłaszcza ci mieszkający przy granicy, którzy na co dzień mają kontakt z naszym krajem, a nie ograniczają się do często krzywdzących stereotypów.

Kolejki na stacjach paliw

Część Polaków na forach internetowych skupiających mieszkańców przygranicznych miejscowości narzeka na szturm Czechów na polskie sklepy. Zwracają uwagę, że niemal w hurtowych ilościach wykupują oni pieluchy czy mięso. Ich zdaniem bywa, że produkt jest wówczas niedostępny dla innych klientów. Można w tym dostrzec analogię do lat 80., kiedy Polacy masowo odwiedzali o wiele lepiej wówczas zaopatrzone czechosłowackie sklepy, napotykając często opór ze strony sprzedawców.

Ale największy najazd czeskich klientów, czego doświadczyłem w Cieszynie, przeżywają polskie stacje benzynowe. Według danych z 21 lutego opublikowanych w serwisie GlobalPetrolPrices.com, który monitoruje ceny paliw na całym świecie, średnia cena litra benzyny Pb 95 w Polsce to 5,35 zł, w Czechach – równowartość 6,95 zł. Jeszcze drożej jest na Słowacji, gdzie za litr benzyny należy zapłacić 7,05 zł.

W lutym również Słowacy ruszyli na zakupy do Polski. Słowacka gazeta „Denník N" informuje, że branżowa organizacja handlowa Zväz obchodu Slovenska, do której należy m.in. właściciel supermarketów COOP Jednota, żąda, by w obliczu regulacji cen na produkty spożywcze przez Budapeszt i obniżenia VAT przez Warszawę słowacki rząd też obniżył VAT na wybrane produkty spożywcze. Ma to być odpowiedzią na 8,5-procentową inflację odnotowaną w styczniu – najwyższą od 2003 r. Członkowie organizacji donoszą, że w sklepach przy granicy z Polską stwierdzili spadek zakupów nawet o 30%. „Denník N" informuje także o słowackich kierowcach, którzy masowo kupują benzynę na stacjach w Polsce. Niektórzy napełniają nieprzystosowane do tego beczki o pojemności kilkuset litrów i busami przewożą benzynę na Słowację.

Nie wiadomo jeszcze, ile potrwa to zakupowe eldorado w Polsce. Czeski serwis Seznam Zprávy porównał ceny najważniejszych produktów spożywczych i drogeryjnych w okolicach Bogatyni, gdzie przebiega granica Polski, Czech i Niemiec. Sprawdził ceny 18 produktów w niemieckiej Żytawie (Zittau), polskiej Bogatyni i czeskim Frýdlancie. Najtaniej wyszły zakupy w Polsce, bo kosztowały niewiele ponad 166 zł. W Niemczech trzeba było zapłacić niemal 197 zł, a w Czechach prawie 211 zł.

Inna sprawa to różna jakość produktów spożywczych. Czesi i Słowacy przekonują, że te same produkty w tych samych opakowaniach sprzedawane np. w Polsce, Czechach czy na Słowacji są gorszej jakości od tych, które oferuje się Niemcom lub Austriakom. Dlatego sporo mieszkańców Bratysławy jeździ na zakupy do Austrii. Przekonują, że zakupione tam produkty są lepsze, a niekiedy i tańsze.

l.grzesiczak@tygodnikprzeglad.pl

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl c966d1c9a7

Nie wyrzucajmy Polskiego Ładu do kosza

Musimy uciekać do przodu. Nie ma dokąd się cofać, bo to, co było przed Polskim Ładem, nie było idealne

Piotr Ostrowski

Ostatnie, lutowe posiedzenie Rady Dialogu Społecznego poświęcono omówieniu wpływu reform podatkowych Polskiego Ładu na sytuację pracowników i pracodawców. W spotkaniu, po raz drugi w tym roku, uczestniczył prezydent RP Andrzej Duda.

Podczas dyskusji wyraźnie zaznaczyły się dwa kierunki myślenia. Zdaniem pracodawców i przedsiębiorców Polski Ład jest reformą nieudaną, dyskryminującą zwłaszcza małe i średnie przedsiębiorstwa, i należy wstrzymać jego realizację, jednocześnie przygotowując nową koncepcję reform, opracowaną w ramach negocjacji z partnerami społecznymi. W opinii Ogólnopolskiego Porozumienia Związków Zawodowych widać w Polskim Ładzie zarysy pewnej zasadniczej koncepcji idącej w pożądanym kierunku, wymaga ona jednak istotnego dopracowania w kwestiach zarówno operacyjnych, jak i systemowych.

Prezentując nasze stanowisko, nawiązałem do art. 20 Konstytucji RP, który brzmi: „Społeczna gospodarka rynkowa oparta na wolności działalności gospodarczej, własności prywatnej oraz solidarności, dialogu i współpracy partnerów społecznych stanowi podstawę ustroju gospodarczego Rzeczypospolitej Polskiej". Społeczna gospodarka rynkowa jest zatem fundamentem ustrojowym naszego państwa, a jednym z jej wyrazów jest solidaryzm społeczny.

Jestem przekonany, że solidaryzm społeczny powinien być realizowany przez sprawiedliwy system podatkowy. Czy poprzedni system podatkowy – ten istniejący przed 1 stycznia 2022 r. – można nazwać sprawiedliwym? Z pewnością nie. Na tle innych krajów Europy Zachodniej był on degresywny, nadmiernie obciążał osoby o niskich dochodach, a był nad wyraz łagodny dla osób osiągających wysokie dochody. Dodatkowo nadmiernie uprzywilejowywał on osoby prowadzące działalność gospodarczą, kosztem osób zatrudnionych na podstawie umowy o pracę, co także się przyczynia do pogłębiania się negatywnego zjawiska umów śmieciowych i fałszywego samozatrudnienia.

Podatki w Polsce są postawione na głowie. Regresywny, a więc relatywnie mocniej obciążający niżej uposażonych, podatek VAT jest wyższy niż średnia dla krajów strefy euro. Jeśli chodzi o PIT, w Polsce mamy dwa progi podatkowe, z maksymalnym progiem 32%. W strefie euro – zwykle od czterech do sześciu, z progiem średnio na poziomie 49%. A dodatkowo polski ewenement – liniowy podatek 19% „dla przedsiębiorców". Efektywna stawka CIT w Polsce to 16,6%, a w strefie euro 21,5%. W wielu kwestiach chcemy się upodabniać do Zachodu, ale w kwestiach podatkowych wszystko robimy odwrotnie.

Czy zatem w kontekście poprzedniego systemu Polski Ład to system sprawiedliwszy? Naszym zdaniem tak. Polski Ład to krok, choć mały, ale we właściwym kierunku. Z pewnością chciałoby się więcej, ale zaproponowane rozwiązania są koniec końców korzystne dla ogromnej liczby Polek i Polaków.

OPZZ przede wszystkim popiera podwyższenie do 30 tys. zł „kwoty wolnej" od podatku. Jest to realizacja postulatu programowego OPZZ na lata 2018-2022. Wzrost miesięcznych dochodów o ok. 200 zł dla osób o najniższych dochodach naprawdę ma znaczenie.

Nie ulega jednak wątpliwości, że pomimo właściwych założeń Polski Ład nie został właściwie przygotowany. Jest zbyt dużo niejasności i skomplikowania, powstaje chaos. Dziś już wiemy – wie to także strona rządowa – że reformę można było przygotować lepiej. Zdaniem OPZZ zabrakło po prostu pogłębionego i rzeczowego dialogu społecznego rządu z partnerami społecznymi w tej sprawie. Przypomnę cytowany wcześniej art. 20 konstytucji. Nie da się realizować społecznej gospodarki rynkowej bez poważnego traktowania dialogu społecznego i partnerów społecznych. W tym przypadku mści się fałszywe przekonanie o własnej nieomylności. Na przykładzie projektowania i wdrażania Polskiego Ładu widać więc, jak bardzo ważny jest dialog społeczny. Czas najwyższy zacząć traktować poważnie zarówno dialog społeczny, jak i partnerów społecznych.

> Poprzedni system podatkowy nadmiernie obciążał osoby o niskich dochodach, a był nad wyraz łagodny dla osób osiągających wysokie dochody.

Co teraz robić? Zdaniem OPZZ musimy uciekać do przodu. Nie ma dokąd się cofać, bo to, co było przed Polskim Ładem, nie było idealne. Aby realizować konstytucyjną zasadę społecznej gospodarki rynkowej, nie możemy wracać do nadwiślańskiego neoliberalizmu. Teraz trzeba doskonalić to, co jest, i kontynuować dyskusję, w jaki sposób uczynić nasz system podatkowy sprawiedliwszym. Mam nadzieję, że pomimo niedoróbek i ogólnej plątaniny nie zniechęcimy się do starań o to, aby uczynić polski system podatkowy powszechnym, równym (równy dochód = równy podatek), progresywnym (ktoś o większym dochodzie ma większe zdolności do płacenia wyższego podatku), jak najbardziej przejrzystym i jednoznacznym. Mam także nadzieję, że tym razem będzie to się opierać na konstruktywnym dialogu społecznym, na który OPZZ jest zawsze gotowe.

Autor jest wiceprzewodniczącym Ogólnopolskiego Porozumienia Związków Zawodowych

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl c966d1c9a7

Oko w oko

Tomasz Jastrun

Nakłuwanie niedźwiedzia

Pisząc ironicznie o formule „wina Tuska", żywię jednocześnie przekonanie, że jest jakaś wina Tuska w tym, że PiS doszło do władzy. Tego akurat PiS mu nie wypomina. Ale też jestem pewien, że Tusk jest najwybitniejszym polskim politykiem. Churchill też popełniał wielkie błędy. Znajomy pisze: „Byłem wiceministrem podczas pierwszej kadencji rządu Tuska i na własne oczy widziałem, jak bierny i antyspołeczny był to rząd. Najmniejsza próba refom była powstrzymywana, przywoływano jako przestrogę AWS. »Zrobi się coś« po historycznej reelekcji. A druga kadencja była w dużej mierze kampanią do europejskiego urzędu. Tak, był kryzys, ale to najlepszy czas na zmiany. Nie wszystko więc to jego wina, ale akurat do dojścia PiS do władzy bardzo się Donald Tusk przyczynił". Znajomy szybko dodaje, że ma problem z krytykowaniem Tuska, bo rządy PiS to katastrofa dziejowa. Dlatego obaj teraz całym sercem kibicujemy Tuskowi, wybaczając mu błędy i licząc na to, że czegoś się na nich nauczył.

•

Czytam po angielsku dziennik Williama L. Shirera „Berlin Diary". Shirer był korespondentem amerykańskich gazet i radia amerykańskiego w latach 1934-1941, mieszkał wtedy głównie w Berlinie. Tuż przed niemieckim najazdem odwiedzał Warszawę; przejmujące, jak opisuje napiętą atmosferę tych dni, wkrótce jako dziennikarz oglądał bitwę o Westerplatte. W Niemczech czasami jest blisko Hitlera, świetnie go opisuje – pokurcz fizyczny, zachowujący się jak psychopata. Shirer wie i czuje więcej niż zachodni politycy, którzy nie rozumieli psychozy Hitlera, a ich haniebne ustępstwa doprowadziły do II wojny światowej. Piłsudski w roku 1934, jakże przezornie, żądał interwencji zbrojnej w Niemczech, ale nie znalazło to zrozumienia w Anglii ani we Francji. Shirer jako amerykański korespondent jest na tyłach armii niemieckiej w czasie inwazji na Belgię i Francję. Świetnie diagnozuje przyczyny porażki, francuscy starzy generałowie mentalnie nadal tkwili w okopach I wojny światowej i, co zdumiewające, zupełnie nie wyciągnęli wniosków z najazdu Niemiec na Polskę. Siedząc w Berlinie, dziennikarz śledzi kłamstwa Goebbelsowskiej propagandy. Jak na dłoni widać, że w złagodzonej, ale i tak wystarczająco jadowitej formie taki rodzaj kłamstwa jest w pisowskiej propagandzie, a w pełnej krasie rozkwita w rosyjskiej. Reżimowe media w Rosji twierdzą, że Zachód wspólnie z Ukrainą chce rzucić Rosję na kolana, gdyż nie może zaakceptować tego, że Rosja chce być „samodzielna". W propagandzie używane są argumenty o spisku elit, w innej wersji – o spisku mającym na celu powołanie do życia rządu światowego, którego celem jest zniszczenie powstałej z kolan Rosji i kradzież jej surowców naturalnych. W tym kontekście, co znamienne, często pojawia się nazwisko amerykańskiego finansisty i filantropa George'a Sorosa. W polskiej i węgierskiej propagandzie Soros też się pojawia – jako zły Żyd. Ciekawe, że w opowieściach o faszystach rządzących w Kijowie sugeruje się, że Ukrainą rządzą Żydzi. A więc hitlerowscy Żydzi, dobre! Antysemityzm jest w Rosji głębinowy, to wielka podziemna rzeka, czerpano z niej za caratu, w czasach komunistycznych, a i dzisiaj bywa użyteczna. Na słynnej konferencji Putin już nie używa dyplomatycznego języka, można go streścić tak: Ukrainę stworzył Związek Radziecki i powinna ona do niego wrócić, a on, Putin, Związek Radziecki przywraca do życia, też dzięki wchłonięciu Ukrainy.

•

Jednak zaatakował Ukrainę, a teraz obserwuje, co świat na to. Czuję takie obrzydzenie do Rosji, że nie mogę dokończyć biografii Chruszczowa. Ta sama Rosja od wieków, rzadko się zdarza, by istota narodu tak długo trwała niezmieniona. Znamienne, że nawet genialni Rosjanie: Tołstoj, Dostojewski, Gogol, potem Sołżenicyn, bez względu na to, jak utalentowani, jak światli i liberalni, prędzej czy później lądowali jako piewcy wielkoruskiego nacjonalizmu. Z wielkich odporny był na to tylko Aleksander Hercen, polecam jego niezwykłe pamiętniki. Zatruty jestem tym, co się dzieje z Ukrainą. Nawet PiS mi blednie. Wraca widmo gorącej i zimnej wojny. Chiny popierają Rosję, gdyż mają już na oku Tajwan. A historia się powtarza, jak w 1938 i w 1939 r. Czechosłowacja i Polska zostały pozostawione przez demokratyczny Zachód, tak teraz zostawiona została Ukraina. Dzisiaj jednak sytuacja jest o wiele trudniejsza niż w latach 30., wisi nad nami widmo wojny termojądrowej. Wtedy nie było bomby atomowej, dlatego bierna postawa Zachodu wobec Hitlera była głupotą i hańbą. A teraz Zachodowi zostają tylko sankcje, to jak nakłuwanie szpilką niedźwiedzia. Może coś poczuje, ale to niepewne.

Jest jakaś wina Tuska w tym, że PiS doszło do władzy. Ale tego akurat PiS mu nie wypomina.

t.jastrun@tygodnikprzeglad.pl

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl c966d1c9a7

POLSKI BANK DLA POLSKICH ROLNIKÓW

Bank dla rolników, czyli powrót do przeszłości

Mniejsi lub średni rolnicy produkujący na rynek i rozwijający swoje gospodarstwa nie mają w BNP Paribas Bank Polska czego szukać

Jan Machynia

W historii polskiej bankowości zdarzało się, że rolnicy mieli własne banki niemal na wyłączność. Po II wojnie światowej był to Państwowy Bank Rolny, który finansował reformę rolną, udzielał pomocy na odbudowę zniszczonych gospodarstw i partycypował w akcji osiedleńczej na Ziemiach Odzyskanych. Powstały w roku 1948 Bank Rolny kredytował inwestycje w rolnictwie i leśnictwie oraz w przemyśle drzewnym. W latach 70. uznano, że konkurencja jest szkodliwa dla banków. Łączono je więc w większe organizmy. Na tej fali w 1975 r. powstał Bank Gospodarki Żywnościowej. 54% udziałów miało w nim państwo, 46% należało do banków spółdzielczych. Miał obsługiwać wyłącznie rolnictwo, obrót artykułami rolno-żywnościowymi i przemysł rolno-spożywczy.

Taki model funkcjonował do początku lat 90., kiedy to załamał się z hukiem. Początek wdrażania reform przyniósł bowiem upadłość lub zubożenie wielu gałęzi polskiego rolnictwa, co zaważyło na kondycji BGŻ. Wówczas okazało się, że ograniczanie obsługi do jednej branży, w dodatku tak wrażliwej na zawirowania rynkowe, jest dla banku niekorzystne, bo jej upadek lub załamanie również dla niego oznacza kłopoty. W latach 90. sam główny udziałowiec, czyli państwo, musiał ostatecznie ratować BGŻ z opresji, emitując – na mocy specjalnej ustawy – obligacje restrukturyzacyjne, co skutkowało umorzeniem BGŻ wielomiliardowych długów, wygenerowanych w wyniku upadku spółdzielczych central skupowo-handlowych i eksporterów rolno-przetwórczych, takich jak Rolimpex, Hortex czy Agros. Ten gest ze strony państwa, wściekle zresztą atakowany przez ówczesne środowiska opiniotwórcze, pozwolił BGŻ odzyskać równowagę rynkową, a następnie przyjąć nową strategię rozwoju. Celem nie była już tylko obsługa szeroko pojętego sektora rolnego, należało dążyć do poszerzenia bazy klientów o nowe, w tym miejskie, środowiska.

W roku 1994 Bank Gospodarki Żywnościowej przekształcono w spółkę akcyjną. Trzy lata później, w celu obsługi polskich firm aktywnych gospodarczo na rynkach wschodnich, bank utworzył przedstawicielstwo w Moskwie. W 1998 r. brytyjskie czasopismo „The Banker" usytuowało BGŻ na 448. miejscu wśród tysiąca największych banków świata, co – zważywszy na niedawne poważne trudności, nie najlepszą sytuację w polskim rolnictwie i kontekst międzynarodowy – nie było wynikiem złym.

> W 1998 r. brytyjskie czasopismo „The Banker" usytuowało BGŻ na 448. miejscu wśród tysiąca największych banków świata.

Do roku 2004 dominującym właścicielem BGŻ SA był skarb państwa, mający 69% akcji. Pozostałe akcje w większości należały do banków spółdzielczych zrzeszonych m.in. w Banku Polskiej Spółdzielczości, Gospodarczym Banku Wielkopolskim i Mazowieckim Banku Regionalnym. Państwu jednak te akcje wyraźnie ciążyły. W 2000 r. państwowy nadzorca sprzeciwił się pełnieniu przez BGŻ funkcji banku zrzeszającego dla banków spółdzielczych, co było czytelnym sygnałem, że idzie nowe w postaci prywatyzacji. Rozpoczęto poszukiwania inwestora strategicznego. Była nikła szansa, że zostaną nim banki spółdzielcze, ale zabrakło wśród nich jednomyślności, pokutował bowiem wizerunek BGŻ jako bankruta z początku lat 90. Wielu uważało go za trupa w szafie. Nie ulękły się tego trupa takie banki jak holenderski Rabobank oraz Europejski Bank Odbudowy i Rozwoju. W grudniu 2004 r. ten pierwszy objął 13,76% akcji, a drugi 15%. Niespełna miesiąc później udział Rabobanku w akcjonariacie wzrósł już do 35,5% w wyniku zakupu akcji od spółdzielczych banków zrzeszających. Na początku 2008 r. Rabobank nabył 15% akcji Europejskiego Banku Odbudowy i Rozwoju, uzyskując ponad 50% głosów na walnym zgromadzeniu i tym samym przejmując kontrolę nad BGŻ. Z tej ścieżki nie było już odwrotu.

W wyniku porozumienia z 5 grudnia 2013 r. między Rabobankiem a BNP Paribas ten ostatni we wrześniu 2014 r. przejął kontrolę nad BGŻ. Już miesiąc później zarządy BNP Paribas Bank Polska i BGŻ podpisały plan połączenia obu podmiotów (październik 2014 r.). Polegało ono na wniesieniu majątku BNP Paribas Bank Polska do BGŻ. Porównując ówczesny potencjał obydwu banków na polskim rynku, oznaczało to, że gołodupiec zasila bogatego. Fuzja prawna nastąpiła 30 kwietnia 2015 r. Od tego czasu bank funkcjonował jako Bank BGŻ BNP Paribas SA. Był siódmym pod względem wielkości bankiem w Polsce, jego udział w rynku wynosił 4%.

eprasa.pl c966d1c9a7

30 marca 2019 r. nastąpiło coś, co nazwano eufemistycznie rebrandingiem. Realnie polegało to na usunięciu z nazwy BGŻ. Od tej pory bank funkcjonuje pod nazwą BNP Paribas Bank Polska.

Po drodze nastąpiły jeszcze inne przejęcia. W październiku 2017 r. w opiekuńcze ramiona BNP Paribas (wtedy jeszcze z BGŻ w nazwie) rzucił się Sygma Bank Polska. Rok później to samo spotkało wydzieloną część Raiffeisen Bank Polska. Przejmując banki lub ich części, przejmowano również klientów kosztem niewspółmiernym do zysków.

Dziś wielu klientów BNP Paribas Bank Polska to klienci byłego BGŻ, w tym duża część przedsiębiorców rolnych – właścicieli lub dzierżawców dużych gospodarstw. Mniejsi lub średni rolnicy, produkujący na rynek i rozwijający swoje gospodarstwa, raczej nie mają w nim czego szukać. Dla nich partnerem są banki spółdzielcze – instytucje finansowe o kapitale w całości polskim. Ich oferty nie są jednak kierowane tylko do rolników, lecz także do firm, rzemiosła i podmiotów świadczących różne usługi. Niektóre banki spółdzielcze odegrały dużą, choć nieznaną, bo nieupublicznianą rolę jako partnerzy firm borykających się ze skutkami kryzysu w 2008 r. Gdy banki komercyjne odmawiały wówczas pomocy, bo jej warunki wykraczały poza obowiązujące procedury, z pomocą pośpieszyły banki spółdzielcze, ratując firmy przed upadkiem. W przeciwieństwie bowiem do banków komercyjnych mogą one sobie jeszcze pozwolić na indywidualne traktowanie każdego klienta, co pewnie niedługo się skończy.

Wracając do głównego wątku, budowa lub odbudowa banku, który specjalizowałby się w świadczeniu usług dla rolników, nie byłaby łatwym przedsięwzięciem. Takiemu bankowi trudno byłoby pozyskać udziałowców czy akcjonariuszy. A gdyby już udało się ich znaleźć, to czy zdecydowaliby się na wzięcie odpowiedzialności za ryzyko związane z dekoniunkturą, chwiejnością i nieprzewidywalnością rynków rolnych, dodatkowo gnębionych spekulacją? Czy można tego od nich wymagać? Gwarantem bezpieczeństwa dla banku mógłby być tylko skarb państwa, który udzielałby gwarancji minimalizujących ryzyko produkcyjno-handlowe „fabryk pod chmurką". Czy jednak państwo mogłoby zdecydować się na przejście drogi odwrotnej do tej, którą podążało w parze z byłym BGŻ za BNP Paribas niczym stado baranów za swoim Panurgiem? Precedens wprawdzie był, ale… Przedsiębiorcy rolni i czynni rolnicy nie są, niestety, emerytami, więc szanse są minimalne.

Realny, choć niełatwy do przeprowadzenia, wydaje się inny pomysł: połączenie sił banków spółdzielczych z takimi bankami jak PKO BP SA i Pekao SA. Na początek byłby to wspólny produkt (produkty) dla rolników, realizowany w różnych skalach wielkości przez te podmioty. W obecnych warunkach może to być optymalny początek budowy wprawdzie nie jednego, lecz wielu ściśle współpracujących polskich banków dla polskich rolników i przyjaznej dla nich oferty. Bo to, że polskim rolnikom potrzebny jest polski bank (polskie banki), nie budzi wątpliwości. ■

Realne, choć niełatwe do przeprowadzenia, jest połączenie sił banków spółdzielczych z takimi bankami jak PKO BP SA i Pekao SA.

FOT. WŁODZIMIERZ WASYLUK/FORUM

eprasa.pl c966d1c9a7

Rozmawia Katarzyna Niedurny

Przeżyć i doświadczyć

O architekturze PRL

ANNA CYMER
– historyczka i popularyzatorka architektury, dziennikarka. Autorka książki „Architektura w Polsce 1945-1989"

Lubię sceny w powojennych filmach, kiedy ludzie wracają do zniszczonych miast i zaczynają budować wszystko od nowa.

– Uważałabym jednak z tym sformułowaniem „od nowa". To nie jest tak, że rodzi się PRL i następuje gwałtowne cięcie – powstaje nowa architektura. Tak naprawdę mamy do czynienia z ciągłością z modernizmem i 20-leciem międzywojennym. Nawet w czasie wojny nasi architekci nie przestawali pracować w tajnych pracowniach, gdzie tworzyli nowe koncepcje urbanistyczne, zastanawiając się, co będzie dalej. Wiele projektów zrealizowanych po wojnie było przygotowywanych jeszcze przed jej zakończeniem.

Czytałam, że znany architekt Bohdan Pniewski w czasie wojny nie dość, że projektował domy mieszkalne, to jeszcze były one zaraz budowane.

– Budowa w czasie wojny to nigdy nie jest oczywisty obraz… Bardzo ciekawe były również budynki, które zostały wymyślone w czasie wojny i nigdy nie powstały. Projekty były wizjonerskie, architekci nie mieli ograniczeń, bo przecież trwała wojna i nikt nie wiedział, w którą stronę to wszystko pójdzie. Tworzyli oni nie na podstawie wytycznych, tylko z wyobraźni. Dopiero później pojawiły się konkretne potrzeby i możliwości. Jedną z nich była odbudowa Starego Miasta w Warszawie, podjęta niezwykle szybko z powodów politycznych, ale myślę, że miała zarazem dobry wpływ psychologiczny. Mówiła: zobaczcie, damy radę po tym wszystkim się podnieść.

Pierwszą istotną zmianą dla architektury powojennej był socrealizm, tworzony pod hasłem „socjalistyczny w treści, narodowy w formie". Co to w zasadzie oznaczało?

– Tego nie wiedzieli nawet socjalistyczni ideolodzy. Było to wzniosłe hasło, potrzebne propagandowo, ale nie szły za nim żadne wskazówki co do konkretnych rozwiązań architektonicznych. Nie zmienia to faktu, że był to ciekawy okres w architekturze, i mam wrażenie, że budynki,

eprasa.pl c966d1c9a7

abstrahując od okrutnych czasów, w których powstały, dziś już są odbierane bardzo dobrze. Wiele jest wpisywanych do rejestru zabytków. Oczywiście architekci nie mieli pełnej wolności i musieli swoje pomysły konsultować z politykami, ale w praktyce ta architektura estetyczna i monumentalna została zaakceptowana społecznie. Dodatkowo socrealizm zmuszał do powrotu do form historycznych, a to w Polsce zawsze cieszyło się ogromnym uznaniem. Powstałe wtedy budynki są dekoracyjne, solidnie zbudowane, mają ładne wnętrza i rozpoznawalne detale architektoniczne – kolumny, balustrady. Trzeba też dodać, że w zdecydowanej większości projektowali je nie przysłani z Moskwy nadzorcy, ale Polacy, którzy starali się zaproponować w swoim kraju sensowne rozwiązania.

Domyślam się, że nie ma czegoś takiego jak jednolita architektura PRL, możemy wyróżnić w niej okresy i mody.

– Dokładnie tak, architektura zmieniała się w widoczny sposób w każdej dekadzie. Tuż po wojnie, jeszcze w końcówce lat 40., mamy do czynienia z kontynuacją modernizmu tworzoną przez architektów nafaszerowanych przedwojennymi ideałami. Potem przychodzi socrealizm, który trwa krótko, ale zostawia po sobie spektakularne realizacje.

Kończy się on w roku 1956.

– I wtedy następuje pętla z czasami przedwojennymi, wraca modernizm i nowoczesność. Lata 60. są momentem dużej swobody architektonicznej i biorąc poprawkę np. na uwarunkowania finansowe, śmiało można wpisać to, co się działo, w rozwój architektury zachodnioeuropejskiej. Mieliśmy mniejsze środki, ale podobny sposób myślenia. W latach 70. ponownie polityka zaczyna zarządzać tym, co się buduje. Najważniejsze było umasowienie budownictwa, które miało zapobiegać katastrofie mieszkaniowo-społecznej. Trzeba było budować tanio, dużo i szybko. Nie powstawały już wtedy kameralne osiedla, takie jak Sady Żoliborskie, tylko budowało się Chomiczówkę, Bródno. Zmieniły się skala i narzędzia.

A co się zmienia w latach 80.?

– Kryzys ekonomiczny powoduje, że kończą się wielkie inwestycje. Zmienia się też kultura. Do Polski dociera istniejący już od dawna w Stanach Zjednoczonych postmodernizm, który niesie dużą przemianę stylistyczną. Zmniejsza się skala architektury i następuje powrót do dekoracyjności w zupełnie innym wydaniu niż w socrealizmie, kiedy były na to pieniądze i można było zrobić kamienną kolumnadę, gdzie się chciało. Teraz raczej dekoracyjność łączy się ze swojskością – przybija się na bloku jakieś deseczki, żeby było przytulnie. To wszystko, o czym mówię, to wyraźne i czytelne zmiany w przestrzeniach naszych miast. Nie trzeba być ekspertem, żeby je zauważyć.

Mam wrażenie, że coraz więcej ludzi docenia architekturę tego okresu.

– Mniej więcej od 10 lat poważnie o niej dyskutujemy, ale ciągle mamy kłopot z jej roztropną ochroną. Pierwsze pytanie brzmi, jak o te budynki zadbać, a drugie – jak na nowo wpisać je w przestrzeń miasta. Nie chodzi przecież o to, żeby zrobić z nich skansen. Przykładem takiej udanej modernizacji jest poznański okrąglak Marka Leykama, zaprojektowany jako dom towarowy, którym nigdy nie był. Przez lata straszył w mieście – był brudny, zaniedbany i nielubiany. Ale kiedy pojawił się inwestor, kupił go i przerobił na luksusowy biurowiec, stał się nagle jednym z symboli miasta i wszyscy go uwielbiają. Tak samo warszawski Dworzec Centralny był strasznie nielubianym budynkiem, a duże grono ludzi chciało go rozebrać i zbudować na nowo. Tymczasem wystarczyło go umyć i okazało się, jak fenomenalna jest to architektura. Oczywiście kiedy nie patrzy się na te okropne antresole, które dobudowano w środku.

Pochodzę z Górnego Śląska i nasz dworzec w Katowicach nie miał tyle szczęścia. Po wielu kontrowersjach zburzono go, zamiast odnowić.

– Zanim dostrzegliśmy wartość architektury PRL, niestety trzeba było wyburzyć jej najbardziej istotne realizacje: dworzec w Katowicach i warszawski Supersam. A myślę, że dworzec w Katowicach też wystarczyło umyć i przywrócić do pierwotnego stanu, szczególnie że był on doskonale wprojektowany w miasto – razem z kładką unoszącą się nad placem Szewczyka. Stojąca tam obecnie Galeria Katowicka działa zdecydowanie mniej miastotwórczo…

Jakie są twoje ulubione budynki z okresu PRL?

– Na pierwszym miejscu warszawski Uniwersus, chociaż jest obecnie mocno zaniedbany i jego losy rysują się raczej w ciemnych barwach. To budynek z lat 70., czyli okresu, który niesłusznie kojarzy się tylko z blokowiskami i wielką płytą. W pewnym sensie przypomina on kontrowersyjny budynek Solpolu. Oba są bardzo polskie. Mało mamy autorskich budynków, stworzonych dla konkretnych przestrzeni, takich które nie mogłyby stać gdzieś indziej. Uniwersus nie jest kopią, nie jest inspirowany, nie jest wynikiem

Budynki z okresu socrealizmu są dekoracyjne, solidnie zbudowane, mają ładne wnętrza i rozpoznawalne detale architektoniczne.

Biorąc poprawkę na uwarunkowania finansowe, to, co budowano w latach 60., śmiało można wpisać w rozwój architektury zachodnioeuropejskiej.

eprasa.pl c966d1c9a7

naszych polskich kompleksów, które często są w architekturze bardzo widoczne. Jest za to odważny i wyrazisty. Został zaprojektowany po to, żeby było go widać i żeby robił wrażenie, jako reprezentant stylistyki w architekturze, która trwała dość krótko i nie przyniosła wielu realizacji: mieszanki brutalizmu i *high-tech*. Z daleka wygląda trochę jak robot. A drugim ważnym dla mnie budynkiem jest kościół św. Ducha w Chorzowie.

Rozdział o architekturze sakralnej w twojej książce „Architektura w Polsce 1945-1989" jest bardzo zaskakujący.

– Tymczasem architektura sakralna to absolutnie polski fenomen, który nie miał miejsca nigdzie indziej. Chodzi nie tylko o sam fakt budowania tysięcy kościołów w państwie programowo antykościelnym, ale też o to, że w tej właśnie przestrzeni architekci mieli całkowitą swobodę. Bardzo często kończyło się to realizacjami absolutnie złymi, jednak są również nieprawdopodobnie wspaniałe i oryginalne. Podobnie jak wspomniany przeze mnie kościół. Mimo że zbudowany z betonu, jest budynkiem niebywale subtelnym, pełnym niuansów stylistycznych i formalnych, tworzących niezwykłą całość świetnie zaprojektowanego obiektu. To połączenie wyrazistości i delikatności. Mimo że jestem niewierząca, zrobił na mnie bardzo duże wrażenie.

W latach 80. dekoracyjność architektury łączy się ze swojskością.

Czy masz jakieś rady dla osób, które chciałyby dowiedzieć się czegoś więcej o architekturze PRL?

– Poleciłabym wybranie się na wczasy do któregoś z zaprojektowanych wtedy domów wypoczynkowych. Najbardziej spektakularna jest dzielnica wypoczynkowa w Ustroniu Zawodziu, jest także elegancko odnowiony Dom Wypoczynkowy Harnaś w Bukowinie Tatrzańskiej, który udowadnia, że architektura PRL nadal może być luksusowa. I wiele, wiele innych podobnych miejsc. Taki wyjazd to świetny pomysł na doświadczenie architektury. Można też oczywiście o niej mówić, na nią patrzeć i o niej czytać, ale przecież nie możemy zapominać, że budynki przede wszystkim można odczuwać.

Katarzyna Niedurny

1

2

eprasa.pl c966d1c9a7

1. Wystarczyło umyć warszawski Dworzec Centralny, by zobaczyć, jak fenomenalna jest to architektura.

2. Poznański okrąglak jest przykładem udanej modernizacji.

3. Po warszawskim Supersamie zostały tylko zdjęcia.

4. Dom Wypoczynkowy Harnaś w Bukowinie Tatrzańskiej udowadnia, że architektura PRL nadal może być luksusowa.

5. Uniwersus to mieszanka brutalizmu i stylistyki *high-tech* z lat 70.

FOT. WOJTEK AFFEK/BULLETPROOF WARSAW, KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI (2), MUZEUM LITERATURY/EAST NEWS, SHUTTERSTOCK (2)

eprasa.pl c966d1c9a7

Robert Walenciak

KUKLIŃSKI – szpieg, ale czyj?

Przy życiorysie Kuklińskiego kombinują zarówno Amerykanie, jak i Rosjanie. To element gry wywiadów

Ryszard Kukliński. W „Gambicie Jaruzelskiego" poświęcam mu rozdział, stawiam tezę, że jego ucieczka do USA była częścią większej operacji, chodziło o to, by poinformować Amerykanów (w sposób dla nich wiarygodny) o przygotowywanym stanie wojennym i jego szczegółach. Zwłaszcza o tym, że będzie on dziełem tylko polskiej armii.

To hipoteza bardzo prawdopodobna, przemawiają za nią fakty i zwykła logika. Tymczasem w niektórych recenzjach „Gambitu" (dziękuję za nie) zarzuca mi się, że kombinuję coś przy życiorysie Kuklińskiego, że przecież wszystko jasne – to był znakomity agent CIA, człowiek, który przekazał najbardziej tajne dokumenty Układu Warszawskiego.

Cóż odpowiedzieć na taki zarzut? Musimy założyć, że przy życiorysie Kuklińskiego wszyscy kombinują, zarówno Amerykanie, jak i Rosjanie. To jest element gry wywiadów, dezinformacji itd. Jak możemy przed tym się bronić? Chyba tylko w jeden sposób – weryfikować każdą informację, być nieufnym. I nie ukrywać, co szczególnie lubią polscy historycy, faktów, które nie pasują do postawionej tezy.

Jeśli tak spojrzeć na sprawę, amerykańska opowieść o Kuklińskim jako superagencie, który przekazywał CIA najtajniejsze dokumenty Układu Warszawskiego i osobiście tłumaczył, co one znaczą, nie ma wielkiego sensu.

Po pierwsze, Kukliński opowiadał, że współpracę z CIA nawiązał, wysyłając zwykłą pocztą list do ambasady amerykańskiej z propozycją szpiegowania. Cóż, wysłanie takiego listu w Niemczech lat 70. było czynem raczej samobójczym, zważywszy na skalę penetracji RFN przez wywiady NRD i ZSRR. Na to żaden przytomny oficer (a jak dowodzą dokumenty IPN, Kukliński współpracował z polskim wywiadem, więc znał się na tych sprawach) nigdy by się nie zdecydował. Trudno też przypuszczać, by sami Amerykanie takiego oferenta przyjęli z ufnością i otwartymi ramionami.

Po drugie, trudno uwierzyć, że Kukliński przekazywał Amerykanom tajne materiały Układu Warszawskiego. Z prostej przyczyny – żaden polski oficer ani generał nie miał do takich dokumentów dostępu.

Po trzecie, Kukliński nie mógł tłumaczyć Amerykanom, jak działa machina wojenna ZSRR, z banalnego powodu – nie znał angielskiego. Jego możliwości rozmowy z oficerami CIA ograniczały się do tych znających polski i rosyjski.

Po czwarte, Kukliński opowiadał, że kontrwywiad PRL był już na jego tropie, że jego dom obserwowano, a on był inwigilowany. No, jeżeli tak było, to dlaczego, gdy został z Polski wywieziony, przez kilka dni nikt w polskich służbach ani w Sztabie Generalnym się o tym nie zorientował? I początkowo nikomu nie przychodziło do głowy, że mógł przejść na drugą stronę? To był podejrzewany o szpiegowanie czy nie był?

Jak widzimy, amerykańska opowieść o Kuklińskim jest pełna dziur i niekonsekwencji. Albo więc jest zmyślona, w imię jakiejś innej gry, albo…

Otóż ze strony rosyjskiej pojawiły się informacje, że Kukliński był ich szpiegiem, który prowadził z Amerykanami podwójną grę, przekazywał im dezinformujące materiały. Pisał o tym Marek Barański w książce „Nogi Pana Boga", którą w „Gambicie Jaruzelskiego" przypominam. I oto zupełnie niedawno były korespondent PAP w Wielkiej Brytanii Mariusz Kukliński (zbieżność nazwisk przypadkowa) podrzucił mi jeszcze jeden ciekawy trop.

To fragment książki „The Lost Army. Notatki pułkownika Sztabu Generalnego", którą napisał Wiktor Baraniec. Poświęcona jest ona Grupie Wojsk Radzieckich w Niemczech stacjonującej w NRD. Zatrzymajmy się na chwilę przy autorze. Baraniec to znany w Rosji komentator gazety „Komsomolskaja Prawda", emerytowany pułkownik, związany z rosyjskimi służbami. W Rosji, ale także w Stanach Zjednoczonych, istnieje taka kategoria zaufanych ludzi pióra, dopuszczanych do spraw, do których nie dopuszcza się zwykłych dziennikarzy. Zaufani autorzy opisują te sprawy, oczywiście dając gwarancję, że interes służb na tym nie ucierpi, wręcz przeciwnie – będzie na pierwszym miejscu.

Wiktor Baraniec ma dobre kontakty z ministrem obrony Siergiejem Szojgu, miał je również z nieżyjącym już szefem wywiadu wojskowego gen. Igorem Siergunem, który w 2014 r. nadzorował operację na Krymie. Po jego śmierci Baraniec wspominał: „Kiedy napisałem książkę o powrocie Krymu do Rosji i mało znanych stronach operacji »uprzejmych ludzi« [tak w Rosji określa się „zielone ludziki" – przyp. RW] na półwyspie w lutym i marcu 2014 r., gen. Siergiej Szojgu poradził mi, żebym koniecznie pokazał rękopis Siergunowi: »Igor Dmitrijewicz zna wiele niuansów, które sprawią, że nie popełni pan błędu podczas opisywania tajnych stron krymskiej wiosny«. Tak właśnie zrobiłem".

Baraniec spotkał się z gen. Siergunem, który zrecenzował rękopis. I tu padają symptomatyczne słowa: „W mojej książce jest epizod, w którym opisuję sprytną kombinację GRU, która pomogła na Krymie uratować prawdopodobnie setki istnień naszych wojskowych w najbardziej

eprasa.pl c966d1c9a7

napiętym momencie »krymskiej wiosny«. Z zachwytem opisałem, w czym tkwił sęk tej błyskotliwej operacji, która została zaplanowana i przeprowadzona pod kierownictwem gen. Sierguna.

Generał powiedział mu jednak: – O mnie i moich podwładnych nie należy opowiadać. Chociaż to wszystko wyglądało właśnie tak, jak pan to opisał. Nie skłamał pan. Ale nie będziemy pokazywać przeciwnikom instrumentów, które na pewno jeszcze nieraz nam się przydadzą".

Co możemy wywnioskować z tego opisu? Że płk Baraniec ma dostęp do najważniejszych osób w rosyjskim wojsku i na pewno słyszał od nich sporo wspomnień, ma wiedzę o operacjach rosyjskiego wojska, w tym niejawnych. Ale ważniejszy od zaspokojenia ciekawości czytelników jest dla niego interes służb.

Tak przygotowani możemy przeczytać fragment książki „Lost Army" dotyczący interesującej nas sprawy: „W sztabie Grupy po raz pierwszy dowiedziałem się, że przez kilka lat pracował dla CIA polski oficer z dostępem do tajnych dokumentów Układu Warszawskiego, a nasze służby specjalne, wraz ze wschodnioniemieckimi, starannie »karmiły go« perfekcyjnie wyprodukowaną lipą. Polak sumiennie wysyłał te materiały na Zachód, otrzymując za nie ogromne pieniądze. Kiedyś udało mu się nawet sfotografować całą mapę oznaczoną gryfem »ściśle tajne«, choć nie była ona prawdziwa.

Dla podkreślenia szczególnego znaczenia tego niezwykłego incydentu zarządzono potem specjalne śledztwo. I w jego wyniku kilku starszych oficerów usunięto ze stanowisk i postawiono przed sądem (choć w rzeczywistości zostali przeniesieni do pracy w innych krajach). Informacja o surowej karze dla osób odpowiedzialnych za utratę supertajnego dokumentu została przekazana »w wielkiej tajemnicy« Polakom, którzy od razu przekazali ją dalej…

Wszystko rozegrało się tak naturalnie i sprawnie, że polskiego oficera, za dostarczanie właściwie makulatury, przedstawiono za oceanem do bardzo wysokiego odznaczenia (pod koniec 1997 r. tego oficera, który przez długi czas ukrywał się w Stanach Zjednoczonych, uznano w Polsce za bohatera narodowego, co wywołało wielki śmiech wśród weteranów naszego wywiadu, którzy błyskotliwie wodzili szpiega za nos)".

Kto szuka prawdy, znajdzie ją u Walenciaka

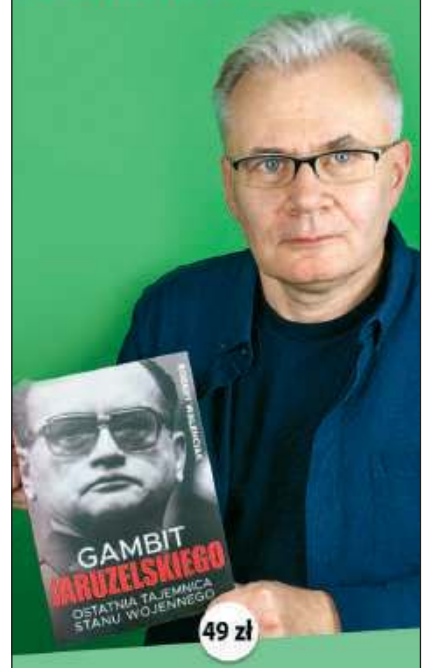

49 zł

GAMBIT JARUZELSKIEGO z autografem i dedykacją autora

Prośby o dedykacje można kierować pod nr: 22 635 84 10 wew. 111 lub na: sklep@tygodnikprzeglad.pl
Zamawiając przez sklep internetowy, wpisz treść dedykacji w uwagach

sklep.tygodnikprzeglad.pl
Wpłaty 49 zł prosimy dokonywać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta,
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.
W cenę wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Pocztą Polską. Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +10,00 zł, Orlen Paczka +6,99 zł, paczkomat InPost +11,90 zł lub dostawa kurierem InPost

Ten fragment ewidentnie dotyczy Ryszarda Kuklińskiego. Na ile jest prawdziwym wspomnieniem, a na ile dezinformacją? Tego nie wiemy. Choć warto zauważyć, że wyjaśnia on kilka spraw z amerykańskiej wersji życiorysu Kuklińskiego.

W pewnym stopniu może potwierdzać wersję, że Kukliński do Amerykanów zgłosił się sam, wysyłając list. Bo jeżeli list przejęła Stasi, to zrozumiałe jest, że później był on podwójnie nadzorowany, przez ludzi z NRD i ZSRR.

Tłumaczy też, skąd mógł mieć dostęp do tajnych dokumentów Układu Warszawskiego. Po prostu Rosjanie mu je podsuwali. Czyli Kukliński musiał mieć w rosyjskim dowództwie jakichś informatorów. No i tłumaczy, dlaczego nie ruszał go polski kontrwywiad, mimo że Kukliński żył ostentacyjnie ponad stan i złapano go na fotografowaniu w Sztabie Generalnym tajnych dokumentów. Najzwyczajniej w świecie był chroniony.

I dlatego mógł być bardzo użyteczny jako wiarygodny informator CIA w sprawie stanu wojennego. Tym bardziej że dla służb było jasne, że po wprowadzeniu stanu wojennego jego możliwość kontaktu z Amerykanami, czyli użyteczność, drastycznie spadnie.

Jeszcze dwie uwagi. Baraniec nie zajmuje się Polską, możemy zatem przyjąć, że informacje o Kuklińskim podał na zasadzie zasłyszanej anegdoty sprzed lat. Anegdoty wartej weryfikacji.

Poza tym w tej opowieści Kukliński jest osobą nieświadomą, że uczestniczy w jeszcze jednej grze. Łyka podsuwane mu materiały, wierząc, że są prawdziwe. A Rosjanie, wszystko na to wskazuje, że również za wiedzą Jaruzelskiego (piszę o tym w „Gambicie"), grają nim na szpiegowskiej szachownicy.

Czy tak było? Tych spraw do końca pewnie nigdy nie wyjaśnimy, choć wcale by mnie nie zdziwiło, gdyby się okazało, że Kukliński ma swoją bohaterską gwiazdkę zarówno w Langley, jak i w Moskwie, w szarej siedzibie GRU.

r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl c966d1c9a7

Sąsiedzkie sprawy

W Niemczech wciąż odczuwalne są konflikty między Wschodem a Zachodem. Zjednoczenie to nie był jednorodny, spokojny proces

Rozmawia Kuba Armata

Pana reżyserski debiut rozpisany jest na dwa głosy – cenionego aktora, który negocjuje dużą rolę w zagranicznej produkcji, i mieszkającego w sąsiedztwie zgorzkniałego, starszego mężczyzny. Ten drugi uważa, że wszystko, co dobre w życiu, ma już za sobą. Przypadkowe spotkanie w barze to zderzenie dwóch porządków: spojrzenia na życie, karierę czy nawet zjednoczenie Niemiec. Pana film dowodzi, że dobrze jest znać swoich sąsiadów.

– Jestem bardzo ciekawy, co powiedzą moi sąsiedzi, kiedy zobaczą ten film. Bruno, postać raczej niesympatyzująca z głównym bohaterem (w niego zaś wciela się sam Brühl – przyp. aut.), ma w sobie coś z ludzi, których widuję czasem w sąsiedztwie. Choć nie w tym najbliższym otoczeniu. Mieszkam w dość typowym miejscu w Berlinie, bez większych ekstrawagancji. Na pewno nie jest to luksusowy apartament, w jakim mieszka z rodziną mój bohater. To jedno z mieszkań skupionych wokół wspólnego podwórka. Miejsce, gdzie ludzie żyją w niewielkiej odległości od siebie, nierzadko na siebie wpadają na klatce schodowej. Temat sąsiadów i sąsiedztwa od dawna mnie fascynował. Często przecież mieszkasz całe dekady obok kogoś, pod kimś lub nad kimś i praktycznie nic o nim nie wiesz. Zwłaszcza w dzisiejszych czasach, kiedy zamknięci jesteśmy w czterech ścianach własnego mieszkania. W tym kontekście ważne było też tło opowieści, rejony dawnego Berlina Wschodniego. To dość specyficzne miejsce.

W jakim sensie?

– Przybyłem tu jakieś 20 lat temu, kiedy wraz z Wolfgangiem Beckerem kręciłem „Good Bye Lenin!" (2003). Opowieść o mistyfikacji, wedle której mur berliński wcale nie został zburzony, a w Niemczech dalej obowiązuje podział na NRD i RFN. Mimo tak długiego czasu wciąż mam poczucie, że trudno byłoby mi powiedzieć o sobie: *Ich bin ein Berliner*. Mogę sobie na to pozwolić jedynie w mocno sprzyjających okolicznościach. Przed pandemią lubiłem od czasu do czasu przejść się do jakiegoś typowego baru we wschodniej części miasta. Można tam się poczuć jak w westernie. I bardzo szybko nabiera się przekonania, że nie jest się stąd. Nawet mimo wszystkich lat, które spędziłem w tym mieście. Nieważne, jak bardzo starałbym się zaadaptować i opanować specyficzny akcent, ludzie z dawnego wschodniego Berlina natychmiast wyczują, usłyszą, że jestem obcy. Kwestia tożsamości, tła społecznego i pytania: „Skąd jesteś?" były dla mnie fascynujące i tak zrodził się pomysł na tę historię.

Pan, co ciekawe, nie urodził się w Berlinie – ani wschodnim, ani zachodnim. Przyszedł pan na świat w Barcelonie.

– I właśnie tam pojawiła się ta idea. Początkowo chciałem nakręcić film w Hiszpanii, lecz zdecydowałem się przenieść historię do Berlina. Uznałem, że będzie ona lepiej pasowała do tego miejsca, także w kontekście historycznym, ale i zmian, które zaszły w mieście od czasów upadku muru berlińskiego.

Wydarzenia nie przez wszystkich postrzeganego pozytywnie, czego przykładem Bruno. Sfrustrowany, rozczarowany rzeczywistością podstarzały mężczyzna. W wielu krajach, również w Polsce, transformacja ustrojowa miała swoje ofiary – ludzi zapomnianych, zepchniętych na margines, którzy nie odnaleźli się w kapitalizmie.

– Z racji tego, że przedstawiam tę historię z mojej perspektywy, obawiałem się, że bohater z Niemiec Wschodnich z założenia postrzegany będzie jako zło wcielone. Mózg Stasi, Mefisto i wszystko, co najgorsze. A to jedna z tych osób, których biografia naznaczona jest niepowodzeniami. Poznałem wiele takich historii, czy to w samym Berlinie, czy w mniejszych ośrodkach. Ludzi, którzy po zjednoczeniu Niemiec nie potrafili znaleźć swojego miejsca. Czuli się niepotrzebni, pozostawieni samym sobie, pozbawieni narzędzi, by odnaleźć się w nowej dla nich sytuacji. Wciąż zresztą odczuwalne są konflikty między Wschodem a Zachodem. Zjednoczenie to nie był jednorodny, spokojny proces. Nawet wśród sąsiadów widzę zwolenników dawnego porządku

> Niemcy, ze swoim osobliwym czarem, powiedzą ci czasem wprost i nie bacząc na okoliczności, że jesteś do bani.

Daniel Brühl – rozpoznawalność przyniosła mu główna rola w komedii „Good Bye Lenin!" (2003) Wolfganga Beckera, za którą odebrał m.in. Europejską Nagrodę Filmową. Współpracował z Paulem Greengrassem w „Ultimatum Bourne'a" (2007), Quentinem Tarantino w „Bękartach wojny" (2009) czy Ronem Howardem w „Wyścigu" (2013).

eprasa.pl c966d1c9a7

DANIEL BRÜHL
– aktor niemiecko-hiszpański, reżyser filmu „Jedenaste: znaj sąsiada swego"

i przekonuję się, jak bardzo się od siebie różnimy. Wydaje mi się, że mnie lubią i akceptują, ale może po prostu dobrze udają? Bruno jako postać demaskuje też pewną fasadowość dzisiejszej rzeczywistości. Myślisz, że masz wspaniałe życie – rodzinę, mieszkanie, układa ci się w pracy. Nagle znikąd pojawia się obcy i niespodziewanie przebija ten nadmuchany balonik.

To też chyba klasyczny dysonans pomiędzy uprzywilejowanymi a tymi, którzy czują się pokrzywdzeni. Zwłaszcza w kontekście znanych ludzi, a pan jako ceniony aktor do nich przecież się zalicza. Żyjemy w takich czasach, że albo ich się kocha, albo nienawidzi.

– Zdecydowanie. Wiele zarzutów czy przykrych słów, które w filmie wypowiada Bruno, to rzeczy, jakie usłyszałem w prawdziwym życiu. To w ogóle była chyba jedna z pierwszych lekcji zawodowych, jakie odebrałem: że istnieje cena tego, że chce się być aktorem. Przez cały czas jesteśmy oceniani, bardzo często krytykowani.

I to dzisiaj przez ludzi schowanych na ogół za ekranem komputera bądź smartfona.

– W dobie mediów społecznościowych urosło to do chorych rozmiarów. Za sprawą telefonów ludzie stracili dystans, maniery i dobre wychowanie. Mam wrażenie, że dużo częściej przekraczają granice. Nie chodzi mi wyłącznie o hejt i te negatywne rzeczy, myślę tu o pewnej utracie wrażliwości i wyczucia.

To znaczy?

– Dziś nikt się nie przejmuje tym, czy akurat jesteś gdzieś z dziećmi bądź jesz obiad w restauracji. Niemcy, ze swoim osobliwym czarem, powiedzą ci czasem wprost i zupełnie nie bacząc na okoliczności, że jesteś do bani (śmiech). Jestem w połowie Hiszpanem i muszę przyznać, że tam nigdy mi się to nie zdarzyło. Nawet jeśli ktoś nie darzy cię sympatią, nie okazuje tego w tak bezpośredni i często przykry sposób. Albo nie uderza personalnie, koncentrując się wyłącznie na krytyce twojej pracy. Co też jest wartościowe, bo dobrze znać opinie innych. W Berlinie doświadczyłem niestety wielu nieprzyjemnych sytuacji na gruncie osobistym.

Często postrzegamy aktora przez pryzmat ról, zapominając, że jako człowiek może być zupełnie inny. Zdarzało się to panu?

– Niektóre role, czy to pod względem doświadczeń życiowych, czy charakterologicznym, są nam, aktorom, bliższe. W moim przypadku tak było z postacią Nikiego Laudy, w którą wcieliłem się w filmie „Wyścig" (2013) Rona Howarda. To jednak wcale nie oznacza, że młody, cierpiący na schizofrenię mężczyzna, którego grałem na początku kariery, to ja. Zresztą i w tym filmie, choć główny bohater jest aktorem i dzieli ze mną niektóre doświadczenia, nie postrzegam go jako *alter ego*. W ogóle bardzo często dziwiła mnie potrzeba niektórych ludzi powiedzenia ci czegoś niemiłego prosto w twarz. Co więcej, widać było, że czerpali z tego satysfakcję, poczuli się po tym lepiej. Pół żartem, pół serio – może ten film jest dla mnie rodzajem rewanżu. Albo chociaż pokazaniem szerszej

FOT. AURORA FILMS

eprasa.pl c966d1c9a7

publiczności niektórych sytuacji, z którymi przyszło mi się mierzyć jako zawodowemu aktorowi.

Rozumie pan w jakimś sensie tych ludzi?

– Poniekąd. Wychowałem się w Niemczech Zachodnich, w Kolonii. Tym, co najbardziej mi się tam podobało, było mieszanie się ludzi z zupełnie różnych środowisk. Ulice zamieszkane przez klasę pracującą sąsiadowały z tymi zajmowanymi przez klasę wyższą. Dorastałem zatem w społeczno-kulturowym tyglu i naturalny był dla mnie kontakt z różnymi ludźmi. Za sprawą „Good Bye Lenin!" w młodym wieku osiągnąłem duży sukces. Miałem 25 lat i mogłem prowadzić beztroskie życie dzięki temu, co wtedy zarobiłem. Pamiętam jednak, że od tamtej chwili, niezależnie od tego, gdzie mieszkałem – czy przeprowadziłem się do Berlina, czy do Barcelony – czułem się jak „szczęśliwy najeźdźca". To była zupełnie inna rzeczywistość niż ta, którą znałem z domu rodzinnego. Nie chciałem być postrzegany jako wróg, osoba przyczyniająca się do procesu gentryfikacji, ale jako młody, beztroski, względnie majętny człowiek siłą rzeczy trochę tak się czułem.

Wydaje ci się, że masz wspaniałe życie – rodzinę, mieszkanie, układa ci się w pracy. Nagle pojawia się obcy i przebija ten balonik.

To zresztą jeden z głównych problemów związanych z tkanką miejską. Gdy jakaś dzielnica staje się modna, tzw. lokalsi, tworzący tę tkankę od lat, nieraz ze względów ekonomicznych są zmuszani do wyprowadzki.

– To może zabrzmieć zabawnie, ale przypominam sobie momenty, gdy w Barcelonie desperacko starałem się wtopić w środowisko i stać się częścią miejskiej tkanki. Zawsze trzymałem w ręku klucze do mieszkania. Tak by wszyscy je widzieli i by ktoś przypadkiem nie pomyślał, że jestem przejazdem i mogłem zatrzymać się w hotelu. Z jednej strony, było to dość dziecinne, z drugiej – wyrażała się w tym silna potrzeba przynależności, pokazania ludziom, że jestem częścią grupy. Myślę, że temat tożsamości lokalnej do pewnego stopnia ukształtował mnie jako człowieka i artystę. Nie ma chyba przypadku w tym, że właśnie ten temat obrałem na reżyserski debiut, o którym zresztą myślałem od dawna. Jak wspomniałem, wciąż są w Berlinie miejsca, gdzie czuję się jak przybysz z zewnątrz, obcy. A mieszkam tu już ponad 20 lat. Chciałem też w tym filmie uchwycić swoją perspektywę spojrzenia na znane mi miejsca. Bo one przez ostatnie dwie dekady bardzo się zmieniły. I kto wie, czy w najbliższej przyszłości postępujący proces gentryfikacji nie położy na szali tego, czy sąsiedzi z dawnego wschodniego Berlina wciąż tu będą, czy nie zostaną zmuszeni do przeprowadzki.

Kuba Armata

To wielka zbiórka dla naszych przyjaciół z Ukrainy – tam gdzie dziś spadają bomby – dla zwierząt i ludzi. Bo ofiar wojny nie wolno rozdzielać. Ten dramat dotyczy wszystkich. Zbieramy na przyjęcie rodzin z Ukrainy, które szukają schronienia (ubrania, wyżywienie, leki, kupno łóżek czy pościeli), nasi pracownicy również tam są i nie zdążyli do nas przyjechać. Z wieloma tracimy kontakt. Zbieramy na pomoc zwierzętom na Ukrainie, bo telefon od wczoraj pali się do czerwoności od próśb o wsparcie (karma, leki, transporty), i zbieramy na przyjęcie zwierząt, które uda się przetransportować tu, do naszych kilku ośrodków. Zbieramy, aby pomóc Ukrainie, z którą jesteśmy zżyci od 10 lat. Bo to chłopcy z Ukrainy, każdego dnia, pomagają w największy azylu dla koni w Europie. Teraz my musimy pomóc im.

Działamy od ponad 15 lat, a od 10 nasze działania ściśle związane są z ludźmi z Ukrainy i Białorusi. Przez nasze ośrodki, gdzie ratujemy zwierzęta i tworzymy największy w Europie azyl, przewinęło się 500 osób, dla których Ukraina była do wczoraj domem, względnie bezpiecznym. Większość z nich była u nas w systemie 3 miesięcznym, potem wracali do domu, aby po kilku miesiącach ponownie do nas wrócić. W większości zapraszaliśmy ich z rodzinami, ale byli zbyt związani ze swoim krajem – woleli przyjechać, tu zarobić i wysłać większość pieniędzy żonom i dzieciom.

Dziś szykujemy miejsca dla nich i ich rodzin w trybie pilnym, ale z wieloma nie mamy kontaktu, albo się urywa. Nie wiemy co się dzieje. Nasz stary pałac jest stary, ale pomieści kilka rodzin bez problemu, bo obecni pracownicy z Ukrainy ścieśnią się jeszcze bardziej.

Jest to jedna z setek naszych zbiorek i jest zupełnie inna. Bo nie dzielimy tu pomocy na ludzi i zwierzęta. Tak jak wojna też nie dzieli.

Jeśli mógłbyś przyjąć do siebie rodziny i ludzi, których już znamy – skontaktuj się! Jeśli chcesz udzielić azylu zwierzakom z Ukrainy – koniecznie skontaktuj się z nami, tworzymy już największą bazę adresów domów dla zwierząt z Ukrainy. Możesz zgłosić chęć pomocy pod numery 518 569 487, 535 162 322 lub na adres: kontakt@centaurus.org.pl

Możecie również wysyłać paczki z żywnością i ubraniami na adres: Szczedrzykowice 10, 59-230 Prochowice.

Jeśli chcesz i możesz pomóc, prosimy dokonaj darowizny z tytułem UKRAINA na konto 15 1020 5226 0000 6002 0220 0350.

Możesz też pomóc wysyłając **SMS** o treści **UKRAINA** na numer **7412** (koszt SMS 4,92 zł z VAT), **7910** (koszt SMS 11,07 zł z VAT) lub **91950** (koszt SMS 23,37 zł z VAT) i kupić tapetę.

Fundacja Centaurus
ul. Wałbrzyska 6-8, 52-314 Wrocław
tel. 518 569 487, tel. 518 569 488

www.centaurus.org.pl

Akcja prowadzona w ramach Kampanii Kochaj Mądrze Regulamin: http://centaurus.org.pl/rklm

eprasa.pl c966d1c9a7

ZASŁUCHAJ SIĘ

Warmia and Mazuria Philharmonic
Piotr Sułkowski
Feliks Nowowiejski Die Heimkehr des verlorenen Sohnes
DUX

Oratorium „Powrót syna marnotrawnego" nagrała z doskonałymi solistami Orkiestra Symfoniczna Filharmonii Warmińsko-Mazurskiej im. Feliksa Nowowiejskiego. To hołd złożony wybitnemu kompozytorowi i Warmiakowi przez muzyków z Olsztyna. Całość o biblijnej treści wykonywana jest po niemiecku, bo to dzieło z czasów, gdy Nowowiejski, autor patriotycznej „Roty" i opery „Legenda Bałtyku", studiował jeszcze w Niemczech. A muzyka jest tu gęsta, romantyczna, pełna patosu, tak jak Biblia.

Bronisław Tumiłowicz

NA EKRANACH

Z miłości do mody
reż. Sylvie Ohayon, prod. Francja, w kinach od 25 lutego

Jeśli bardziej od przejmującej historii i pogłębionej psychologii cenicie scenografię i kostiumy, jest to film dla was. Oglądamy krawcową z domu mody Diora, na którą napada małoletnia złodziejka. Jednak Esther nie wzywa policji, a gdy spotyka Jade ponownie, zamiast na komendę, prowadzi ją do swojej pracowni. Razem będą szyć kreację, *opus vitae* zbierającej się na emeryturę Esther. Historia staje się tu jedynie pretekstem do tego, byśmy mogli podejrzeć, jak powstaje suknia za 500 tys. euro (to autentyk od Diora). Ale reżyserka Sylvie Ohayon ma czułe oko nie tylko do rzeczy – krawcowe w jej filmie tworzą zgraną, pełną pasji społeczność, z którą obcuje się naprawdę przyjemnie.

Artur Zaborski

MIĘDZY OKŁADKAMI

Henry Roth
Nazwij to snem
tłum. Wacław Niepokólczycki
Art Rage i Książkowe Klimaty, Warszawa 2022

Henry Roth to jeden z wielkich, zapomnianych pisarzy. Jego debiutancka powieść uznawana jest dziś za arcydzieło żydowsko-amerykańskiej literatury i klasyczną powieść o imigrantach. Tę pozycję osiągnęła dopiero po 30 latach od premiery. Sam Roth pracował jako strażak, robotnik, nauczyciel. Do końca życia pozostał autorem jednej wybitnej powieści o dorastaniu żydowskiego chłopaka na Lower East Side. Wraz z Dawidem, synem żydowskich imigrantów z nowojorskich slamsów, poznajemy brutalny świat ludzi starających się ułożyć sobie życie na obczyźnie. Nowy Jork nie jest ziemią obiecaną, tylko przestrzenią obcą. Dawid nie nazwie Wielkiego Jabłka amerykańskim snem, co najwyżej koszmarem.

Rafał Pikuła

KURTYNA W GÓRĘ

Sponiewierany trybunał

Gdyby nie informacja, że Witold Dulęba napisał tę sztukę 20 lat temu, można by ją wziąć za satyrę na degrengoladę ustrojową państwa. A teraz Krzysztof Dracz jako reżyser i świetny odtwórca roli tytułowej nadał „Panu Hoho" formę zjadliwej satyry politycznej. Pan Hoho, protokolant trybunału wynajmujący pokój u pani Lenert (Iwona Bielska), wysuwa żądanie, aby pozostali lokatorzy: studentka (Pola Błasik) i dziennikarz (Krzysztof Stelmaszyk), oraz gospodyni zwracali się do niego „panie prezesie". Ponieważ dziennikarz odmawia, zostaje oskarżony przed utworzonym *ad hoc* trybunałem. Wygląda jak farsa, ale to się dzieje naprawdę. Myślą tak nie tylko postacie sceniczne, ale i widzowie, którym nie trzeba tłumaczyć, jak blisko tej wymyślonej rzeczywistości do naszych czasów. Dracz nie cofa się przed ostrymi efektami. Kiedy mają się rozpocząć obrady trybunału, za tylną zastawką odsłania się wnętrze toalety, a pan prezes zasiada na muszli klozetowej. Oto trybunał sponiewierany, który sięgnął poziomu wychodka.

Tomasz Miłkowski

Witold Dulęba, „Pan Hoho", reżyseria Krzysztof Dracz, Teatr Polonia, prapremiera 6 lutego 2022

Kolumnę przygotowała Agata Gogolkiewicz

FOT. ROBERT JAWORSKI, KINO ŚWIAT, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl c966d1c9a7

Mateusz Mazzini

Strony projektowane są tak, by zmieścić na nich możliwie najwięcej treści i jak najdłużej zatrzymać użytkownika.

Sieć nieczytelna

Internet miał szybko przekazywać informacje, ale dziś treść przegrywa w nim z formą

Dla osób, które szybko wpadają w irytację z powodu nadmiaru komunikatów, internet z pewnością nie jest dziś przyjaznym miejscem. Często szukamy w nim konkretnych rzeczy, ale zanim się do nich dokopiemy, całkiem prawdopodobne, że zostaniemy dosłownie zbombardowani. Treści, które nas nie interesują. Pytania, na które nie chcemy odpowiadać albo na które odpowiedzi nie znamy. Nieczytelny tekst. A do tego kakofonia dźwięków i obrazów, tych stałych i tych ruchomych. Dopiero po przebiciu się przez ten ocean zbędnych okienek mamy szansę dogrzebać się do tego, co nas naprawdę interesuje.

Ciasteczka – nasz cyfrowy odcisk palca w sieci

Internet w bieżącej wersji to karykatura idei, która za nim stała. Z wynalazku, który miał przede wszystkim szybko, bezpiecznie i w klarowny sposób przekazywać informacje w dowolne miejsce na świecie, zrobiła się sieć tak gęsta, że już nie przepuszcza światła. Dzisiaj jest kompletnie nieczytelny i dla coraz większej liczby użytkowników to już fakt, a nie opinia.

Zacznijmy od tzw. pop-upów. Okienek, które wyskakują na naszych ekranach, gdy tylko wchodzimy na stronę. Jeśli nigdy wcześniej jej nie otwieraliśmy, najpierw strona musi nas zapytać o zdanie w kwestii przetwarzania ciasteczek. To ślady naszej obecności w danym miejscu. Szlak, po którym można nas śledzić i na którym można zarobić, sprzedając dane na potrzeby reklam. Na użycie ciasteczek możemy się zgodzić lub nie, ale w praktyce rzadko kto podejmuje tę decyzję świadomie. Na czynniki pierwsze ten proces rozłożyła telewizja Al-Dżazira w czteroodcinkowym serialu dokumentalnym „All Hail the Algorithm" („Niech wszyscy chwalą algorytm"). Jedna część poświęcona była właśnie projektowaniu przycisków w okienkach pytających o ciasteczka. Prowadząca program dziennikarka śledcza Ali Rae zauważa, że większość stworzona jest w sposób, który podświadomie zachęca nas do zaakceptowania wyjściowych – a więc korzystnych dla strony – ustawień. Jej tezę potwierdzają przepytywani przez nią architekci rozwiązań internetowych z przeszłością m.in. w Google, Amazonie czy Instagramie. Rae mówi o prostych zależnościach, na które mało kto zwraca uwagę. „Akceptuję" zawsze dostępne jest jasną czcionką na ciemnym, zakolorowanym tle, „odrzucam" lub „chcę sam dokonać wyboru" – ciemnymi literami na jasnym tle. Ten pierwszy schemat jest dla naszego mózgu bardziej czytelny. Odruchowo klikamy w miejsce, gdzie widzimy więcej koloru.

Innym problemem jest kwestia świadomości, w co klikamy. Rob Carter, ekspert ds. mediów społecznościowych z brytyjskiej agencji reklamowej AgencyUK, zauważa, że samo pytanie o ciasteczka, nasz cyfrowy odcisk palca w sieci, jest najczęściej źle sformułowane. Strona nie daje wyboru, tylko pyta, czy chcemy go podjąć. Jeśli zdecydujemy się zapoznać z dostępnymi opcjami, okienko powiększa się nawet kilkakrotnie i czeka nas bolesna lektura niezrozumiałych komunikatów zasłaniających nam pół ekranu. Carter podkreśla w artykule dla portalu marketingowego The Drum, że wcale tak być nie musi. Kluczowych kwestii w wykorzystywaniu ciasteczek jest tylko kilka, warto użytkownikom dać ten wybór od razu, zamiast zmuszać do czytania prawniczych epopei. Pod tym względem za wzór stawiana jest strona internetowa Agencji Reutera, na której w oknie dialogowym od razu wyświetlają się cztery pytania o prywatność. Przy każdym znajduje się suwak – co prawda zaprojektowany zgodnie z trendem autosugestii za

eprasa.pl c966d1c9a7

pomocą kolorów, ale przynajmniej od razu wiadomo, do czego służy.

Pop-upy „z opóźnionym zapłonem”

Po ciasteczkach pojawiają się reklamy. Większość można zablokować popularnymi wtyczkami do przeglądarek, ale niektóre strony wymagają ich wyłączenia. Powód jest prosty – żyją z przychodów z reklam, więc brak ich wyświetleń oznacza bankructwo.

O reklamach w internecie napisano już tyle, że szkoda tracić miejsce na powielanie doskonale znanych argumentów za i przeciw. Wbrew pozorom jednak nie są one jedynym typem wyskakujących okienek, które atakują nas w sieci. Z punktu widzenia administratorów równie ważne jak zostawianie przez nas danych jest utrzymanie naszej uwagi na stronie. Tworzą więc komunikaty, które mają nas tam zatrzymać. Typologia pop-upów jest właściwie nieskończona. Niektórzy eksperci wymieniają 15 podstawowych rodzajów, inni nawet 100. Są pop-upy powitalne, uruchamiające się od razu po wejściu użytkownika na stronę. Z nimi jesteśmy być może najbardziej zaznajomieni, więc, jak pisze Rob Carter, architekci internetu nie przywiązują do nich specjalnej wagi. Wiedzą, że i tak je zamkniemy. Inaczej ma się sprawa z pop-upami, których pojawienie się jest dla nas zaskoczeniem. Do nich należą m.in. pop-upy aktywowane przez pierwsze kliknięcie na stronie. Nie ma znaczenia, gdzie dokładnie skierujemy kursor. Cała dostępna przestrzeń jest schowana za niewidoczną płachtą. Kliknięcie w nią uruchamia wyskakujące okno, najczęściej z reklamą, ale czasami z innym komunikatem. Przekierowanie do innej części serwisu, zachęta do zapisania się do newslettera. Niechciany materiał wideo. Zabezpieczyć się przed tymi oknami właściwie nie można, bo teoretycznie przecież ich nie ma. Wywołujemy je sami naszą aktywnością.

Tak samo jest z oknami pożegnalnymi. Nie wychodź, zostań jeszcze chwilę. 10% zniżki na nasze produkty, dostęp do naszego eksperta, powiadomienia o promocjach – te hasła też są doskonale znane internautom. Mało kto wie natomiast, że istnieją pop-upy „z opóźnionym zapłonem”. Pojawiają się dopiero po upływie określonego czasu spędzonego na stronie. I na tego rodzaju niespodzianki wtyczki w przeglądarce również niewiele pomogą.

Jasno, coraz jaśniej

Okienka zaśmiecające ekran nie są jedyną przeszkodą na drodze do czytelności internetu. Osobną kwestią jest jego typografia. Tu warto wrócić do początków sieci w latach 80. Wszystko było wtedy utrzymane w tonacji czarno-białej, bo na tyle pozwalała ówczesna technologia. Z czasem jednak możliwości wyświetlania kolorów znacznie się zwiększyły, a razem z nimi – pole do popisu dla grafików. W ich języku czarny tekst na białym tle określany jest stosunkiem liczbowym 21:1. Oznacza on kontrast pomiędzy kolorem liter i tła. Słowa są 21 razy ciemniejsze od reszty strony, dzięki czemu łatwiej je przeczytać. Biała treść na białym tle oznaczałaby stosunek 1:1, czyli zlewanie się z tłem. W teorii powinien być utrzymany odpowiednio duży kontrast, tak aby treści były dobrze widoczne.

Jak wylicza magazyn „Wired”, Google i Apple we wskazówkach do tworzenia stron internetowych i reklam zalecają kontrast pomiędzy tłem a napisem w stosunku 7:1. Czyli niekoniecznie czarny kolor, ale już wyraźny szary – tak. Problem w tym, że same do tych zaleceń się nie stosują. Kontrast na ich fabrycznych stronach wynosi 4,6-5,5 do 1. Co daje średnio 54-procentową różnicę pomiędzy kolorem liter a tłem. To już naprawdę pogranicze widoczności, wiele więcej ludzkie oko nie zniesie przez dłuższy czas.

Skąd w ogóle tendencja do zamieszczania coraz jaśniejszych tekstów w internecie? Kevin Marks z „Wired” uzasadnienia szuka w zmieniających się trendach designu. Pierwszym było przekonanie – nie do końca ugruntowane naukowo – że czarny tekst męczy oczy. Im jaśniejsza treść, tym mniejsze dla nich obciążenie. Marks przyznaje jednak, że to wniosek raczej subiektywny. Drugą kwestią była chęć wyróżnienia się na tle innych serwisów i dbania o spójność identyfikacji wizualnej marki. Apple, w wielu miejscach bawiące się odcieniami szarości, jako naturalny kierunek rozwoju obrało użycie szarego jako koloru wielu swoich komunikatów. Biorąc pod uwagę niemal monopolistyczną pozycję tych firm w produkcji zarówno sprzętu, jak i interfejsów internetowych, nietrudno zrozumieć, dlaczego wielu błyskawicznie zaczęło ich naśladować.

Lista grzechów architektów internetu jest oczywiście dużo dłuższa. Strony projektowane tak, by zmieścić na nich jak najwięcej treści. Brak światła między kolumnami, wolnych przestrzeni. Tam, gdzie nie ma treści, są reklamy. Na nie z kolei nakładają się pop-upy. I koło się zamyka. Internet jest oczywiście zupełnie inną przestrzenią niż 20, 30, 40 lat temu. Jego ewolucja jest naturalna. Niestety, staje się środowiskiem coraz bardziej wsobnym, skoncentrowanym na własnych miernikach sukcesu. A ci, którzy go projektują, zdają się zapominać, że wszystkie te narzędzia, ruch na stronach, dane – są pochodną działań użytkowników. Bez nich sieć będzie warta tyle co nic.

m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl

Nowy numer tygodnika „NIE”: Kto głosuje na Kaczyńskiego, a kto na Putina i dlaczego obydwa elektoraty są do siebie bliźniaczo podobne.

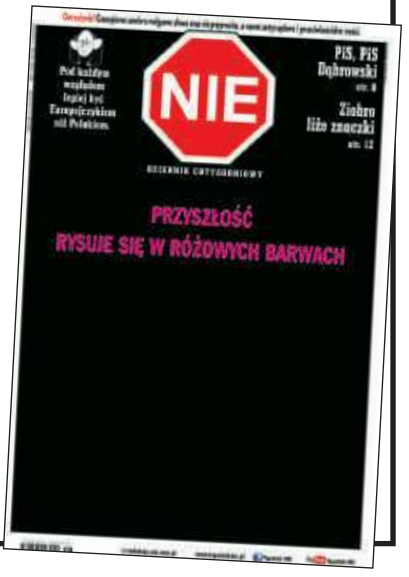

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl c966d1c9a7

Zwierzę ofiarne jest już na miejscu

Saudyjski dwór królewski utrzymywał, że nie wiedział o zabójstwie Chaszukdżiego. Czy uważali Turków za idiotów?

Bradley Hope i Justin Scheck

Sauda al-Kahtaniego (doradcę księcia Muhammada, specjalizującego się w zwalczaniu oporu wobec władzy) opanowała swego rodzaju obsesja na punkcie Chaszukdżiego. Najpierw próbował go unieszkodliwić ustnym zakazem komunikacji i spotkań z zagranicznymi dziennikarzami. Później zaczął szukać dla niego roli w dworskim aparacie medialnym. Chaszukdżi miał przeszło 1,5 mln obserwujących na Twitterze i mógł się pochwalić znajomościami wśród reporterów, dyplomatów i ludzi biznesu z całego świata. Z punktu widzenia propagandy internetowej stanowił wyjątkowo łakomy kąsek.

Muhammad i jego najbardziej oddany porucznik przykładali ogromną wagę do nastrojów na Twitterze. Platforma ta dawała dobry wgląd w to, jak saudyjski lud postrzega nowego księcia koronnego. Al-Kahtani wciąż wykorzystywał swoją armię much, czyli posłusznych mu użytkowników – pośród których wielu było w rzeczywistości botami – aby namnażać pozytywne posty i hejtować krytyków rządu. W pewnym momencie stworzył też hasztag „czarnalista", którym Saudyjczycy mieli oznaczać współobywateli żywiących prokatarskie sympatie. „Sądzicie, że podejmuję decyzje bez niczyjej rady? – zatweetował. – Jestem pracownikiem, a także wiernym wykonawcą rozkazów mojego pana, króla, i mojego pana, prawowitego księcia koronnego". Zakulisowo wzywał do siebie negatywnie nastawionych twitterowych komentatorów i przykazywał im zmienić śpiewkę – pod groźbą więzienia.

Chaszukdżiego nie było jednak tak łatwo uciszyć. Potrzebny był większy nacisk.

W listopadzie 2016 r. dziennikarz dostał zakaz pisania artykułów i publikowania tweetów za krytyczną wypowiedź pod adresem Trumpa – na pytanie, czy nowy prezydent USA zaprowadzi w regionie zgodę, odpowiedział, że to „myślenie życzeniowe". Mało kto zwrócił uwagę na komentarz, ale saudyjskie władze i tak wydały oświadczenie, w którym odżegnywały się od jego słów. „Publicysta Dżamal Chaszukdżi nie reprezentuje rządu Arabii Saudyjskiej ani jego poglądów", zarzekało się Ministerstwo Spraw Zagranicznych za pośrednictwem państwowej agencji prasowej.

Personelowi konsulatu przykazano nie przychodzić do pracy w dniu, w którym dziennikarz planował się w nim stawić.

Za zakazem wypowiedzi nie stał oficjalny dekret królewski, lecz dziennikarz wiedział, jak takie sprawy wyglądają w królestwie. Zignorowanie ostrzeżeń Al-Kahtaniego wiązało się z ryzykiem podpadnięcia temu, kto stał nad nim.

Od tego momentu życie Chaszukdżiego się zmieniło. Gazeta „Al-Hajat" zlikwidowała jego rubrykę. Straż graniczna Zjednoczonych Emiratów Arabskich odmówiła mu wstępu do kraju, gdy przyleciał na konferencję. Mając ograniczone możliwości publicystyczne, dziennikarz zaoferował, że zostanie mediatorem pomiędzy Arabią Saudyjską a Katarem. Muhammad nie zwlekał z odpowiedzią: nie ma mowy.

Po jakimś czasie Al-Kahtani doszedł jednak do wniosku, że reputację Chaszukdżiego jako niezależnego komentatora można by wykorzystać, aby przekonać pewne wpływowe osoby w Stanach Zjednoczonych, że nowy książę koronny rzeczywiście jest reformatorem. Na początku 2017 r. Chaszukdżi odzyskał więc prawo do publikowania tekstów i podróżowania – z zastrzeżeniem, żeby uważał na słowa. Al-Kahtani był przekonany, że dał mu nauczkę.

Publicysta początkowo faktycznie trzymał język na wodzy. Kiedy w marcu tego samego roku zjawił się na konferencji w Rosji, mówił o demokracji na Bliskim Wschodzie, ale ani słowem nie wspominał o monarchiach Zatoki Perskiej. Uprawiał sztukę dziennikarskiej ekwilibrystyki – stąpał po cienkiej linie, nie wychylając się za bardzo na żadną stronę.

Z czasem jego komentarze ponownie stały się śmielsze. Szkopuł w tym, że podejście Muhammada ibn Salmana do reformy kraju wprawiało Chaszukdżiego we wściekłość. O wszystkim wciąż decydowały dekrety. Zdawało się, że opinie innych ludzi interesują księcia tylko wtedy, kiedy trzeba kogoś za nie aresztować.

Młodzieniec starał się otworzyć królestwo na turystykę i pohamować korupcję, ale wielu spośród tych, którzy kwestionowali jego metody, trafiało zaraz do biura służb bezpieczeństwa, gdzie musieli podpisać zobowiązanie, że nie będą więcej krytykować rządu. Przekaz był jasny: jesteście wolni, ale tylko w takim stopniu, na jaki pozwoli Muhammad ibn Salman. W Arabii Saudyjskiej pozornie zachodziły zmiany, lecz jej największy problem pozostawał ten sam, a może nawet się zaostrzył. Saudyjczycy wciąż nie

eprasa.pl c966d1c9a7

Protest przed ambasadą Arabii Saudyjskiej w Waszyngtonie, 10 października 2018 r.

mieli żadnego wpływu na władzę we własnym kraju, ich swobody obywatelskie zależały zaś od kaprysu jednego człowieka.

Jak na ironię, książę zachęcał swoich najbliższych doradców, aby z brutalną szczerością wypowiadali się o jego projektach i pomysłach. Zawsze też wychwalał tych, którzy odważyli się zabrać głos, gdy coś wydało im się niekorzystne dla państwa.

Pewnego wieczoru wdał się w zażarty spór z jednym z ministrów w kwestii planowanego budżetu, a konkretnie zasiłków dla saudyjskich robotników. Muhammad uważał, że powinno się je zwiększyć, ponieważ program Wizja 2030 nie osiągnął jeszcze etapu, na którym więcej pieniędzy wracało do rąk obywateli królestwa. Jego oponent sądził jednak, że tego rodzaju wydatki są nierozważne. W końcu zmęczony urzędnik stwierdził, że ostatecznie to Muhammad jest księciem koronnym – może zadecydować, co mu się podoba.

– Gdybym chciał użyć moich wpływów, żeby przeforsować decyzję, nie zdzierałbym przez trzy godziny gardła, próbując cię przekonać – powiedział młodzieniec.

Kiedy sprawę poddano pod głosowanie specjalnej komisji, technokraci opowiedzieli się przeciwko Muhammadowi i omawiana część budżetu nie została zmieniona.

Takie debaty miały jednak miejsce wyłącznie podczas spotkań prywatnych. Publiczna niezgoda była zakazana, zwłaszcza gdy w grę wchodziły kluczowe reformy.

Essam az-Zamil, aresztowany ekonomista, został zgarnięty, gdy podzielił się na Twitterze wątpliwościami odnośnie do debiutu giełdowego Aramco. W swoim wpisie stwierdził, że przewidywana przez księcia wycena spółki na przeszło 2 bln dol. mogła się ziścić jedynie przy uwzględnieniu rezerw ropy naftowej. Rezerwy te należały zaś do obywateli Arabii Saudyjskiej i nie powinny zostać sprzedane bez ich zgody.

Do więzień trafiło też kilkanaście innych osób, które krytykowały bądź kwestionowały plany Muhammada. Wśród nich znaleźli się m.in. pewien poeta, który ostro się wypowiedział o bojkocie Kataru, oraz grupa duchownych z Salmanem al-Oudą na czele. Rząd oskarżył ich wszystkich o współpracę z obcymi rządami na szkodę królestwa.

Chaszukdżi postanowił zabrać głos w obronie zatrzymanych.

– To absurd – powiedział „New York Timesowi". – Nic nie uzasadnia tych aresztowań. Nie są to członkowie żadnej organizacji politycznej, przedstawiają odmienne punkty widzenia.

Al-Kahtani czuł się upokorzony impertynencją dziennikarza, który latał po świecie i publicznie beształ saudyjski rząd. Przystąpił więc do wprowadzania w życie planu, który ukróciłby publicystyczną karierę Chaszukdżiego. Zamierzał zablokować mu możliwość podróży i zabronić wszelkich form masowej komunikacji, publikowania artykułów czy udziału w konferencjach. Publicysta miał uważać za szczęście, jeśli uda mu się pójść na spacer po Dżuddzie – koniec z przemówieniami na temat demokracji w świecie arabskim.

Pewien rządowy przyjaciel uprzedził jednak Chaszukdżiego, co się święci. Dziennikarz, który całe życie był osobą publiczną, nie wyobrażał sobie, że mógłby teraz się stać szarym, anonimowym obywatelem. Spakował więc dwie walizki i poleciał do Waszyngtonu, gdzie wciąż miał mieszkanie. Wymknął się tuż przed tym, jak w życie wszedł zakaz opuszczania kraju. (…)

Dziennikarz zaczął prowadzić stałą rubrykę w „The Washington Post". Nagłówek pierwszego artykułu brzmiał następująco: „Arabia Saudyjska nie zawsze była tak represyjna. Teraz stała się nie do zniesienia".

W ciągu pięciu minut dziennikarz stracił przytomność i się udusił. O 13.39 słychać było, jak spec od oprawiania zwłok piłuje ciało na kawałki.

FOT. EAST NEWS

eprasa.pl c966d1c9a7

„Porzuciłem dom, rodzinę i pracę, a teraz zabieram głos. Postępując inaczej, zdradziłbym wszystkich tych, którzy pokutują w więzieniach. Mogę jeszcze mówić, kiedy innym się tego odmawia. Chcę, abyście wiedzieli, że Arabia Saudyjska nie zawsze była taka jak dzisiaj. My, Saudyjczycy, zasługujemy na więcej", napisał publicysta na zakończenie tekstu.

Muhammad rozkazał Al-Kahtaniemu sprowadzić Chaszukdżiego z powrotem do kraju. A jeśli to miałoby się nie udać, mogli jeszcze „zwabić go gdzieś poza Arabią Saudyjską i tam coś zaaranżować", jak czytamy w raporcie CIA, na który później powoływał się „The Wall Street Journal". (...)

•

Al-Kahtani śledził ruchy Chaszukdżiego w tygodniach poprzedzających jego pierwszą wizytę w stambulskim konsulacie. Kiedy tamtejsi urzędnicy poinformowali go, że dziennikarz najprawdopodobniej za jakiś czas wróci, najwierniejszy porucznik Muhammada dostrzegł szansę na pochwycenie dysydenta i zaraz wysłał do Turcji grupę specjalistów od „sztuk tajemnych". Technicy, podejrzewając, że tureckie władze mogły założyć podsłuchy w siedzibie saudyjskiego konsula, przeszukali budynek. Nie znaleźli żadnych pluskiew – choć może precyzyjniej byłoby powiedzieć, że wszystkie przegapili.

Prowadzone przez Sauda Centrum Badań i Spraw Medialnych w praktyce stanowiło kwaterę główną Saudyjskiej Grupy Natychmiastowej Interwencji, zespołu wywiadowczego odpowiedzialnego za potajemne sprowadzanie więźniów do kraju. Na czele jednostki stał ten sam agent bezpieczeństwa i były pracownik wywiadu, z którym Chaszukdżi miał w przeszłości styczność w Londynie – Maher Mutreb (notabene pojawiający się również na zdjęciach z zakończonego kilka miesięcy wcześniej amerykańskiego tournée Muhammada).

Mutreb zabrał do Stambułu grupę podwładnych oraz podpułkownika Salaha Muhammada at-Tubajgiego, lekarza pracującego dla Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, a przy okazji prezesa Rady Naukowej Medycyny Sądowej w Rijadzie. Obecność At-Tubajgiego miała później stanowić dowód na to, że morderstwo było w planach od samego początku. Według nagrań zdobytych przez turecki wywiad lekarz, nerwowo oczekując na zjawienie się Chaszukdżiego, opowiadał swoim towarzyszom, że ma w zwyczaju słuchać muzyki i pić kawę, kiedy kroi zwłoki.

Personelowi konsulatu przykazano nie przychodzić do pracy w dniu, w którym dziennikarz planował się stawić po dokumenty rozwodowe. Z kolei pracownicy mieszczącego się nieopodal domu konsula usłyszeli, że mają sobie zrobić wolne z powodu robot budowlanych.

Chaszukdżi nie był zwykłym obcokrajowcem zamordowanym w Turcji. Erdoğan poznał go osobiście.

– Czy zwierzę ofiarne jest już na miejscu? – zapytał Mutreb kilka minut przed przybyciem Chaszukdżiego.

Gdy publicysta przekroczył drzwi budynku, sprawy potoczyły się szybko. Agenci zaprowadzili go na piętro, do biura konsula generalnego.

– Będziemy musieli cię zabrać do kraju – powiedział Mutreb, wciągając Chaszukdżiego do pomieszczenia. – Mamy rozkaz od Interpolu. Interpol żąda, abyś został wysłany do kraju. Przyszliśmy po ciebie. Dlaczego nie chcesz wrócić?

– Czemu miałbym nie chcieć wrócić do własnego kraju? – odparł dziennikarz. – *Inszallah*, w końcu wrócę.

– Interpol zaraz się zjawi, więc musimy cię zatrzymać, aż przyjdą – oświadczył Mutreb.

– To wbrew wszelkim prawom. To porwanie! – zawołał Chaszukdżi.

– Zabierzemy cię do Arabii Saudyjskiej, a jeśli nam nie pomożesz, wiesz, co koniec końców się stanie – odezwał się któryś z agentów.

Dziennikarz zaczął się opierać.

– Przyśpieszmy sprawę – powiedział ktoś.

Wyciągnęli strzykawkę.

– Podacie mi narkotyk? – zapytał Chaszukdżi. Była 13.33.

I tyle. W ciągu pięciu minut dziennikarz stracił przytomność i się udusił. O 13.39 słychać już było, jak spec od oprawiania zwłok piłuje ciało na kawałki. (...)

•

Październik 2018 r.

W pałacu prezydenckim w Ankarze prezydent Recep Tayyip Erdoğan kipiał złością, słuchając raportu tureckich służb bezpieczeństwa. Ze wstępnej analizy nagrań z urządzeń podsłuchowych umieszczonych w saudyjskim konsulacie przed zjawieniem się tam Dżamala Chaszukdżiego wyłaniał się obraz potwornego morderstwa dokonanego z pełną premedytacją.

Godzinę przed zabójstwem ekspert od oprawiania zwłok z szokującą obojętnością opisał, jak trudne będzie pocięcie ciała dziennikarza na kawałki. Do tego dochodziło zdanie o „zwierzęciu ofiarnym" oraz mdlące odgłosy piłowania mięsa i kości tuż po śmierci ofiary.

– *Haram* (bluźnierstwo)! – wykrzyknął Erdoğan. Czyn Saudyjczyków wydał mu się tak podły, że stanowił obrazę Boga. Chaszukdżi nie był zwykłym obcokrajowcem zamordowanym w Turcji. Prezydent poznał go osobiście, a jego doradcy nieraz konsultowali się z dziennikarzem w kwestiach związanych z Arabią Saudyjską i szeroko pojętym światem arabskim.

Frustrację tureckiego przywódcy dodatkowo nasilała reakcja saudyjskich władz: królewski dwór utrzymywał, że o niczym nie wiedział. Czy uważali Turków za idiotów?

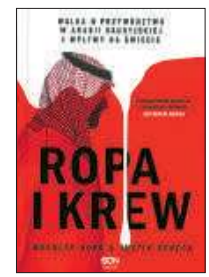

Fragmenty książki Bradleya Hope'a i Justina Schecka *Ropa i krew*, tłum. Grzegorz Gajek, SQN, Kraków 2021

eprasa.pl c966d1c9a7

Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Początek albo koniec

Z punktu widzenia egocentryka wojna niczego nie zmienia: w najgorszym wypadku czeka nas śmierć. Może tylko szybciej, niż się spodziewaliśmy; może nie zdążymy spłacić kredytów, ale choćbyśmy stracili cały dobytek i przeczekiwali naloty w piwnicach, banki będą wysyłać SMS-y z monitami, póki żyjemy. Kiedy masz dzieci, perspektywa się zmienia – każda realna myśl o globalnej katastrofie budzi instynkt opiekuna, który musi przetrwać, dopóki odpowiada za dobro potomstwa. Ktoś naiwnie powiedział: Putin nie wywoła wojny, bo ma dzieci. Wywołał, bo: a) jest pewien, że nic złego im się nie stanie – nikt nawet w Rosji nie wie, czy na pewno, z kim i ile dzieci dorobił się rosyjski satrapa, to jedna z najpilniej strzeżonych tajemnic państwowych; b) jest psychopatą z kompleksem Saturna, w dodatku utożsamia się z Rewolucją – dość powodów, by własne dzieci pożreć.

Ale od wyszydzania prostodusznych nadziei jestem daleki; nawet w najtęższej depresji żywiłem przekonanie, że jedynym sensem i usprawiedliwieniem mojej nędznej egzystencji są dzieciaki i nie umrę spokojnie, dopóki się nie usamodzielnią. Takoż nigdy nie miałem okazji zmierzyć się z myślami o samobójstwie, bo co tylko mi jeden brzdąc się zbliżył do dorosłości, rodził się kolejny. Jeśli więc teraz się boję, to nie o siebie. Skoro między kolejnymi akapitami tego tekstu agresywna aneksja samozwańczych republik zmieniła się w regularną inwazję Rosji na Ukrainę, wszystko jest możliwe i każdy lęk stał się uzasadniony. Dzisiejsze gazety już o poranku są wczorajsze; ożywa dowcip z czasów II wojny: na lekcji geografii uczeń zapytany: „Wymień sąsiadów naszego kraju", przeprasza: „Niestety, nie sprawdzałem najświeższych wiadomości". Polska jest teraz krajem frontowym, co zapewne obóz rządzący zdąży wykorzystać do swoich celów, zanim skończę akapit następny.

Albo to początek – III wojny światowej, albo tylko koniec – złudzeń, że PiS w Polsce demokratycznie odda władzę. Kaczystom z nieba spadła okazja, by wprowadzić bezterminowo stan wyjątkowy na terenie całego kraju, już nie muszą w tym celu wygrzebywać z sieci zoofilskich filmików, nie muszą nawet straszyć Putinem – wystarczy, że ludzie włączą dowolny program informacyjny. Militaryzacja umysłów przyśpieszy, skoro wróg stanął u bram, każdego wątpiącego w intencje władzy będzie można uznać za zdrajcę i wyeliminować. Zaglądam tuż po agresji Rosji do pierwszych komentarzy czytelników głównego organu propagandowego rządu, żeby wiedzieć, w jaką teraz stronę pobieży narodowy mental. Okazuje się, że nadal najważniejsza jest wina Tuska, bo przecież Putin to jego przyjaciel z sopockiego molo, a Merkelowa to już w ogóle z nimi na dwa baty etc. Poza tym j…ć banderowców, Lwów i tak jest nasz, trzeba się dogadać z Rosją. No i jeszcze klasyk foliarstwa: ta wojna to *fake*, nie ma żadnych nalotów, tak jak nie było pandemii, media kłamią. Ta ostatnia reakcja jest mi najbliższa – sam, patrząc na gębę Putina wygłaszającego androny, by wytłumaczyć inwazję, mam głębokie poczucie derealizacji: to nie może się dziać naprawdę. To jest jakaś dystopia klasy B, nie wiedzieć czemu zakupiona w promocji przez wszystkie telewizje świata.

A kiedy wraca racjonalność, głowa huczy od dzwonków alarmowych – tak, to jest ostatni moment, żeby uciec. Dokąd? Najlepiej do państwa tak małego, że trudno je zauważyć na mapie, lub tak odległego, że nikomu się nie zechce tam wysłać wojsk. Obstawiam Wyspę Wielkanocną, a już najlepiej Madre de Dios w chilijskiej Patagonii – do kontynentu daleko, a na wyspie sporo jaskiń do eksploracji. Właśnie sprzedałem dom, jedyne, czego mi było żal, to księgozbiór, którego ze sobą nie zabiorę – jest coś tragikomicznego w tym, że człowiek intelektu w obliczu zagłady odruchowo myśli o tym, jak chronić książki. W stanie wojny postawa *zero waste* świetnie się sprawdza – lepiej jest nie mieć wiele do stracenia, a cały swój bagaż życiowy spakować do jednej walizki. Dziecko wszystko zmienia – jemu należy się życie, pokój, świat w stanie stabilności; dla dobra dziecka instynktownie poświęcę wszystko. Jeśli wszystkie egotyczne grubasy tego świata mające dzieci kremlowski imperator rozwścieczył tak jak mnie, prędzej będzie koniec putinowskiej Rosji niż koniec świata.

Polska jest teraz krajem frontowym, co zapewne obóz rządzący zdąży wykorzystać do swoich celów.

w.kuczok@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl c966d1c9a7

David Quammen

Nie zamawiaj nietoperza

Zwierzęta, które przenoszą wirusy

W zatłoczonym kraju zamieszkiwanym przez 1,3 mld głodnych obywateli nie powinna dziwić konsumpcja wężowiny. W Kantonie łatwo znaleźć przepisy na przyrządzanie mięsa psa. W tym kontekście podsmażana kocina wydaje się niestety czymś nieuniknionym, a nie szokującym. Ale paguma chińska (*Paguma larvata*) wcale nie jest kotem. Jest członkiem rodziny wiwerowatych (*Viverridae*), do której zaliczają się mangusty. Jest lepiej znana jako paguma himalajska, łaskun palmowy lub cyweta palmowa. Handel tak niezwykłymi dzikimi zwierzętami wykorzystywanymi w celach kulinarnych, zwłaszcza w Delcie Rzeki Perłowej, ma znacznie mniej wspólnego z ograniczonymi zasobami, bezwzględną koniecznością i starożytnymi tradycjami niż z gwałtownym rozwojem handlu i stosunkowo nowych trendów związanych z ostentacyjną konsumpcją. Wnikliwi obserwatorzy chińskiej kultury nazywają ją Erą Dzikich Smaków.

Jednym z nich jest Karl Taro Greenfeld, który w 2003 r. pracował w Hongkongu jako redaktor azjatyckiej edycji tygodnika „Time", nadzorował publikowane w nim relacje z epidemii SARS, a wkrótce potem napisał o niej książkę „China Syndrome" (Chiński syndrom). Wcześniej jako dziennikarz przez kilka lat opisywał „nową Azję", dzięki czemu miał sposobność przekonać się na własne oczy, co ludzie wkładają do garnków. (…)

Dzikie Smaki (*yewei* po kantońsku) uważa się za sposób na pochwalenie się swoim statusem materialnym i zapewnienie sobie sukcesu. Spożywanie potraw z dzikich zwierząt, jak wyjaśnił Greenfeld, to tylko jeden z nowych wymiarów ostentacji w ekskluzywnej konsumpcji. Lecz nowa moda kulinarna, wywodząca się z wcześniejszych tradycji przygotowywania wymyślnych potraw, wykorzystywania naturalnych farmaceutyków i egzotycznych afrodyzjaków (takich jak tygrysi penis), wykroczyła daleko poza nie. Jeden z urzędników powiedział Greenfeldowi, że w samym Kantonie działają już 2 tys. restauracji zaliczanych do nurtu Dzikich Smaków. W ciągu godziny, jaką Greenfeld spędził w gabinecie mężczyzny, zezwolenia wydano czterem następnym.

Te lokale zaopatrują się na tzw. mokrych targach (nazwa wywodzi się od mokrych posadzek na tego rodzaju targach; woda bierze się z topniejącego lodu, w którym przechowuje się niektóre produkty, ponadto handlarze często ubijają zwierzęta na miejscu, a krew spłukują dużymi ilościami wody) w prowincji Guangdong, rozległych bazarach wypełnionych rzędami straganów z żywymi zwierzętami sprzedawanymi do wykorzystania w celach kulinarnych, takich jak targ dzikich zwierząt Chatou w Kantonie lub targ Dongmen w Shenzhenie. Targ Chatou rozpoczął działalność w 1998 r. i w ciągu pięciu lat stał się jednym z największych rynków dzikich zwierząt w Chinach. Szczególnie licznie reprezentowane są tam ssaki, ptaki, żaby, żółwie i węże. Od końca 2000 r. do początku 2003 r. zespół naukowców z Hongkongu prowadził ciągłą obserwację dzikich zwierząt sprzedawanych na bazarach w Chatou, Dongmenie oraz na dwóch innych dużych targach w Guangdongu. W porównaniu z wcześniejszym badaniem, przeprowadzonym w latach 1993-1994, naukowcy dostrzegli pewne zmiany i nowe trendy.

Po pierwsze, odnotowano znaczny wzrost obrotów. Po drugie, więcej handlu transgranicznego, zarówno legalnego, jak i nielegalnego, dzikimi zwierzętami przywiezionymi do południowych Chin z innych krajów Azji Południowo-Wschodniej. Dotyczyło

eprasa.pl c966d1c9a7

to zwłaszcza obfitych w mięso, cennych przedstawicieli zagrożonych gatunków, takich jak żółw rzeczny z Borneo i żółw birmański. Po trzecie, na rynek trafia coraz większa liczba zwierząt hodowanych w niewoli w celach komercyjnych, takich jak żaby i niektóre żółwie lądowe. Jak głoszą plotki, hoduje się również węże. Małe farmy cywet, działające w środkowym Guangdongu i w południowej części Jiangxi (prowincji graniczącej z Guangdongiem od północy), pomagają zaspokoić popyt na ten gatunek. W rzeczywistości znaczna część dostaw dwóch popularnych dzikich ssaków z rodziny łasicowatych – ryjonosa piżmowego (*Melogale moschata*) i balizuara obrożnego (*Arctonyx collaris*) – oprócz wspomnianego łaskuna palmowego pochodziła najprawdopodobniej z hodowli. Na poparcie swojej hipotezy zespół badaczy przytoczył spostrzeżenie, że zwierzęta wydawały się dość dobrze odżywione, nie miały obrażeń i sprawiały wrażenie oswojonych, podczas gdy te odłowione na wolności miałyby raczej ślady ran po pułapkach i inne oznaki walki o wolność lub znęcania się.

Nawet jeżeli przybywały zdrowe i silne, warunki panujące na targach nie miały jednak nic wspólnego z higieną. „Zwierzęta są upchane na małych przestrzeniach i często bardzo blisko stykają się z innymi dzikimi i/lub udomowionymi zwierzętami, takimi jak psy i koty", napisali badacze. „Wiele jest chorych, ma otwarte rany, na co nikt nie zwraca uwagi. Zwierzęta często zabija się na terenie targu, na kilku wyspecjalizowanych stoiskach". Przez druciane klatki ustawione jedna na drugiej odchody zwierzęcia jednego gatunku spadają na inne. Istne zoologiczne pomieszanie z poplątaniem. Badacze dodali niemal mimochodem, że „targi zapewniają również sprzyjające środowisko dla patogenów zwierzęcych, które w poszukiwaniu nowych żywicieli mogą przeskakiwać na innych gospodarzy, w tym na człowieka".

Restauracje nurtu Dzikich Smaków zaopatrują się na tzw. mokrych targach z żywymi zwierzętami sprzedawanymi w celach kulinarnych.

W takich warunkach Guan Yi, nieustraszony mikrobiolog z Uniwersytetu w Hongkongu, pojawił się na targu Dongmen w Shenzhenie i namawiał handlarzy, by pozwolili mu pobierać wymazy oraz próbki krwi od niektórych zwierząt. Do dziś nie mam pojęcia, jak udało mu się ich do tego przekonać. (…) Znieczulił jedno po drugim 25 zwierząt, pobrał próbki śluzu, kału i krwi, a następnie zabrał je do Hongkongu do analizy. Balizuary obrożne były czyste. Zające chińskie były czyste. Europejskie bobry były czyste. Koty domowe były czyste. Guan pobrał też próbki od sześciu himalajskich łaskunów palmowych, które czyste nie były – wszystkie okazały się nosicielami koronawirusa przypominającego SARS-CoV. Ponadto próbka kału pobrana od pewnego jenota dała wynik dodatni na obecność wirusa. Lecz dane statystyczne najbardziej obciążały cywety.

To odkrycie, pierwsze naukowe potwierdzenie, że SARS jest chorobą odzwierzęcą, ogłoszono na konferencji prasowej zorganizowanej przez Uniwersytet w Hongkongu 23 maja 2003 r. Dzień później „South China Morning Post", najważniejsza angielskojęzyczna gazeta w Hongkongu, opublikował na pierwszej stronie artykuł (oprócz wielu innych doniesień na temat SARS) pod nagłówkiem: „Naukowcy obwiniają cywety o epidemię SARS". Mieszkańcy miasta wiedzieli już wówczas, że SARS przenosi się drogą kropelkową z człowieka na człowieka, nie tylko za pośrednictwem płynów ciała i mięsa dzikich zwierząt. We wcześniejszych numerach „Morning Post" oraz innych gazetach wydawanych w Hongkongu publikowano artykuły wraz z sugestywnymi zdjęciami ludzi w maskach chirurgicznych. (…) Rządowy wydział zaopatrzenia w Hongkongu przekazał 7,4 mln masek szkołom, personelowi medycznemu i urzędnikom zdrowia publicznego walczącym na pierwszej linii frontu. Popyt na maski znacznie wzrósł również wśród ogółu społeczeństwa. (…) Pomimo powszechnego niepokoju związanego z transmisją choroby między ludźmi naukowcy wciąż dociekali, z jakiego gatunku zwierzęcia wirus przeskoczył na człowieka.

Wykorzystanie konferencji prasowej do powiadomienia społeczeństwa o roli cywet w szerzeniu się wirusa zamiast opublikowania tej informacji najpierw w czasopiśmie naukowym było niekonwencjonalnym, lecz nie bezprecedensowym posunięciem. Publikacja w czasopiśmie zajęłaby więcej czasu ze względu na konieczne prace redakcyjne, recenzje, artykuły wcześniej przyjęte i skierowane do druku, innymi słowy: cały proces wydawniczy. Jego obejście odzwierciedlało pośpiech, wywołany nie tylko obywatelską troską i koniecznością reakcji na epidemię, lecz także zapewne konkurencją wśród naukowców. Dwa miesiące wcześniej CDC w Atlancie w podobnym trybie zwołało własną konferencję prasową, na której poinformowało o zidentyfikowaniu nowego koronawirusa jako prawdopodobnej przyczyny SARS. CDC nie wspomniało ani słowem, że trzy dni wcześniej Malik Peiris wraz z zespołem odkrył tego samego wirusa i potwierdził jego związek

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl c966d1c9a7

z SARS. Ten akt przyznania sobie pierwszeństwa przez CDC w Atlancie, niezauważony przez resztę świata, prawdopodobnie zdenerwował naukowców z Uniwersytetu w Hongkongu i przyczynił się do podjęcia przez nich decyzji o ogłoszeniu odkrycia Guana Yi przy najbliższej nadarzającej się okazji.

Bezpośrednią konsekwencją tego było wprowadzenie przez chiński rząd zakazu handlu cywetami. Na dodatek, dla pewności, zakazano również wprowadzania na rynek 53 innych gatunków dzikich zwierząt w celach kulinarnych. Jak można było oczekiwać, ta decyzja spowodowała wymierne straty gospodarcze i pociągnęła za sobą tak gwałtowne protesty hodowców i handlarzy, że pod koniec lipca po dokonaniu oficjalnej oceny ryzyka została ona uchylona. W uzasadnieniu podano, że inna grupa naukowców zbadała himalajskie łaskuny palmowe i nie znalazła żadnych dowodów na przenoszenie przez nich wirusa podobnego do SARS. Zgodnie z nowymi przepisami znów można było legalnie handlować cywetami hodowlanymi, lecz sprzedaż dziko żyjących zwierząt pozostała zabroniona.

Guana Yi irytowało podawanie w wątpliwość jego ustaleń, lecz nie ustawał w propagowaniu ich kanałami naukowymi. Szczegółowe wyjaśnienia wraz z informacjami uzupełniającymi (tabele, liczby, zsekwencjonowany genom) przedstawił w artykule opublikowanym przez tygodnik „Science" w październiku następnego roku. Na długiej liście współautorów znaleźli się Leo Poon i Malik Peiris, jego koledzy z HKU. Guan i spółka dość ostrożnie sformułowali kończące pracę wnioski. Stwierdzili, że obecność zakażenia cywet niekoniecznie oznacza, iż to właśnie one są gatunkiem rezerwuarowym dla wirusa. Cywety mogły zostać zarażone „przez inny, jak dotąd nieznany gatunek zwierzęcia, który w rzeczywistości jest prawdziwym rezerwuarem wirusa SARS w przyrodzie". Mogły działać jako żywiciele wzmacniający (jak konie zarażone hendrą w Australii).

Pierwsze naukowe potwierdzenie, że SARS jest chorobą odzwierzęcą, ogłoszono 23 maja 2003 r.

Lecz najważniejsza teza postawiona przez badaczy w artykule brzmiała: „mokre targi", takie jak Dongmen i Chatou, są miejscami, w których koronawirusy podobne do SARS „namnażają się i przeskakują na nowych żywicieli, w tym człowieka, co jest niezwykle ważnym zjawiskiem z punktu widzenia zdrowia publicznego".

Zanim omawiany artykuł ukazał się drukiem, epidemia SARS w 2003 r. wygasła. Ostateczny bilans wyniósł 8098 zakażonych, z których 774 zmarło. Ostatni przypadek został wykryty i odizolowany na Tajwanie 15 czerwca. Hongkong został uznany za „wolny od SARS", podobnie jak Singapur i Kanada. Cały świat był rzekomo „wolny od SARS". Mówiąc bardziej precyzyjnie, te deklaracje oznaczały, że w tamtym momencie nie notowano masowych zakażeń tym wirusem wśród ludzi. Ale wirus nie zniknął. Jest wszak chorobą odzwierzęcą, toteż żaden epidemiolog nie wątpi, że patogen sprawczy wciąż czai się w jednym lub więcej gatunków rezerwuarowych – takich jak łaskun palmowy, jenot azjatycki lub cokolwiek innego – w Guangdongu, a może gdzieś indziej? Ludzie świętowali koniec wybuchu epidemii, lecz osoby najlepiej poinformowane świętowały z najwyższą ostrożnością. Wirus zwany odtąd SARS-CoV nie zniknął, lecz się ukrył. Mógł więc powrócić.

I rzeczywiście, pod koniec grudnia wrócił, jak wtórny wstrząs po trzęsieniu ziemi. W Guangdongu stwierdzono nowy przypadek, a wkrótce po nim kolejne trzy. Jedna z pacjentek była kelnerką, która miała bezpośredni kontakt z cywetą. 5 stycznia 2004 r., czyli w dniu, w którym potwierdzono pierwszy przypadek, władze Guangdongu ponownie zaostrzyły reżim sanitarny, nakazując zgładzenie i pozbycie się wszystkich himalajskich łaskunów palmowych trzymanych na farmach lub oferowanych na rynkach. A co z dzikimi łaskunami? Oto kolejne pytanie pozostawione bez odpowiedzi.

Ministerstwo leśnictwa, które reguluje handel dzikimi zwierzętami, we współpracy z ministerstwem zdrowia powołało specjalne zespoły do spraw zwalczania zakażeń, które udały się na farmy łaskunów. W kolejnych dniach uduszono, spalono, ugotowano, porażono prądem lub utopiono ponad tysiąc tych zwierząt.

eprasa.pl c966d1c9a7

Wydawało się, że kampania eksterminacyjna rozwiązała całą sprawę raz na zawsze. Ludzie poczuli się pewniej. To poczucie utrzymywało się przez… rok, a może ciut dłużej, dopóki inni naukowcy nie wykazali, że wątpliwości co do identyfikacji żywiciela rezerwuarowego były uzasadnione. Guan Yi miał rację, ostrożnie formułując swoje konkluzje, a cała historia sięgała nieco głębiej i była bardziej skomplikowana. Ups, łaskuny jednak nie są rezerwuarem wirusa SARS. Ale trudno, stało się.

O dzikich łaskunach w Hongkongu opowiedział mi Leo Poon. (…) Nie sądziłem, że w żyjącym w tak szalonym tempie mieście, pełnym ludzi, pojazdów i wznoszących się pionowo betonowych ścian, mogło się uchować jakiekolwiek dzikie zwierzę.

– Dzikie łaskuny? Pewnie, ale na Nowych Terytoriach – zapewnił mnie Poon.

Te Nowe Terytoria (nowe dla kolonialnych Brytyjczyków, którzy w 1898 r. wydzierżawili je od Chin na 99 lat) obejmują mniej rozwinięte obszary Specjalnego Regionu Administracyjnego Hongkongu, od Boundary Street na północnym krańcu dzielnicy Koulun do granicy z prowincją Guangdong, a także bardziej oddalone wyspy, lasy i góry oraz rezerwaty przyrody, które na mapach zaznacza się zielonym kolorem. Są to miejsca, w których nawet w XXI w. łaskuny palmowe mogą przetrwać na wolności.

– Na terenach wiejskich są wszędzie! – dodał.

Zaraz po wygaśnięciu epidemii zespół Poona z HKU zaczął chwytać dzikie zwierzęta w poszukiwaniu śladów koronawirusa. Najpierw skupili się na łaskunach, których udało im się złapać prawie 20. Od każdego zwierzęcia pobierali wymaz z dróg oddechowych i odbytu – myk, myk, dziękuję bardzo – a następnie wypuszczali je z powrotem w dzicz. Każdą próbkę badano metodą PCR z wykorzystaniem tego, co w żargonie technicznym nazywa się „starterami konsensusowymi", co oznacza uogólnione startery molekularne, amplifikujące fragmenty RNA często występujące u koronawirusów, a nie tylko te swoiste dla koronawirusa podobnego do SARS, którego Guan Yi znalazł u swoich łaskunów.

– U ilu z nich znalazł pan koronawirusa? – spytałem.

– U żadnego – padła odpowiedź. – To był bezpośredni dowód sugerujący, że cyweta wcale nie jest rezerwuarem dla koronawirusa SARS. Byliśmy bardzo rozczarowani.

Ale rozczarowanie w nauce niekiedy prowadzi do lepszego zrozumienia badanej kwestii. Jeżeli nie cyweta, to co?

– Postawiliśmy hipotezę, że jeżeli to zwierzę, ten niezidentyfikowany gatunek, jest naturalnym rezerwuarem dla SARS, musi być dość rozpowszechniony w przyrodzie.

Wirus zwany odtąd SARS-CoV nie zniknął, lecz się ukrył.

Porozstawiali więc po lasach kilkanaście pułapek na wszelkie dzikie i zdziczałe zwierzęta. Ich ostateczna lista okazała się bardzo różnorodna: były na niej rezusy i jeżozwierze, węże połozowate i turkawki, dziki i szczury śniade, a nawet przynajmniej jedna kobra chińska (zwana pospolitą). I znów wyniki analizy PCR okazały się ujemne u prawie wszystkich zwierząt. Zaledwie 3 spośród 43 gatunków wykazały oznaki zakażenia koronawirusem. Wszystkie trzy należały do podrzędu *mikrochiroptera*, czyli małych nietoperzy.

Tylko u jednego gatunku stwierdzono wysoką grupową częstość występowania wirusa. Większość osobników, od których pobrano próbki, uzyskała wynik dodatni, co zmierzono za pomocą ilości wirusa wydalanego z kałem. Było to maleństwo zwane podkasańcem małym.

Poon wręczył mi kopię artykułu, który opublikował (ponownie wraz z Guanem i Peirisem jako współautorami) w dwutygodniku „Journal of Virology" w 2004 r., zaledwie kilka miesięcy po masowym uboju cywet. Chciał, żebym opisał ich odkrycia.

– Koronawirus znaleziony u tego nietoperza jest zupełnie odmienny od wirusa SARS – powiedział Poon. Wcale nie twierdził, że znalazł rezerwuar SARS-CoV. – Ale to pierwszy koronawirus u nietoperza.

Znalazł więc cenną wskazówkę. Niedługo potem międzynarodowy zespół chińskich, amerykańskich i australijskich badaczy opublikował wyniki jeszcze bardziej odkrywczych badań zbiorów próbek pochodzących z Guangdongu i trzech innych miejsc w Chinach. W zespole tym, kierowanym przez chińskiego wirusologa Wendonga Li, znajdowali się także Hume Field, lakoniczny Australijczyk, który znalazł rezerwuar hendry, oraz dwóch naukowców z Consortium for Conservation Medicine (Konsorcjum Medycyny Ochronnej) z siedzibą w Nowym Jorku. W odróżnieniu od grupy z Hongkongu grupa Li skoncentrowała się na nietoperzach. Jego zespół chwytał zwierzęta na wolności, pobierał krew, wymazy z odbytu oraz z gardła, a następnie dwukrotnie analizował próbki materiału w laboratoriach w Chinach i Australii, kontrolując samych siebie, co zwiększało pewność uzyskanych wyników. Badacze odkryli koronawirusa, który w przeciwieństwie do wirusa wyizolowanego przez Leo Poona bardzo przypominał ludzkiego SARS-CoV. Nazwali go koronawirusem podobnym do SARS. Zebrane przez nich próbki wykazały, że wirus podobny do SARS był rozpowszechniony zwłaszcza u kilku gatunków rodzaju podkowcowatych (*Rhinolophus*). Nietoperze podkowcowate to delikatne, małe stworzonka z dużymi uszami i szerokimi nozdrzami (…). Zamieszkują one przeważnie jaskinie, których nie brak w południowych Chinach. Uaktywniają się nocą, polując na ćmy i inne owady. Do tego rodzaju zalicza się ok. 70 gatunków. Badanie Li wykazało, że trzy spośród nich przenoszą wirusa podobnego do SARS: podkowce wielkouchy, mały i wietnamski. Jeżeli zauważycie te zwierzęta w menu jakiejś restauracji w południowych Chinach, lepiej zamówcie pierożki. (…)

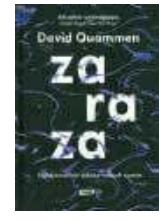

Fragmenty książki Davida Quammena *Zaraza. Najskuteczniejsi zabójcy naszych czasów,* tłum. Rafał Śmietana, Znak Literanova, Kraków 2021

eprasa.pl c966d1c9a7

Konrad Malec

Cwana oportunistka

Wydry jedzą to, co najłatwiej zdobyć

Tej zimy Narew zamarzła tylko raz i na krótko. Mimo to udało mi się zaobserwować jedną z moich ulubionych scen o tej porze roku – wydrę polującą w przeręblu na hibernujące żaby trawne.

Bóbr przyjaciel

Mimo że płazy są jedną z głównych grup zwierząt, których inwentaryzacje czy nadzory przyrodnicze prowadzę, tym razem nie było mi specjalnie żal żab, chociaż wydra żerowała przez kilka godzin, pochłaniając ich kilkadziesiąt, a może kilkaset. Narew w miejscu mojego zamieszkania tworzy dogodne warunki do zimowania żab trawnych. Niestety, w tym roku było to jednorazowe wydarzenie, choć w minionych latach wydra powracała w to miejsce przez kilka-kilkanaście dni. A może liczba żab tak się zmniejszyła, że nie było po co wracać? Wszak płazy są najszybciej ginącą grupą kręgowców (o czym szerzej pisałem w PRZEGLĄDZIE z 4 października ub.r.).

W przeciwieństwie do żab wydry mają się dziś dużo lepiej. Jednak od XIX w. ich liczebność drastycznie spadała, dlatego wpisano je do Polskiej Czerwonej Księgi Zwierząt z 1992 r., a trzy lata później znalazły się pod ścisłą ochroną. Przyczyną tego było najpierw intensywne polowanie. W drugiej połowie XIX w. w samej Kongresówce oficjalnie na futra pozyskiwano ok. 1 tys. osobników rocznie. Rzeczywista śmiertelność była zapewne znacznie wyższa. Po II wojnie światowej doszło do tego zanieczyszczenie wód spowodowane szybkim uprzemysłowieniem kraju i kanalizacją miast, często z pominięciem oczyszczania ścieków. Populacja wydr znalazła się na skraju przepaści, w latach 80. było to 1,2 tys. osobników, choć część danych naukowych sugerowała zaledwie 700 wydr w Polsce. Jeszcze gorzej było w Europie Zachodniej, miejscami gatunek wyginął tam zupełnie.

Sytuacja zaczęła się zmieniać wraz z początkiem lat 90. Z jednej strony, na skutek upadku wielu zakładów pracy, a później otwierania w miastach nowoczesnych oczyszczalni ścieków poprawiła się czystość wód. Z drugiej, wprowadzono ochronę prawną. Wreszcie sama biologia wydry, zwierzęcia niezwykle plastycznego, sprawiła, że gatunek odbudował liczebność w Polsce i wielu innych krajach. Choć gdzieniegdzie pomógł w tym człowiek, np. w Holandii w 2002 r. dokonano reintrodukcji wydr.

Wspomniana plastyczność ma i ciemne strony. Dawniej wydra była uznawana za zwierzę sygnalizujące czystą wodę. Prawdopodobnie było to związane z presją łowiecką, wydry uchowały się tam, gdzie człowieka było najmniej, a co za tym idzie – woda była najmniej skażona. Od kiedy polowania na wydry ustały, zwierzęta pojawiły się w wodach dalekich od uznania za zdatne do picia. W 1998 r. przy niewielkim dopływie rzeki Guadiamar w południowej Hiszpanii doszło do awarii przemysłowej, w wyniku czego znaczna ilość toksyn zawierających m.in. metale ciężkie zabiła życie w rzece poniżej ujścia. Rok później wydry i ich ofiary wróciły do rzeki, mimo utrzymującego się wysokiego stężenia metali ciężkich. Wydry, jako drapieżniki szczytowe, są szczególnie narażone na kontakt z zanieczyszczeniami związkami mającymi zdolność kumulowania się w organizmach żywych, np. metalami ciężkimi. Badania wykazały, że w odchodach wydr było nawet trzy razy więcej metali ciężkich niż w kale wydr z niezanieczyszczonych wód. Możemy jedynie się domyślać, jaki wpływ na zdrowie i żywotność wydr miało podwyższone stężenie ołowiu, cynku, miedzi czy arsenu.

Jeszcze jeden czynnik w Polsce i prawdopodobnie w Europie Zachodniej wpłynął na wzrost liczebności wydr. Odbudowa populacji bobra. Małe cieki wodne są chętnie wykorzystywane przez wydry do przemieszczania się, ale niespecjalnie nadają się do życia. Bobry budujące tamy i zalewające znaczne połacie terenu zmieniają sytuację, tworzą warunki dla ryb, płazów i innych ofiar

FOT. DIETER MAHLKE/IMAGEBROKER/FORUM

eprasa.pl c966d1c9a7

wydr. Zarówno bobry, jak i wydry trafiły do pierwszego wydania Czerwonej Księgi, ale nie znalazły się w jej wznowieniu. Sytuacja tych zwierząt poprawiła się na tyle, że z ochrony ścisłej przeniesiono je do częściowej. Wygląda na to, że staropolskie powiedzenie „zwie się bóbr, ma przydomek wydra", pozostaje aktualne.

Rybne menu

Wydra jest powszechnie znana z zamiłowania do ryb. Ba! Nierzadko jest oskarżana o dziesiątkowanie ryb hodowlanych. Nie zawsze jest to przesadą, sam znam przynajmniej jeden przypadek wyżarcia dosłownie wszystkich ryb ze stawu, choć po prawdzie staw był niewielki. Nic dziwnego, że ochrona częściowa uwzględnia możliwość redukcji wydr właśnie w gospodarstwach rybackich. Trzeba tu wyjaśnić, że wydry są wyjątkowymi oportunistkami – jedzą to, co najłatwiej zdobyć. W stawach hodowlanych są to ryby, które w naturze nigdy nie występują w takim zagęszczeniu. Nic dziwnego, że jeśli wydry trafią na stawy z karpiami, pożywią się nimi obficie, choć nie jest to ryba optymalna pod względem zaspokojenia zapotrzebowania naszych drapieżników na składniki odżywcze. Jeżeli zdobycz jest duża, to niestety nie dojadają jej do końca, co bywa powodem oskarżeń o polowania ponad potrzeby.

Co więc mieści się w spektrum pokarmowym wydr? To zależy od miejsca i czasu. Przykładowo w małych rzekach Puszczy Białowieskiej ryby stanowiły 51% biomasy pokarmowej wydr w porze letniej i 40% w okresie jesienno-zimowym, płazy zaś analogicznie 34% i 58%. Nad większą Narewką udział ryb wahał się od 49% do 65%, a płazów od 33% do 49%. Pozostałą część pokarmu stanowią skorupiaki, mięczaki, owady wodne i ptaki wodne, rzadziej ssaki. Z ryb najważniejsze były płocie i okonie. W Drawieńskim Parku Narodowym, na zachodzie kraju, ryby stanowiły ogółem 70% pokarmu wydr. Najczęściej były to okonie, płocie, wzdręgi, leszcze, krąpie, ukleje i strzeble.

Osobniki zamieszkujące różne środowiska preferują różne menu. Wydry z rzeki Drawy jedzą więcej ryb i innych organizmów wodnych, a ich pokarm jest bardziej różnorodny niż zwierząt z innych siedlisk. Za to te z innych siedlisk dużo częściej zjadają ptaki.

Umiejętność przystosowania się wydr do rozmaitych warunków przejawia się też w biologii rozrodu. Wydra może być w ciąży dwa miesiące lub… trzynaście! Mało tego, samice rodzą młode wiosną, latem lub przez cały rok. Młodych zwykle jest dwoje-troje, rzadziej jedno lub cztery. Czas ciąży i porodu jest zależny od miejsca. W południowo-zachodniej Europie wydry mogą rodzić przez cały rok, u nas również, ale najczęściej młode przychodzą na świat wiosną. Im dalej na północ, tym częściej wydry rodzą latem, kiedy najłatwiej odchować młode. Trzynastomiesięczna ciąża występuje u samic z północy – zapłodnienie ma miejsce wiosną, następnie zarodek przechodzi w diapauzę, czyli rodzaj uśpienia na czas niekorzystnych warunków, podobnie jak u naszych kun czy saren.

Wydra może być w ciąży dwa miesiące albo… trzynaście!

Do ciekawych wniosków doszli Brytyjczycy. Ich badania znad rzeki Glaven i jej dopływów w północnej Anglii, z lat 70., po ponownym pojawieniu się wydr w rzece, wykazały, że o ile w samej rzece wydry są oportunistkami, o tyle w strumieniach preferowały węgorze i kiełbie (łapały ich więcej, niż wynikałoby to z proporcji dostępności ofiar). 40 lat później węgorzy w diecie wydr z górnych odcinków Glaven i jej dopływów było już niewiele. To smutny obraz zaniku węgorzy w Europie. Inne brytyjskie badania pokazały, że tam, gdzie są wydry, norki amerykańskie – obce i inwazyjne w naszej części świata – zjadają więcej ofiar lądowych, ustępując lepiej dostosowanej do podwodnych łowów i znacznie większej wydrze. W Hiszpanii, Portugalii i północnych Włoszech znaczną część pokarmu wydr stanowią raki luizjańskie, będące poważnym problemem przyrodniczym w południowej i zachodniej Europie. Ostatnio raki luizjańskie zauważono także w Polsce, oby naszym wydrom smakowały.

Inteligentny leniuszek

Pisząc o wydrze, grzechem byłoby nie wspomnieć o Robaku oswojonym przez Jana Chryzostoma Paska. Według jego pamiętnika Robak na polecenie swojego pana miał łowić i dostarczać sporo ryb. Zapis Paska długo traktowano jako przejaw sarmackiej megalomanii, ale badania nad oswojonymi wydrami wskazały prawdopodobieństwo takich połowów. Po prostu w naturze wydra nie ma potrzeby dalszego polowania po zaspokojeniu głodu. Raz, że zapasów z ryb raczej nie da się zrobić, a dwa, że zwierzę to uwielbia się bawić. Lenistwo i skłonność do zabawy to cechy zwierzęcia inteligentnego.

O bystrości jej umysłu może świadczyć jedno z moich spotkań z wydrą. Wiele lat temu liczyłem ptaki zimujące na Grabi, jednej z bardziej malowniczych rzek w Łódzkiem. Większość rzeki była wówczas zamarznięta, woda płynęła jedynie poniżej łazów. Na jednym z wolnych od lodu odcinków spotkałem wydrę. Za sprawą korzystnego wiatru długo byłem niezauważony, a zwierzę bawiło się w wodzie, nurkując i kręcąc beczki. W końcu wyszło na taflę lodu, dosłownie pod moimi nogami (stałem na półmetrowej skarpie) i zabrało się do czyszczenia futra. Po dłuższej chwili zorientowało się, że nie jest samo, spojrzało na mnie, po czym bardzo powoli oddaliło się i wskoczyło do wody. Zapewne pomyślało, że skoro do tej pory nie zrobiłem mu krzywdy, to jestem niegroźny. Po kilku kolejnych nurkach i beczkach wypłynęło z dorodnym okoniem w pysku. Tym razem posłało mi nieufne spojrzenie i konsumpcji dokonało przy drugim brzegu.

W łowieniu ryb wydrze pomaga budowa ciała – krótkie, ale mocne łapy i spięte błoną pławną palce. To zapewnia napęd i zwrotność, tak samo jak silne ciało, umożliwiające

eprasa.pl c966d1c9a7

pływanie ruchem falistym (przypominającym styl motylkowy). Płaska i szeroka głowa zapewnia minimalny opór wody, podobnie jak krótka, ale masywna szyja, grubsza od głowy. Ta ostatnia cecha okazała się poważnym problemem w badaniach telemetrycznych wydr. Standardowa obroża z nadajnikiem tu się nie sprawdza, zwierzę zsunęłoby ją przez głowę.

Izolację przed wodą i zimnem daje wyjątkowo gęsta sierść. Na centymetrze kwadratowym wyrasta 50 tys. włosów. To dwukrotnie więcej niż u kota i sześciokrotnie więcej niż u psa, co plasuje wydrę wśród liderek w gęstości owłosienia. Absolutny rekord w tej konkurencji należy do wydry morskiej, mieszkanki północnego Pacyfiku, mogącej się poszczycić 160 tys. włosów na centymetrze kwadratowym. Jednak owo przystosowanie do życia w zimnym oceanie stało się jej przekleństwem. Na przełomie XVII i XVIII w. cena za futro jednego zwierzęcia sięgała nawet równowartość dzisiejszych 300 dol.! Na początku wieku XX skoczyła niemal czterokrotnie, ale wówczas gatunek był już na skraju wymarcia. Skłoniło to Japonię, Rosję, USA i Wielką Brytanię do wprowadzenia moratorium na połów wydr morskich w 1911 r., co było jedną z pierwszych międzynarodowych umów dotyczących ochrony przyrody.

Sposób na wydrę

Wspomniane zabawy to harce nie tylko w wodzie, ale też na lądzie. Znane są trasy zjazdowe wydr, ciągnące się nawet ponad 100 m. Sam takich nie widziałem, w ogóle nie widziałem zabaw wydr na lądzie, podobnie jak nigdy ich nie słyszałem. Żałuję, gdyż literatura określa wydrę jako zwierzę bardzo wokalne, wydające najróżniejsze odgłosy, od warknięć i rozmaitych chrząknięć, przez przypominające śmiech albo płacz dziecka, po kocie miauczenie.

Literatura określa wydrę jako zwierzę bardzo wokalne.

Nic dziwnego, że tak sprytne zwierzę potrafi dać się we znaki właścicielom stawów rybnych. Niestety, polskie prawo nie przewiduje odszkodowań za straty spowodowane przez wydry, należą się one jedynie, gdy sprawcą jest wilk, ryś, niedźwiedź, bóbr lub żubr.

Inaczej jest np. w Czechach, gdzie właściciele gospodarstw rybackich mogą liczyć na zadośćuczynienie za straty. Testuje się tam również wiele ciekawych rozwiązań w celu ochrony obwodów rybackich. Najpopularniejszym są rozmaite ogrodzenia podłączane do prądu, ale te sprawdzają się jedynie na niewielkich akwenach. Dużych kompleksów stawów czy jezior ogrodzić nie sposób. Wśród naszych południowych sąsiadów sporą popularnością cieszą się bufory i strefy ekotonowe. W pierwszym przypadku do kanałów zasilających stawy i odprowadzających wodę wpuszcza się ryby nieatrakcyjne gospodarczo. Dzięki temu wydry rzadko atakują karpie, za duże na ich potrzeby i – jak się zdaje – mniej atrakcyjne smakowo. Szkody są tak małe, że właściciele nie chcą tracić czasu na ubieganie się o odszkodowania. Ba! Chwalą sobie obecność wydr, likwidują one bowiem piżmaki amerykańskie – kolejny obcy gatunek inwazyjny, którego ekspansja w Europie rozpoczęła się od ucieczki kilku osobników z fermy zwierząt futerkowych właśnie w Czechach. Piżmaki, kopiąc nory, dewastują groble.

Strefy ekotonowe, nad którymi prowadzi się badania także w Polsce, mają zastosowanie zarówno na jeziorach, jak i w większych kompleksach stawów. Polegają na stworzeniu strefy przejściowej, z mnóstwem miejsca dla procesów naturalnych – m.in. na urozmaiceniu brzegów i wprowadzeniu trzcinowisk przy brzegach. To zapewnia odpowiednie kryjówki dla ofiar wydr, np. owadów, ślimaków, płazów, małych ryb. Duże, będące celem hodowli, większość czasu spędzają w wodzie, gdzie szanse na ich zaskoczenie są małe. No i wymaga to od wydr więcej wysiłku, a jak wspomniałem, inteligentne zwierzęta są leniwe.

Konrad Malec

PS W artykule użyłem tradycyjnych nazw gatunkowych dla norki amerykańskiej i wydry morskiej, które z jednej strony są zadomowione w polszczyźnie, a z drugiej umożliwiają wyobrażenie sobie zwierzęcia. Obecnie obowiązujące nazwy to odpowiednio wizon amerykański i kałan morski.

eprasa.pl c966d1c9a7

Między Kijowem a Berlinem

Rozbrojenie nuklearne Ukrainy w takim kształcie, w jakim do niego doszło, było wielkim błędem, uważa dzisiaj Jurij Kostenko, który ze strony ukraińskiej negocjował to memorandum. Kiedy Ukraina w 1991 r. uzyskała niepodległość, odziedziczyła jedną trzecią arsenału nuklearnego Związku Radzieckiego, co uczyniło ją trzecią potęgą nuklearną na świecie. Miała 176 międzykontynentalnych pocisków balistycznych i 6 tys. głowic jądrowych. A co dostała w zamian za wyrzeczenie się tego arsenału? Gwarancję nienaruszalności swoich granic ze strony USA, Wielkiej Brytanii i Rosji. I właśnie widzimy, ile takie gwarancje są warte.

Już w 2014 r. Krym został zajęty, podobnie jak części obwodów ługańskiego i donieckiego. Reakcja USA i Wielkiej Brytanii była werbalna. A potem był *business as usual*. USA robiły z Rosją interesy finansowe, naukowe (wymiana studentów i naukowców) oraz przemysłowe. Wielka Brytania nadal sprzedawała złote wizy, pozwalała rosyjskim firmom prowadzić interesy finansowe w City, a dzieciom oligarchów studiować w Oksfordach i innych Cambridge'ach.

Każdy, kto obserwuje agresywne reżimy, wie, że nigdy się nie zatrzymują, że prą do przodu. Rosję wspierają przy tym Chiny, rzecznik MSZ Chin wezwał, by tych działań nie nazywać agresją, inwazją ani okupacją. Czy nie jest to krok przed atakiem na Tajwan?

A jakimi sankcjami może Rosji odpowiedzieć Zachód? Na razie najmocniejszą jest zapowiedź wstrzymania certyfikacji dla Nord Stream 2. To wielomiliardowe straty dla akcjonariuszy, czyli również dla Niemiec. To cios dla *Russenverstehern*, czyli tych Niemców, którzy rozumieją Rosję i starają się zawsze iść Rosjanom na rękę. Większość z nich pochodzi z SPD, czyli partii kanclerza Olafa Scholza. Szacunek dla niego za tę decyzję i szacunek dla Partii Zielonych, która od zawsze uważała pomysł NS2 za chybiony. Zwłaszcza uważał tak obecny wicekanclerz oraz minister gospodarki i ochrony klimatu Robert Habeck. W rządzie niemieckim z ramienia Zielonych zasiada też Annalena Baerbock, która jest szefową MSZ. Życzymy jej, by nawiązała do rangi politycznej Joschki Fischera z jego zrozumieniem wschodu Europy. I oby w trudnej, wojennej sytuacji przerosła swojego mentora.

Zadaniem polskich dyplomatów w stolicach „starej Unii" powinno być obecnie uświadamianie politykom i elitom tych państw prawdy, którą w Polsce czy krajach bałtyckich znamy od lat. Że trzeba na Rosję uważać i że jedność atlantycka i europejska jest wielką wartością. Jak ma to jednak robić w Berlinie ambasador Przyłębski, który częściej jest w Warszawie niż w stolicy Niemiec, bo stara się wychodzić sobie kolejną dobrą posadę, który ponadto obraził niemieckie media i nie jest przyjmowany przez czołowych polityków?

Polska zrobiła w ostatnich latach wiele, by jedność europejska została naruszona. Racja stanu Polski wymaga wycofania się z konfliktów z Brukselą, zerwania kontaktów rządu z Le Pen, AfD, Salvinim i innymi rozwalaczami Unii. Czy stać nasz rząd na takie ruchy? A jeżeli nie, to jakie diabły w tym mieszają?

Attaché

Afganki przed kabulską piekarnią rozdającą chleb potrzebującym.

FOT. EAST NEWS

eprasa.pl c966d1c9a7

JOLKA

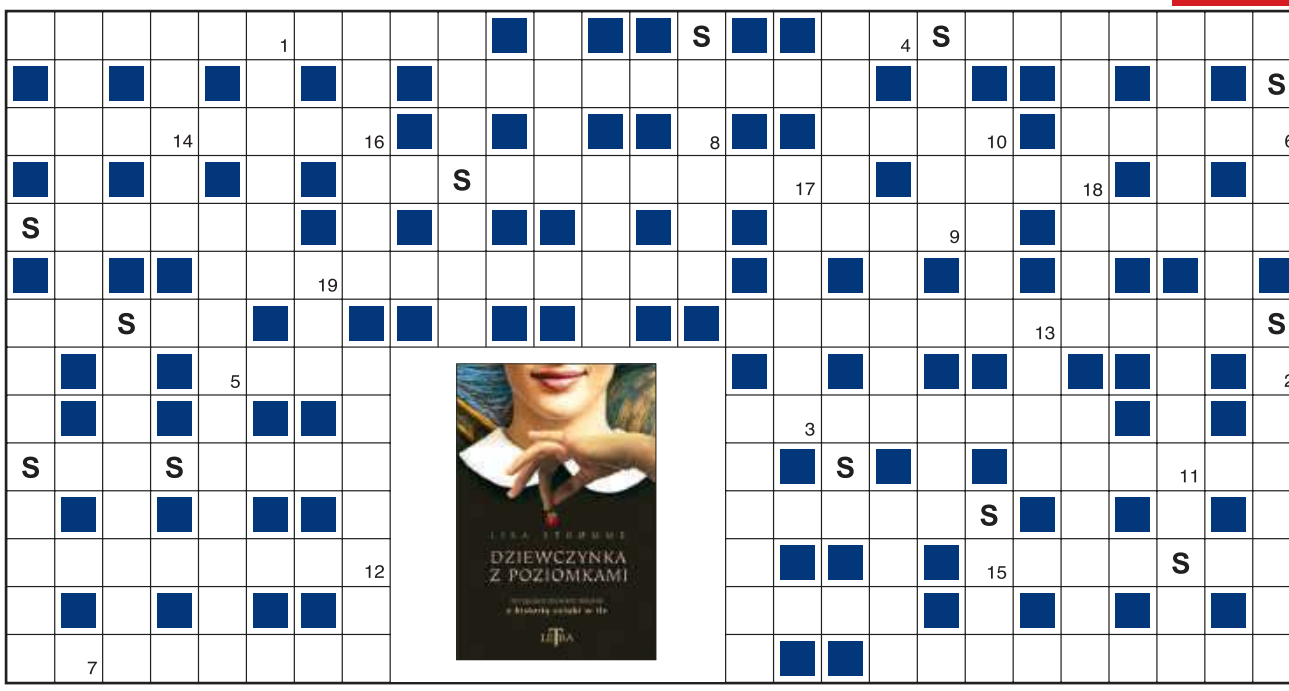

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery S ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 19 utworzą końcowe hasło.

- zna się na nawozach i żyzności gleby
- zespół Zenka Martyniuka
- „Zaraz wezmę od szefa…", śpiewał Bodo
- imię mistrza suspensu
- aktorką… była Teresa Tuszyńska
- region wokół bieguna północnego
- sercowa lub oskrzelowa
- tuzy w talii
- ciekły – używany jako czynnik chłodzący
- arogancja, tupet
- najmniej ich w lutym
- nad tym jeziorem Cleveland i Buffalo
- przysmak, smakołyk
- Auguścik, Bacewicz lub Wolszczak
- ciężarki do ćwiczeń gimnastycznych
- impreza u cioci z piosenki
- wiedźma lub złośnica
- do żadnej nie należy parias
- maltański to joannita
- plotąca z wikliny lub wrzucająca piłkę
- …nie woda
- cenny metal
- Lupa – reżyser, Wieczorek – aktor
- firma… – oszukańcza
- niezbędna liczba członków zgromadzenia
- zagrał Sekala i Petroniusza
- heliport – dla śmigłowców
- pani dokonująca przeglądu i weryfikacji
- i spuszczany komuś, i głuchy odgłos upadku
- miasto z zakładami lotniczymi
- tam króluje Harald V
- odpowiedzialnością lub winą
- obszar ograniczony czymś
- w sieci lub na rosole
- stawiać go to sprzeciwiać się
- uzbrojony w nią konny uczestnik corridy
- dzień żartów
- obsypuje się z żelastwa
- gruba ryba finansjery
- niegdyś powtarzał z uczniem lekcje
- jeść z niej komuś to być potulnym
- nubuk, safian albo szagryn
- i ostrość klimatu, i bezwzględność
- miedzi – to Cu
- uczucie zaspokojenia głodu
- mięso i warzywa na szpikulcu
- przebój, hit
- pionowe wyrobisko górnicze
- stanowisko do objęcia
- wymieniany w długopisie
- świetność, wielkość, znakomitość
- nieprzepisowe odgwizdywane przez sędziego
- zbieżny lub rozbieżny
- wyrywane w ogródku
- rulon, bela

KUPON JOLKI „Przeglądu"

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie", opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1054". Do rozlosowania książki „Dziewczynka z poziomkami" ufundowane przez Wydawnictwo Arkady. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 6 marca 2022 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1051" z nr. 7: *Marzenia są jak azyl.*
Nagrody otrzymują: Mirosława Gierczyńska z Kałuszyna, Mikołaj Szmurłło z Warszawy, Ireneusz Wanecki z Bielan Wrocławskich.

eprasa.pl c966d1c9a7

PENETRACJE

ZDANIE

BARBARA LABUDA,
DZIAŁACZKA OPOZYCJI W CZASACH PRL, POSŁANKA, MINISTER W KANCELARII PREZYDENTA

Tak naprawdę wywalono mnie za antyklerykalizm, ale mieli w Unii Wolności także ciągle żal o to, że nie poparłam w głosowaniach pomysłów Balcerowicza realizowanych od 1990 r. Do dziś uważam, że zrobiłam słusznie. Nie jestem zwolenniczką prywatyzacji wszystkiego. W 1994 r. nie zagłosowałam przeciwko budżetowi, który przygotował Grzegorz Kołodko. Wstrzymałam się od głosu. Pamiętam o tym, bo on potem sprawdził, kto jak zagłosował, i do mnie podszedł, żeby mi podziękować. To była bardzo nietypowa praktyka.

DZIENNIK GAZETA PRAWNA

JAKUB BANAŚ,
SYN PREZESA NIK

Przez ostatnie 30 lat w Polsce ma miejsce coś, co PiS doprowadziło do perfekcji, a co nazywam „zalegalizowaną kradzieżą". To jest bardzo sprytne, w pełni legalne i w pełni bezpieczne. Przede wszystkim duże pieniądze wyciąga się na dwóch obszarach: na inwestycjach i wartościach niematerialnych, czyli np. na konsultingu i usługach prawnych, sponsoringu, budżetach reklamowych i marketingowych. W spółkach skarbu państwa operuje się w białych rękawiczkach przy udziale renomowanych kancelarii i doradców.

KRAKÓW

IZABELA KUNA,
AKTORKA, PISARKA I REŻYSERKA

Nie znam się na polityce, jednak mam wrażenie, że opozycja jest zawsze 15 kroków za rządzącymi. I ciągle jestem zaskoczona, zła i zdziwiona. Dlatego czuję się oszukana nie tylko przez mój rząd, ale też przez ludzi, którzy powinni zapewniać obywatelom wsparcie. Dlatego nadzieja w ludziach odważnych, dziennikarzach, aktywistach, przechodniach.

na szczycie

PIOTR PUSTELNIK,
PREZES POLSKIEGO ZWIĄZKU ALPINIZMU

Ostatnio za sprawą naprawdę złych warunków i jeszcze czegoś, czego nie potrafię opisać, mamy wysyp górskich dramatów. Wspólnym mianownikiem jest słowo „umiejętności". Innym jest „zdrowy rozsądek" albo „roztropność". A na drugim biegunie są określenia: „ułańska fantazja" i „ch…j, że nie umiem" czy „ja nie wejdę?!".

TYGODNIK ANGORA

ŚWIAT SIĘ ŚMIEJE

Panowie, przygotujcie się! W tym miesiącu przypadają Światowe Dni, Kiedy Mąż Ma Zawsze Rację! Świętujemy 29, 30 i 31 lutego. (Włochy, besti.it).

Na twarzach nie tylko maski covidowe. Mimo światowych zawirowań karnawał wenecki trwa.

FOT. EAST NEWS

Aby język giętki…

PROF. ANDRZEJ LEDER O PiS

Jest krwią z krwi i kością z kości swojego elektoratu. Łącznie ze złodziejstwem, nachalstwem, nepotyzmem i załatwianiem wszystkiego swojakom.

GEN. MIECZYSŁAW GOCUŁ O RAPORCIE NIK

Polska armia jest w stanie zapaści, jakiej nie notowaliśmy od 1945 r.

MARIAN TURSKI O „POLITYCE"

Umieliśmy znajdować wypadkową między czymś, co dobre z przeszłości, co należy zachować i czego nie należy się wstydzić, a tym, co przychodzi jako nowe.

JAROSŁAW GOWIN O WICEMINISTRACH FINANSÓW

Brak doświadczenia i ogromna arogancja. W ogóle nie chcieli słuchać głosów wybitnych ekspertów.

MACIEJ STUHR O WADZE SŁÓW

Za dużo jest wielkich słów, a za mało wielkich czynów.

SZCZEPAN TWARDOCH O NAGRODZIE IM. KAZIMIERZA KUTZA

Kutz często nie zgadzał się z samym sobą i ja też sam ze sobą często się nie zgadzam.

JERZY ILLG O NAGRODZIE DLA SZCZEPANA TWARDOCHA

Nagroda za udział w budowaniu społeczeństwa demokratycznego zakrawa na ponury żart.

DOMINIKA KOZŁOWSKA O BUNCIE

Wyzwala energię społeczną i wydobywa na powierzchnię ukryte problemy, nadużycia.

KAROLINA KORWIN-PIOTROWSKA O MOBBINGU AKTOREK

W kręgu ludzi, którzy się znają, wystarczy rzucić „niezdolna jest" i ona już pracy mieć nie będzie.

KATARZYNA DOWBOR O KAROLINIE KORWIN-PIOTROWSKIEJ

Szybko zapomniała pani, jak w programie „Magiel towarzyski" niszczyła Kasię Skrzynecką, Piotra Gąsowskiego, mnie i wiele innych osób.

eprasa.pl c966d1c9a7

MEMY BEZ ŚCIEMY

ŚWIAT SIĘ KRĘCI

Torreador potrzebny od zaraz

Z okazji obchodzonego 21 lutego Międzynarodowego Dnia Języka Ojczystego dowiedzieliśmy się, jakie słowa rodacy najczęściej piszą z błędami w internecie. Z analizy portali Nadwyraz.com, Polszczyzna.pl i firmy SentiOne, obejmującej cały zeszły rok, wynika, że szczególnie rozpowszechnione są następujące byki: napewno, dzień dzisiejszy, na prawdę, wogóle/wogule, narazie, po za tym/pozatym, na codzień/nacodzień, niewiem, conajmniej, wziąść, muj, na przeciwko/na przeciwo, jusz, ktury i z przed/zprzed. Polacy, czas „wziąść" się w garść!

Czas to (mały) pieniądz

Londyński zespół Pocket Gods w twórczy (dosłownie!) sposób zamanifestował sprzeciw wobec praktyk serwisu muzycznego Spotify. Szwedzka platforma streamingowa płaci artystom zaledwie od 0,006 do 0,0084 dol. za każde odtworzenie ich piosenki, dlatego tylko wielkie gwiazdy mogą liczyć na godziwy zarobek. Ponieważ serwis za odtworzenie uznaje słuchanie piosenki przez co najmniej 30 sekund, zespół umieścił w nim album składający się z 1000 utworów o długości mniej więcej pół minuty. I teraz mało dotąd znana kapela ma swoje pięć minut w mediach!

Kto pije – w kostnicy myje

W tajwańskim Kaohsiung osoby przyłapane na jeździe pod wpływem alkoholu muszą odpracować określoną liczbę godzin w lokalnych zakładach pogrzebowych – tak zdecydował prezydent metropolii, Chen Chi-mai. Pierwsi piraci drogowi mają już za sobą resocjalizację polegającą m.in. na czyszczeniu zewnętrznych elementów komór chłodniczych na zwłoki. Dobrze zgadujecie, część już poprzysięgła poprawę.

Brudna gra w zielone

W Meksyku porachunki gangów sprawiły, że limonka, będąca tam jednym z podstawowych produktów spożywczych, staje się dobrem luksusowym. W styczniu zeszłego roku średnia cena tego cytrusa wynosiła 17 peso za kilogram, a obecnie dochodzi do 89 peso. Za zwyżkę cen w dużej mierze odpowiadają kartele narkotykowe, które coraz częściej rozszerzają działalność i zaczynają wymuszać haracze od producentów awokado i limonek, przejmować ich ziemię czy plądrować sady. Kwaśny bywa los rolnika.

Jak z Orwella, tylko bardziej

Firma Clearview tworzy bazę twarzy wszystkich mieszkańców globu. Już znajduje się w niej 10 mld zdjęć, pozyskanych przez algorytmy w mediach społecznościowych – rzecz jasna bez pytania o zgodę właścicieli facjat – a do końca roku ma być ich 100 mld. Co więcej, w prezentacji dla potencjalnych inwestorów spółka oznajmiła, że pracuje nad technologiami, dzięki którym będzie mogła identyfikować osoby na podstawie ich sposobu chodzenia, a także skanować odciski palców z dużej odległości. Szef przedsiębiorstwa twierdzi, że to wszystko dla dobra ludzkości, ale mamy jakieś 1984 wątpliwości…

eprasa.pl c966d1c9a7

A sio! Para dziwogonów w powietrznych harcach w zasięgu łapy. Park Narodowy Ranthambore w Indiach.

Księżniczką/księciem być

Marzysz o życiu jak w bajce? Może zainteresuje cię nowa oferta największych specjalistów w tej kwestii, czyli Walt Disney Company. Korporacja zabrała się do budowy osiedli mieszkaniowych, które mają „doprowadzić magię Disneya do ludzi". – Nie możemy się doczekać powitania mieszkańców tych wyjątkowych społeczności, w których będą mogli żyć pełnią życia – zadeklarował jeden z prominentnych przedstawicieli firmy, Josh D'Amaro. Mieszkańcy jej pierwszego osiedla, które powstanie w Kalifornii, będą mogli skorzystać m.in. z występów na żywo, aktywności fizycznych i lekcji gotowania. O cenach nie słyszeliśmy, ale to raczej nie będzie tzw. małe miki.

FOT. ANONIMOWY INTERNAUTA, SARKA FARKA, SEKCJA GIMNASTYCZNA, POLSKA ORKA POLITYCZNA, CARTERS/FORUM

Przegląd

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego:
Paweł Dybicz e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępcy redaktora naczelnego:
Roman Kurkiewicz e-mail: r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Robert Walenciak e-mail: r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji:
Joanna Wielgat e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków), Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra), Paweł Drąg, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń), Beata Igielska, Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork), Maja Marklowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Marcin Ogdowski, Jan Ordyński, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz), Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Koordynator ds. innowacji i mediów społecznościowych:
Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl
Koordynator ds. komunikacji i PR:
Piotr Ciszewski e-mail: p.ciszewski@tygodnikprzeglad.pl
Sekretariat fundacji i redakcji:
Izabela Strupiechowska
Dział Kolportażu:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGLĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120
WYDAWCA:
Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

FUNDACJA ORATIO RECTA

eprasa.pl c966d1c9a7

Abanico

Imagine

Katarzyna Karpowicz – Maurin

Sztuczki, zabawy, gry, udawania to częste elementy obrazów Katarzyny Karpowicz. Tym razem stały się bezpośrednim tematem wystawy. Artystka sięgnęła do wspomnień z dzieciństwa, kiedy razem z siostrą bawiły się, wchodząc w skórę i emocje innych dzieci, wyimaginowanych przyjaciół z najdalszych zakątków świata. Być każdym i wszędzie, oto marzenie! Tak narodziła się postać Maurin, może chłopca, może dziewczynki, to nieistotne, bo imię pasuje do każdego.

Maurin to młody Picasso, Franz Kafka, ty, ja, ona – każdy. Obecny w tej niewinnej zabawie motyw czaszki można traktować jako karnawałową maskę, kolejne przebranie albo przestrogę: *memento mori*, kres niewinności, dzieciństwa.

Galeria ART
Warszawa, ul. Dobra 40
do 26 marca

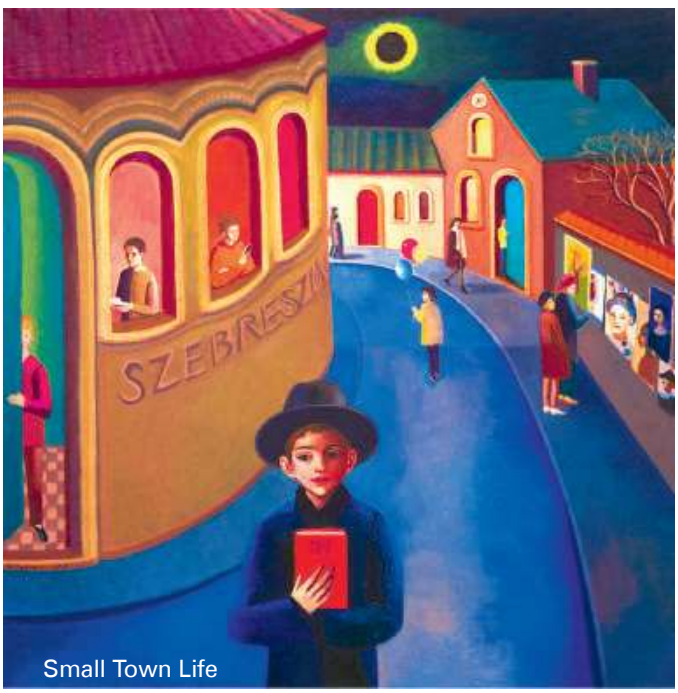

Small Town Life

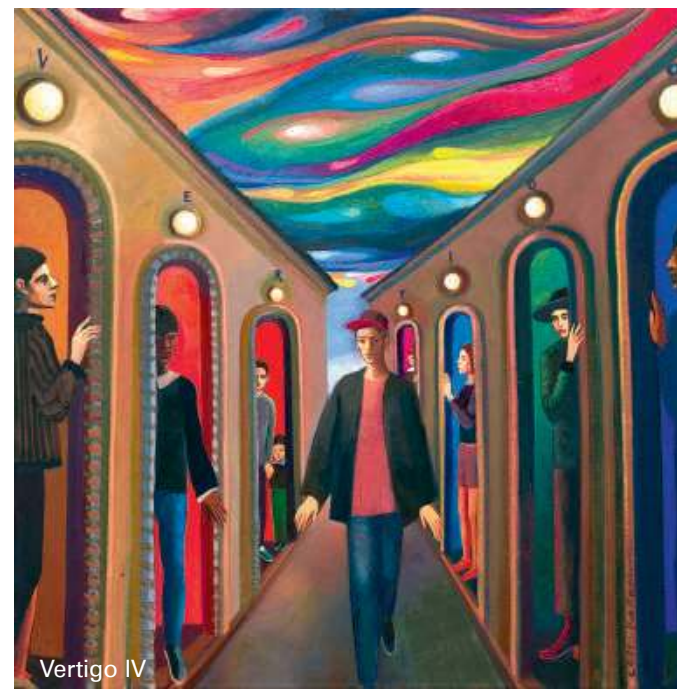
Vertigo IV

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl c966d1c9a7

CIĘTA KOMEDIA / **THRILLER ZEMSTY**

JEDENASTE: ZNAJ SĄSIADA SWEGO

PETER KURTH **DANIEL BRÜHL**

71 Internationale Filmfestspiele Berlin
Konkurs Główny

REŻYSERIA DANIEL BRÜHL

REŻYSERSKI DEBIUT GWIAZDY **„GOOD BYE, LENIN!" I „BĘKARTÓW WOJNY"**

W KINACH OD 4 MARCA

Kreatywna Europa MEDIA

AURORA

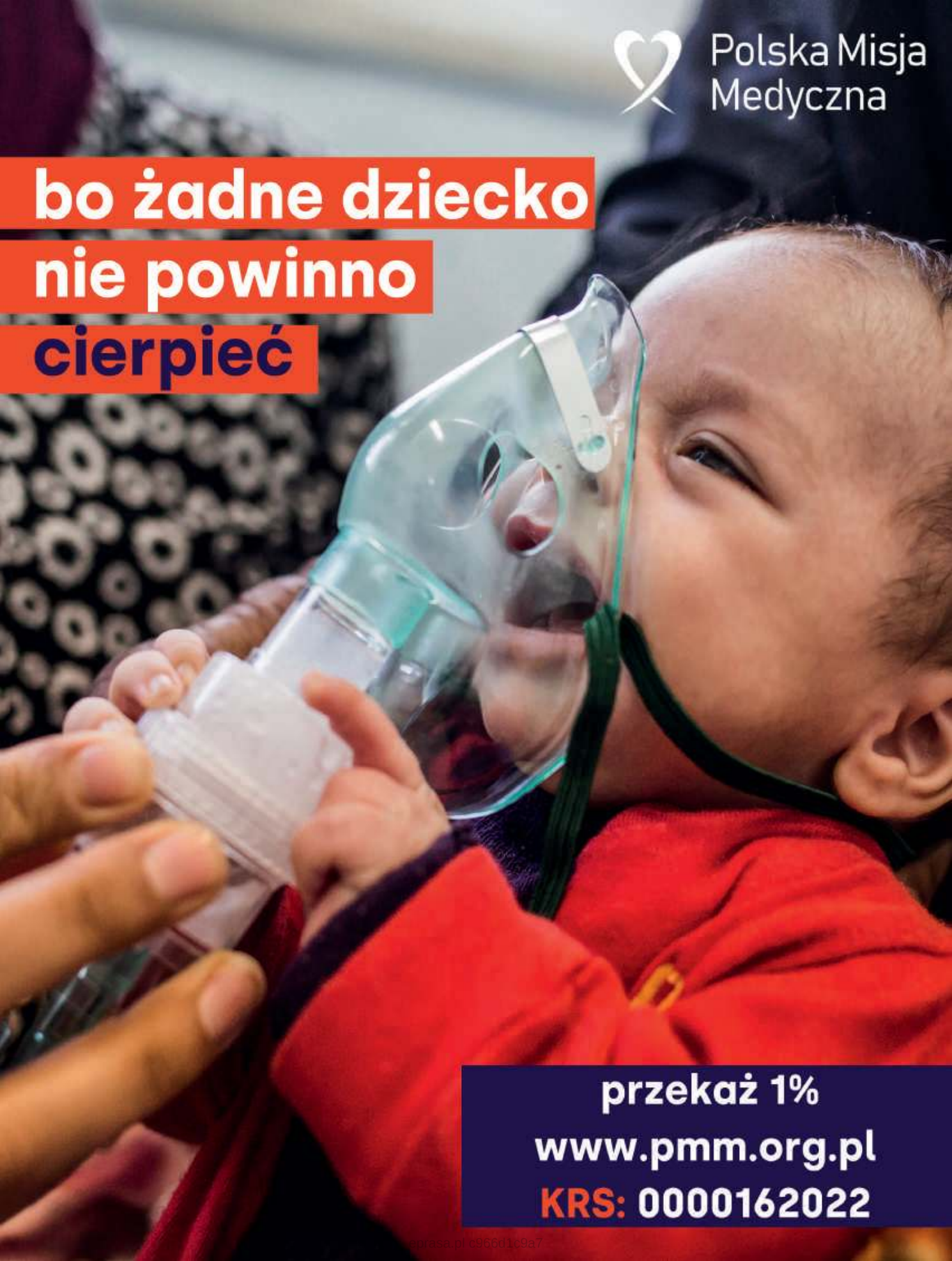

eprasa.pl c966d1c9a7